

IMCS  
LUBLIN mas. 2552/1984/6

**Specjalny numer świąteczno-noworoczny**  
**24 strony** ● **sensacje i atrakcje dla każdego** ●  
**zagadki i konkursy z nagrodami** ●

**DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY**

**Rok założenia 1933**

PL ISSN 0137-1108 Nr indeksu 30251

# kamień

**CENA  
TYLKO**

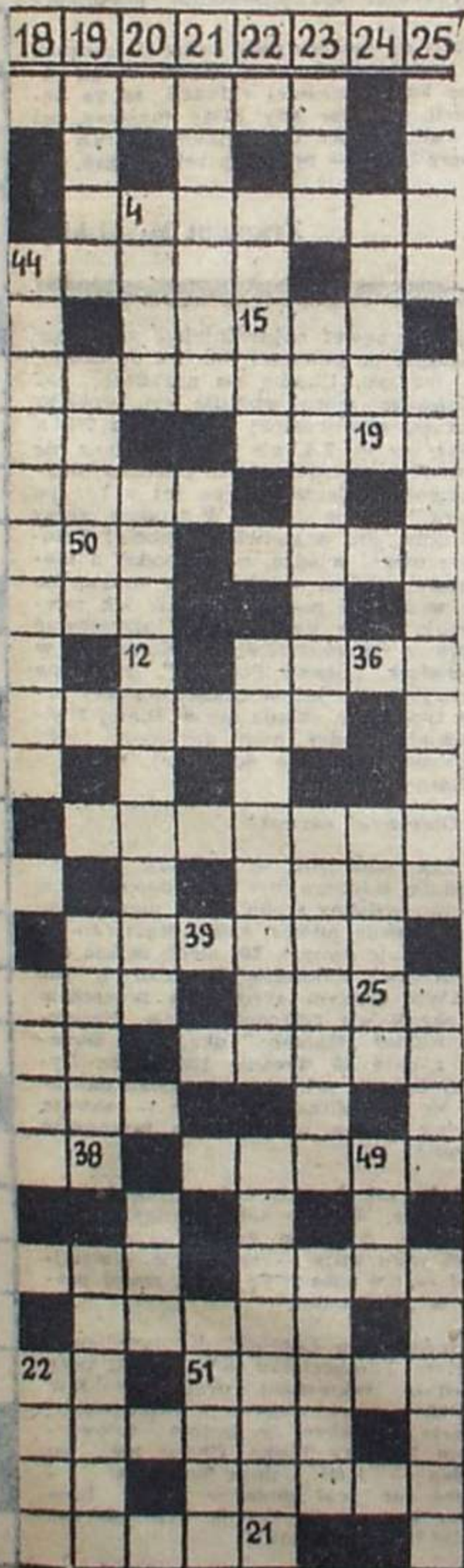


**NR 26 (819)**

**23 grudnia 1984 - 12 stycznia 1985**

**CENA 20 ZŁ**

Następny numer „Kamień”  
ukaze się w kioskach 10 I  
1985 r.



**Miłość  
dawnych Polaków**

str. **19**

*Poczytaj mi mamo*

str. **13**

**Implantacje  
przedłużają życie**

str. **16**

**Nowy idol pop - music**

str. **22**

**Dziewice  
w cenie !**

str. **18**

**Historycy zapomnieli  
o Jagielle**

str. **3**

**Jak to jest  
z bliźniakami ?**

str. **17**

**Wisłoccy  
podolsko - wołyńscy**

str. **14 15**

*Wesołych Świąt*



Rys. Andrzej Bronikowski

# W blasku tego święta

JESLI wiesz, że wigilijna zaczyna się z pierwszą gwiazdą na niebie, to oczekiwanie Bożego Narodzenia — z pierwszą gwiazdką śniegu. Bieżący rok był pod tym względem gorliwy: wigiliję wigilii mieliśmy już w listopadzie. Już wtedy trzeba było sięgnąć na dno szafy, gdzie w foliowym worku dla ochroby przed mroźnymi wiatrami, stał nasz zbiorowy habitus wcześniej nasunął skojarzenie z pejzażem obrazu Bruegela (Piotra, zwanego Chłopskim) „Myśliwi na śniegu”. Te przez opięcia zimowych okryć jakby podkasane postacie.

Ale jak po wiedeńskim walca musimy udać się już tylko do dziadka, który obok foliowego worka trzyma swoją guzikówkę, tak znaleźć porozumienie na temat przedbożonarodzeniowego sztafetu miasta można tylko z ludźmi nie posiadającymi zbyt późnego zapisu w dowodzie osobistym w rubryce „data urodzenia”. Proszę państwa, przypomnijmy sobie na przykład wystawy sklepów: te światła, te lańcuchy, te bombki, te parafinowe wielorybki (wieloryby długości dziesięciu centymetrów). Nie wielki szcścian wystawy, ale zakomponowany z użyciem jakiej scenografii! Aż serce rosło — nie tylko to kilkuletnie. Dziś na tych sklepach jako urozmaicenie codziennej monotonii spotykamy „dezynsekcję”, „dezynfekcję”, „deratyzację” i „remanent” (pardon, już nie „remanent”, wyraz ten pod obstrzałem ironii przeszedł w eufemizm: „kontrolny spis towarów”).

Czyli charakter bożonarodzeniowego święta przenosi się na teren rodzinny. Prywatnie. Nie znaczy to, że „między” nie ma tego obyczajowego spoiwa, które kiedyś funkcjonowało niemal publicznie, ale pewne przeobrażenia współczesności podchodzą również pod praktyki świąteczne. A kysz! Wara od barszczu z uszkami, pierogów z kapustą, kompotu z suszonych gruszek. Wprawdzie nie na repertuarze konsumpcyjnym opiera się doznanie tej szczególnej chwili, ale też nie bez znaczenia pozostaje widok tej pary, która idzie ze świątecznej wazy, smak kutli tak przecież typowej, a polskiej tylko pszenicą i makiem, bo figami i rodzynkami jakoś tam lewantyńskiej.

Tu język Waszego sprawozdawcy, a właściwie konferansjera, powinien nieco przyhamować. Bo jakie rozsnuwać wizję samych barwności i świetlistości, kiedy sytuacja kraju „bajecznie kolorowa” nie jest, kiedy mamy i ciocie nie z promiennymi uśmiechami wracają z wypraw po mięsne i olejowe runo. I nie do tych słów należy stawianie prognozy poprawy. Należy do naszego wspólnego działania.

Jeśli mamy ten kawałek Europy, który obroniliśmy kiedyś przed trójzaborczym wynarodowieniem,

przed żarłocznością germańskiej w hitlerowskim wydaniu ekspansyjności „Drang nach Osten”, warto zmierzyć się z wymaganiami czasu, który stawia postulat ofiary nie krwi, ale pracy. Dla nas samych. Co zrobimy, zostanie na polskim podwórku. Pewnie, że nie samymi propozycjami i analizami doprowadzimy do wyprostowania naszego pochodu ku lepszej przyszłości, ale weźmy pod uwagę, ile jeszcze możemy poprawić nie dodatkowym zakasaniem rękawów, nie zaciśnięciem pasa, ale donormalizowaniem stosunków społecznych, z których niechby znikły antagonizmy, nieporozumienia, spychanie odpowiedzialności na innych. Niech zniknie pojęcie „oni” — jacyś anonimowi, nie nazwani — podobno odpowiedzialni za niepowodzenia; niech pojawi się pojęcie „my”, którzy mamy ochotę i odwagę przyjąć ciężar spraw naszych na nasze barki. Owszem, da się imiennie nazwać winnych w takim, czy innym konkretnym wypadku, ale generalnie za dużo liczymy na krasnoludki jako sprawców naszych mankamentów. Pozostawmy ich w bajce o sierotce Marysi.

Czy są to stwierdzenia niekoherentne z charakterem bożonarodzeniowego święta? Przecież ma tu obowiązywać nastrój odpuszczenia przewin, pojednania, nawet jeden talerz na wigilijnym stole jest przeznaczony dla kogoś kto może przybyć, a przecież nie jest znany od strony swych postępków. Tak, ale też nie w aurze polemiki muszą odbywać się rozmowy przy polskim stole. Dobrze, że świecą świeczki, dobrze, że strzela bengalski ogień. Jest ta osobiwa chwila. O bytności w teatrze mówi się, że oddziałuje nie tylko treść sztuki idąca ze sceny, ale również sama okoliczność znalezienia się w atmosferze kulturalnej, oświeceniowej w otoczeniu. Tak jest i ze świętem Bożego Narodzenia. Już fakt, że obrosła taką tradycją, ma wpływ na poprawę samopoczucia. Uczestnicząc w tej uroczystości, przedłużamy o jeszcze jeden rok podobnie uroczyste zaszczyty rodzinne. Te dni bożonarodzeniowe jakby wyskakują z kalendarza. Nie tylko przez to, że są wolne od pracy, więc umożliwiają odprężenie od codziennych zabiegów i uciążliwości. Przez to, że przestrajają doznania w rejestr szlachetniejszy, perspektywniejszy. Czujemy się jakby wspólni z trzema królami-monarchami, państwowymi składającymi hold Dziecinie, a nawet z braku krowy czekamy, kiedy alacki owczarek przemówi wreszcie ludzkim głosem.

A śnieżek? Skrzypi sobie za oknem. I to jest dodatkowa atrakcja tego wieczoru. Harcerze powiadają, że kiedy się jest pod namiotem, werbel deszczu na plandecę słyzy się z jakimś szczególnym upodobaniem. Może dlatego, że pada, a moknąć

nie trzeba. Więc to samo w atmosferze święta. Niech tam mróz nawet i trzaska, tu jest ciepło i zaciszenie, światło świeczek obejmuje przychylnym reflekssem.

A po tygodniu — otwarcie nowej karty w buchalterii kraju i każdego z nas: nowy rok. Jest w tym jakiś aspekt atrakcyjny. Nie tylko przez najazd noworocznych bał, które zresztą nie każdego roku jawiły się w ilości buczającej. Przez oddalenie starych zaległości i sięgnięcie do możliwości przyszłych. Biedny ten stary. Tak niedawno się zaczął, a już przedstawia się go w charakterze starca ustępującego miejsca młokosowi. Czy nie symptom to antagonizmu pokoleń? Ale to dobrze. My, Słowianie, nie tylko lubimy sielanki, ale również lubimy zaczynać od nowa. Więc włóżmy nadzieję ile się da, postanowien jeszcze więcej, a ten Osiemdziesiąty Piąty przejmie paleczkę od swojego poprzednika i pobiegnie przed siebie.

Ktoś, kto całe czterdzieści lat PRL zaliczył w swym dorosłym życiu, pamięta, jakie ambicje każdego roku łączyło się z tym początkiem. Moment, kiedy rozległ się salut z trzynastu wystrzałów — trzynasty dał korek zampana — wiadomo było, że oto otwiera się czysta karta, którą trzeba będzie zapisać naszymi dokonaniem. Ostatnie cztery lata były chybionymi jak rozjazd na kolejowych torach. Jednak pociąg się nie przewrócił. Tym bardziej powinniśmy potęgować te wszystkie czynniki, które sprzyjają jego stabilności.

Również dla wzmocnienia naszej pozycji międzynarodowej. W końcu trzeba wyraźnie stwierdzić, że Polska nie jest piłeczką pingpongową w rozgrywkach stołowych tenisistów politycznych. Ale da się to stwierdzić nie zapewnieniami, protestami, deklaracjami. Da się odpracowaniem zaległości, które kiedyś latało się zaciąganiem długów. Da się wyjściem na bieżące wody gospodarki, da — na arenie międzynarodowej zajęciem pozycji odpowiedzialnej ambicjom europejskiego państwa. Krzywo powiedzenie: „Polak potrafi”. Dlaczego więcej w szpitalach i przy budowach cementowni Bliskiego Wschodu oraz Afryki, a mniej u siebie? Dajmy od początku publicystom, którzy za jedyne swoje zajęcie widzą mobilizowanie społeczeństwa do... tu wpisać dowolny frazes. Bądźmy społeczeństwem normalnym. Nie wytwarzajmy sytuacji, w której usprawiedliwiona staje się rada: „Nie zapomnij pan oddychać”. Naturalne funkcje społecznego organizmu przynoszą pożytek nie tylko zbiorowy, ale i indywidualny. Pracując dla wszystkich, pracujemy dla siebie.

Więc cóż. Start do nowego roku zaraz się zacznie. 85 to nawet „półokrągła” suma. Wobec niego jesteśmy w tym korzystniejszej sytuacji, że go będziemy tworzyli, podczas gdy 84-ty możemy już tylko odczytywać. A więc do — łóżmy starać, do — rzućmy energię, do — pełnijmy zobowiązania. Do Słęgo Roku.

Zygmunt Mikulski

## z notatnika

12 XII. Odstąpiłem połowę tej strony Zygmuntowi Mikulskiemu, bo wypadło w tym świąteczno-noworocznym numerze napisać coś okolicznościowego, ale ta decyzja rozleniwiała mnie kompletnie. Na dodatek od dwóch tygodni zwalczam grype, ale zwalczam ją i na chodząco i na siedząco, a nie na leżąco, toteż skutek raczej mierny... A znam takich, którzy lekko chrząkną i już biegną do lekarza po odpowiedni papierek!

Święta za pasem, a ja czuję, że robię się coraz bardziej zgrzybliwy. Śmiesz mi jednak pompa i te szumne jubileusze! Rozumiem: czterdziestolecie pierwszej sceny Ludowej Rzeczypospolitej, czyli lubelskiego teatru. Dobry pomysł — wystawienie „Wesela” i to o tej samej godzinie, co w pamiętnym dniu czterdziestego czwartego, ale po co ów wielki plakat obwieszczający o osobach, które objęły protektorat nad jubileuszem? Nie wystarczyłaby informacja w samym programie? Miałem też możliwość porównać dwa inne plakaty: ten z 1944 roku i ten obecny. Obszerniejszy „Wesela” i nawet miały bardzo podobny krój czcionek. W całości jednak innym miejscu znalazły się nazwiska dyrektorów teatru, wielkość czcionek też była różna. Tematu nie rozwijam, kto chce, może sobie sprawdzić.

Na premierze „Wesela”, owszem, byłam. ale miodu i wina, jak Teresa Krzemień z „Tu i Teraz”, nie piłem.

więc dostrzegłem nie tylko Dziennikarza, ale i Księdza. Okazuje się, że Andrzej Chmielarczyk wyglądał na scenie tak — jakby go przywieziono prosto z wiejskiej plebanii. Kto by przypuszczał, że szef operetki tak dobrze czuje się w charakterze osoby duchownej! Nie ma to jak wszechstronna aparycja! I wrodzona jowialność!

Po jubileuszu czterdziestolecia uczestniczyłem w jubileuszu pięćdziesięciu. Nawet nie obejrzałem się, a tu już pięć lat wystukało „Tygodnikowi Zamojskiemu”! Posypało się trochę odznaczeń, pism gratulacyjnych, były i mowy podniosłe, a także odbył się nie tak znów skromny obiad w najbardziej reprezentacyjnym (nie wiem, czy między Bugiem a Odrą, ale między Bugiem a Wisłą na pewno!) młynie. Uroczystość uświetnił Prezes, co należy podkreślić. Pięćdziesięcie istnienia obchodzi, bądź obchodzić będą, liczne tygodniki, które powstały w stolicach nowych województw, okazji do świętowania z pewnością więc nie zabraknie, oświadczenie nie sądzę, aby Prezes na każdej takiej imprezie mógł być obecny, chociaż kontaktów z tzw. terenem nigdy nie za wiele. Niemniej gwoli prawdy trzeba nadmienić, że „Tygodnik Zamojski” w grupie pism tego typu zajmuje poczesne miejsce i obok znakomitego Redaktora Naczelnego ma nie mniej znakomitego Rysownika i również nie mniej znakomitego Historyka! Ich nazwiska można znaleźć w każdym numerze przynajmniej w stopce redakcyjnej.

Owo pismo, jak i wiele pozostałych, wśród nich i „Kamena”, wychodzi spod maszyn drukarskich Lubelskich Zakła-

dów Graficznych imienia PKWN (kiedyś pomyliłem się i napisałem im. Manifestu Lipcowego; ani linotypista ani korekta tego błędu nie złapali, co zresztą o niezum nie świadczy...). Właśnie Lubelskie Zakłady Graficzne obchodzą kolejny jubileusz, jak i teatr — jubileusz czterdziestolecia. Nie spojrzalem na zaproszenie i pogałem do Zakładów, sądząc, że to tam będzie się ów dzień święcić. Okazało się, że nie — wynajęto salę teatralną „u Osterwy”. Ho, ho!

Kocham drukarzy, bo jak ich nie kochać, kiedy na tak podłych maszynach potrafią wykarować... tak pięknie „Kamena”?! Zawsze coś na tej maszynie rotacyjnej zgrzyta, coś pęka, oni uwijają się jak mrówki w ukropie, klepią, przyklejają, czasem i zakną pod nosem, ale tego i tak nie słychać, bo szum tu większy niż przy wodospadzie Niagara...

Z tego, że ich kocham nie wynika jednak, iż patrzę na wszystko bezkrytycznie. Czterdziestolecie LZGraf. to, mówiąc szczerze, rocznica upaństwowienia skromnej drukarni przy ul. Zamojskiej (dziś Buczka). Pierwsza drukarnia LZGraf. z prawdziwego (w miarę) zdarzenia to ta, która w latach pięćdziesiątych powstała przy ul. Unickiej. Trzydzięci lat temu stanowiła ona szczyt techniki (przynajmniej XIX wieku), a dziś w dużej mierze (mam na myśli tzw. gazetówkę!) to szczyt ubóstwa. Czwarty świat! Niemniej z okazji jubileuszu wybito medal, na którym owa budowa została na wieczną rzecz pamiętkę utrwalona... Napisałem te słowa i chyba napisałem źle, bo przecież na medalu czytamy: „Pierwsza drukarnia państwowa, Lublin, grudzień 1944”. W grudniu 1944 r. była właściwie tylko drukarnia przy ul. Zamojskiej. Więc to ona jest na medalu? Licho wie choć można by napisać, że wart Pac palaca...

Wybrzydzą, a medal przecież dali (choć mogli nie dać), więc trzeba podziękować i życzyć, aby następny przedstawiał już zakład godny ambicji szanownej Dyrekcji, no i żeby akademia z okazji 60-lecia odbyła się w nowym gmachu teatralnym. Wiem jed-

nak, że nawet najpiękniejsze mury nie zastąpią po pierwsze ludzi, a po drugie — maszyn. Chodzę po naradach, od dłuższego czasu walczy się problem zakupu nowoczesnej maszyny z NRD. Wszyscy są ZA, ale kiedy zaczyna się mówić o pieniądzach, to piłeczka pingpongowa uderza raz po tej a raz po tamtej stronie stołika. W gruncie rzeczy Grubba gra przeciwko Grubbiel! Zainteresowani wiedzą, o co chodzi, a niezainteresowani wiedzieć nie muszą, bo te wszystkie podchody guzik ich interesują. Mnie jednak musi interesować sprawa przekształcenia „Kamena” w tygodnik. „Słowo Podlaskie” z dumą oznajmia, że już w całości numery tego tygodnika składa się w Białej Podlaskiej. Kiedyś nam mówiono: jeśli „Słowo” przejdzie do Białej, wówczas „Kamena”... Idź!

Obiecanki eacanki!

Tak nam już w redakcji ten tygodnik (którego nie ma) dopiekl, że postanowiliśmy zrobić raz... miesięcznik, ten właśnie numer, który ma stron 24, a kosztuje złotych 20, niech będzie dla Lubelskich Zakładów Graficznych im. PKWN naszym skromnym prezentem z okazji ich czterdziestolecia. Następny numer „Kamena” ukaże się dopiero z datą 13 stycznia 1985 roku. Byłoby dobrze, żeby ta trzynastka okazała się szczęśliwą. Jeśli nie — zawsze będzie można wszystko na trzynastkę zwałić!

I na zakończenie coś o mnie bardzo osobiste. Wszyscy sobie wynajdują jubileusze. A co ja gorszy? I stycznia 1985 roku mija — słuchajcie, słuchajcie! — dwa dziesięć lat mojej pracy w „Kamena”.

Redaguje w Lublinie „Kamena” przy piątym i sekretarzu KW PZPR, przy szóstym sekretarzu propagandy KW PZPR, przy piątym wojewodzie... Często słyszałem, że jestem... człowiekiem X-a czy Y-eka. Chyba nie, bo żaden — jeśli! Lublin opuszczał — jakod nie brał mnie ze sobą! Inna rzecz to pytanie, czy ja bym się dał wciągnąć? No i dokąd?!

M. A. Jaworski

## Zwycięzca spod Grunwaldu



Fragment pomnika króla Władysława Jagielly w Nowym Jorku prof. S. R. Ostrowskiego.

Rysunek Józefa Tarlowskiego

**S**ADZĘ, że nie ma nikogo w Polsce i na całej Północy, kto by nie słyszał o dynastii Jagiellonów, która, wywodząc swój początek od książąt litewskich, rządziła u nas w ciągu około dwustu lat. Założycielem dynastii był syn Olgierda, Jagiełło, głośny swymi czynami... Odnosił kilka sławnych zwycięstw nad teutońskimi Krzyżakami, którzy nie tylko czyhali na Litwę, ale także okrutnie i bezbożnie szarpał Polskę, swą Matkę i żywicielkę... Takiego zwycięstwa nad Niemcami (jak w pamiętnej bitwie pod Grunwaldem) nie zdołał dotychczas osiągnąć żaden król, żaden naród — tak pisał Szymon Starowolski w swym dziele „Wojownicy sarmaccy”, wydanym w Kolonii w 1631 r., o pogromcy Zakonu Krzyżackiego, królu Władysławie Jagiellu.

W czerwcu 1984 r. minęło 550 lat od śmierci zwycięzcy spod Grunwaldu, jednego z najwybitniejszych monarchów na tronie polskim. Szkoda, że historycy zapomnieli o tej rocznicy. Żadnej sesji naukowej, żadnego, nawet najskromniejszego eseju czy szkicu na łamach prasy! Czyżby dokonując „wyboru z tradycji”, należało pomijać optymistyczne strony naszej historii?! Zwycięstwo Władysława Jagielly pod Grunwaldem stanowi nie tylko największe wydarzenie jego panowania, ale należy do kilku najważniejszych dat w dziejach Polski, które weszły do historii powszechnej. Sukces grunwaldzki, zalamując potęgę Zakonu Krzyżackiego, zahamował na kilka wieków ekspansję niemiecką na wschód. Wspólnie przelana na grunwaldzkich polach krew wojsk Polski i Litwy zacieśniła też związek obu państw, które zdawały sobie sprawę, że ich współdziałanie było konieczną przesłanką tego wiekopomnego zwycięstwa.

Kiedy w maju 1377 r. wielki książę litewski Olgierd zamknął oczy na zawsze i spalony został na stosie obyczajem pogańskim w lesie Kokiveitus w pobliżu Mejszagoty, jego najstarszy syn z drugiego małżeństwa — z Julianny, księżniczki Tweru — Jagiełło, miał 26 lat. Olgierd nigdy oficjalnie nie wyrzekł się pogaństwa, jego zaś druga żona — córka Aleksandra Michałowicza, księcia twerskiego, a później wielkiego księcia włodzimierskiego — wprowadziła na zamek wileński kulturę ruską, uczęszczała do cerkwi i otaczała się Rusinami. Synowie Olgierda z pierwszego małżeństwa osiedzeni byli na ziemiach kresowych w Połocku, Briańsku, Trubczewsku i Kijowie. Natomiast w Wilnie przy boku Olgierda i Julianny przebywali rodzeni bracia Jagielly: Skirgiełło, Korybut, Lin-gwen, Korygiello, Wigunt i Swidrygiello.

O dzieciństwie i latach chłopięcych Jagielly nie dochowały się wiadomości. Domyślać się możemy jedynie, że wzrastał w atmosferze głośniejszych czynów swych przodków, w tym zwłaszcza wielkiego dziada Gedymina, faktycznego twórcy dynastii i potęgi państwa litewskiego. Po śmierci Olgierda wielkim księciem litewskim przy pełnym poparciu swego stryja Kiejstuta, władcy na Trokach, został Jagiełło. Zmierzając do chrztu Litwy, tak ze względu na należące doń kraje ruskie, jak i w celu uzyskania lepszej pozycji wobec Krzyżaków, napotkał zdecydowany opór stryja, który w 1381 r. opanował Wilno i objął władzę wielkoksiążęcą, zaś Jagiełło został do dawnej dzielnicy ojcowskiej — Witebska. Po roku jednak wygnanie przy pomocy Krzyżaków pokonał Kiejstuta i wtroczył go do ciemnicy na krewskim zamku. Według nieprzychylnych Jagiellu kronikarzy, stryj został na jego rozkaz zamordowany w więzieniu, lecz wydaje się bardziej prawdopodobne, że Kiejstut, mający ponad 80 lat, wyzionął ducha w wyniku gwałtownych przeżyć i brutalnego traktowania.

Za pomoc krzyżacką Jagiełło odstąpił Zakonowi połowę Zmudzi oraz obiecał przyjąć chrzest. Zwiększając z wykonaniem porozumienia, szukał pomocy na Rusi i w Polsce. Odparł zwycięsko w 1383 i 1384 r. wyprawy krzyżackie, a w 1385 r. doszedł do porozumienia z panami małopolskimi, przyrzekając aktem krewskim, w zamian za rękę królowej Jadwigi i obiór na króla polskiego, uwolnienie jeńców polskich, ochrzczenie się wraz z braćmi i całą Litwą, odzyskanie utraconych przez Polskę ziem oraz wcielenie Litwy do Polski. W związku z tym, że Jadwiga we wczesnym dzieciństwie — w wieku lat czterech — była zaślubiona synowi księcia austriackiego Leopolda III Habsburga, Wilhelmowi, Jagiełło zobowiązał się ponadto wypłacić mu przewidywane umową małżeńską odszkodowanie w wysokości 200 tys. florenów.

Po wypędzeniu Wilhelma Habsburga z Krakowa, który na wieść o „litewskich pianach” zjawiał się nad Wisłą w towarzystwie księcia śląskiego Władysława Opolczyka, mającego dopilnować spełnienia małżeństwa, jako że właśnie w tym czasie Jadwiga zbliżała się do ukończenia lat dwunastu, co wówczas stanowiło wiek uprawniający do pozycia małżeńskiego, panowie polscy wymogli na młodzickiej królowej zgodę na poślubienie kandydata z Wilna. W lutym 1386 r. zjazd panów i szlachty w Lublinie powołał Jagiełło na tron polski. Była to faktycznie elekcja, która przypieczętowała unię Polski i Litwy. Do czasu ślubu z królową Jadwigą i koronacji Jagielly nadano mu tytuł „tutora”, czyli opiekuna Korony Królestwa Polskiego. Wymowa polityczna zjazdu lubelskiego była duża. Wynikało z niego bowiem, że związku z Litwą chce nie tylko wąskie stronnictwo możnowładcze, ale cały naród.

Krające plotki odnośnie osoby Jagielly spowodowały, że pełna niepokoju i rozterki Jadwiga wysłała do Lublina, gdzie przebywał w pierwszych dniach lutego 1386 r. wielki książę, jednego ze swych najzaufanych dworzaków, Zawiszę z Oleśnicy, z poleceniem przypatrzenia się mu i opisania jego twarzy, postawy i przymiotów. Relacja Zawiszy z Oleśnicy, którego Jagiełło wziął nawet do łóżka, by mógł go dokładnie obejrzeć, całkowicie królową uspokoiła.

Dobrze poinformowany Jan Długosz tak opisał to wydarzenie: *Jagiello, domyślitoszy się, że wystaniec królowej przybył dla poznania jego urody i budowy ciała, wiedział bowiem, jak fałszywie o jego szpetnej postaci rozgłaszano wieści, przyjął go nader ludzko i uprzejmie. Aby zaś dokładniej się przypatrzył nie tylko urodzie, ale i budowie pojedynczych części ciała, wziął go ze sobą do łóżka. Ten więc przyrzawszy się mu do woli i z dokładnością, a odmówiwszy przyjęcia upominków, którymi go Jagiełło chciał obdarzyć, wrócił do królowej Jadwigi i oznajmił: że książę Jagiełło wzrostu średniego, szczupłej postawy, budowę ciała miał składną i przystojną, wejrzenie wesole, twarz ciętą, bynajmniej nie szpetną, obyczaj poważny i książęcej godności odpowiedni. A tak uspokoił królową Jadwigę, z dawną stroską, bo uprzedzoną o jego szpetności i grubych obyczajach.*

W katedrze wawelskiej 15 lutego 1386 r. dokonany został chrzest Jagielly przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Bodzantę w asystencji biskupa krakowskiego Jana Radlicy. Ojcem chrzestnym był książę śląski Władysław Opolczyk. Na chrzcie otrzymał Jagiełło imię Władysław na pamiątkę ojca chrzestnego Opolczyka oraz króla Łokietka, po każdej przdziada przyszłej małżonki Jadwigi. W trzy dni później, 18 lutego, wielki książę wziął ślub z królową Jadwigą. Uroczysta koronacja Władysława Jagielly odbyła się natomiast 4 marca.

Tak rozpoczął się nowy etap dziejów Polski, oparty na związku z Wielkim Księstwem Litewskim. Unia polsko-litewska zdecydowanie zmieniała układ sił politycznych we wschodniej części Europy i w rejonie Bałtyku. Powstało niespodziewanie potężne państwo polsko-litewskie, nie tylko obejmujące olbrzymie obszary i niemającą liczbę ludności, lecz także dysponujące dużym potencjałem gospodarczym i militarnym. Dominacja państw zakonnych — Krzyżaków i Kawalerów Mieczo-

wych — na południowym wybrzeżu Bałtyku została nagle zagrożona. Stąd różnorodne zabiegi — i to nie tylko ze strony samego Zakonu Krzyżackiego — zmierzające do rozerwania unii, sianie wewnętrznej niezgody, podważanie prawomocności małżeństwa Władysława i Jadwigi, powątpiewanie w prawdziwość chrystianizacji Litwy.

W rok po objęciu tronu krakowskiego, w 1387 r., Władysław Jagiełło mianował zarządcą Litwy i Zmudzi swego rodzonego brata Skirgiełła, co oburzyło ambitnego, pragnącego władzy syna Kiejstuta — Witolda, który liczył na objęcie Wilna. W wojnie, w której stryjecznego brata wspomagali Krzyżacy, Jagiełło obronił całość Litwy, lecz nie zdołał utrzymać Zmudzi, zagarniętej przez Zakon. W 1392 r. doszło do zjazdu Jagielly, Jadwigi i Witolda w Ostrowi Grodzieńskiej, w którego wyniku Witold otrzymał z powrotem księstwo grodzieńskie oraz namiestnictwo w Wilnie. Nie przeciwstawiając się centralistycznej polityce Witolda na Litwie i jego samodzielnemu występowaniu wobec Krzyżaków i Tatarów, król praktycznie kwestionował zasadę włączenia Litwy do Polski, co doprowadziło do rozdzwień między nim a polskimi panami.

W Polsce liczone, że Jagiello i Jadwidze narodził się syn i ten obejmie w przyszłości dziedzictwo. Po dwunastu latach monarszego małżeństwa królowa jednak nadal nie była w ciąży, natomiast Jagiełło dobiegał już pięćdziesiątki, co wówczas znaczyło więcej niż dziś. Na horyzoncie w każdej chwili mógł pojawić się więc nowy kryzys dynastyczny. Wolno było przypuszczać, że młodsza o przeszło 20 lat Jadwiga przeżyje Jagiełło i znów będzie rozporządzać swą ręką i tronem. Pobyt dynastii litewskiej na Wawelu zapowiadał się zatem jako krótki epizod, stąd też polska rada koronna usiłowała zaznaczyć podległość Wielkiego Księstwa, wynikającą z litery zawartych w Krewie porozumień. Rok 1399 należał do ważnych w życiu monarchy. Zaraz w pierwszych miesiącach tego roku poszły radosne pisma Jagielly do papieża Bonifacego IX i innych władców chrześcijańskich. Jadwiga była brzemienną. Król z wczesną zapraszał na chrzciny. Jagiełło nie musiał już teraz tak niepokoić się o przyszłość połączonego państwa. W czerwcu Jadwiga urodziła córkę, która otrzymała imiona Elżbiety Bonifacji i żyła tyłko 22 dni. Królowa już nie podniosła się po łożu. Zmarła 17 lipca 1399 r., mając niespełna dwadzieścia sześć lat. Pochowano ją w katedrze wawelskiej.

W 1400 r. — w pierwszą rocznicę śmierci królowej Jadwigi, która oddała wszystkie swoje klejnoty na Akademię Krakowską — Władysław Jagiełło wydał akt fundacyjny odnowionego Uniwersytetu zwanego odtąd Jagiellońskim. Nazwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, sama w sobie dostojna i już trwała, spycha jednak czyn króla Kazimierza Wielkiego założenia Akademii Krakowskiej w zapomnienie i gotowi jesteśmy mniemać, że jego fundacja z 1364 r. zupełnie zamarła. Tymczasem papież Bonifacy IX pisał w 1397 r., a więc trzy lata przed odnowieniem uczelni: *Była i jest w Krakowie z zarządzenia Stołicy Apostolskiej szkoła główna dla nauk prawnych tudzież dla wszystkich innych dozwolonych umiejętności z wyjątkiem teologii.* Dla odnowionej Wszechnicy, obok istniejących wcześniej wydziałów: nauk wyzwolonych, medycyny i prawa, uzyskał Jagiełło zgodę papieża na otwarcie wydziału teologicznego, czego odmówiono poprzednio królowi Kazimierzowi Wielkiemu, a co dopiero tworzyło w pełni zorganizowany Uniwersytet. Uzasadnieniem powołania wydziału teologicznego była między innymi potrzeba kształcenia księży dla rozpowszechnienia katolicyzmu na Litwie. Do Polski przyrosły bowiem świeżo ochrzczone lub prawosławne obszary Wielkiego Księstwa Litewskiego i Uniwersytet Krakowski musiał sprostać i tym zadaniom. W akcie fundacyjnym odnowionej uczelni Władysław Jagiełło nie wspominał o Kazimierzu Wielkim ani o zmarłej żonie.

(Dokończenie nastąpi)

## Sens muzycznego istnienia

### ROZMOWA Z ADAMEM NANTANKIEM, DYREKTOREM, KIEROWNIKIEM ARTYSTYCZNYM I DYRYGENTEM PAŃSTWOWEJ FILHARMONII IM. H. WIENIAWSKIEGO W LUBLINIE

— Panie dyrektorze, kierowana przez pana od wielu lat Filharmonia Lubelska obchodzi właśnie swoje czterdziestolecie. Po okresie ciągłego „przeplwy” dyrektorów i kierowników artystycznych, od chwili objęcia przez pana placówki w 1961 roku, daje się z biegiem lat zauważyć coraz bardziej znaczącą pozycję Filharmonii w środowisku lubelskim i nie tylko.

— Moi poprzednicy działali w nieporównywalnie trudniejszych warunkach. Skład osobowy orkiestry w dużym procencie stanowiły osoby, których edukacja muzyczna zakłóciła II wojna światowa. W obecnej sytuacji orkiestra symfoniczna Filharmonii Lubelskiej składa się, w znakomitej większości, z muzyków młodych i w średnim wieku, których edukacja muzyczna przebiegała w sposób właściwy, niezakończony. Może także innego rodzaju warunki psychiczne i organizacyjne pracy pozwalają im pracować bardziej twórczo. Niestety, sprawy finansowe przedstawiają się dla nich o wiele mniej atrakcyjnie.

— Co wyróżnia Filharmonię Lubelską wśród innych w kraju?

— Mój temperament i osobiste zainteresowania jako dyrygenta znajdują wyraz w realizacji wielkich form wokaino-instrumentalnych: oratoria, kantaty, opery w wersji estradowej. W tym względzie Filharmonia Lubelska niewiele ma sobie podobnych w Polsce. Nie byłoby to zresztą możliwe bez współpracy z działającymi w Lublinie chórami amatorskimi: Chórem „Echo”, chórami — UMCS, Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej im. Karola Lipińskiego, Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Tadeusza Szulcowskiego, Akademii Medycznej, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Filharmonia, nie posiadając własnego, profesjonalnego chóru, może jednak wykonywać najważniejsze dzieła literatury muzycznej tego gatunku. Warto spojrzeć na tę sytuację nie tylko w kategoriach artystycznych-wykonawczych, ale również socjologicznych. Bawiem od co najmniej dziesięciu lat chóralka w Lublinie rozwinęła się wyjątkowo interesująco. I tworzy to tradycję czynnego muzykowania już setek ludzi różnych generacji, oraz poznawania tej najbardziej wartościowej literatury muzycznej — z autopsji.

— A poza tym?

— Działalność artystyczna Filharmonii rozwija się w trzech zasadniczych kierunkach. Najważniejszy — to cotygodniowe koncerty symfoniczne, prowadzone przede mną oraz współpracującego na stałe ze mną lubelskiego dyrygenta Ryszarda Komorowskiego, a także dyrygentów polskich i zagranicznych. Jest tych koncertów rocznie około stu, wliczając w to oratoria wykonywane w kościołach. Następnie — koncerty kameralne i recitale. M.in. występowały u nas: The Huiliard Quartett z Nowego Jorku, Moskiewska Orkiestra Kameralna Rudolfa Barszaja, Orkiestra Kameralna Filharmonii Wileńskiej pod dyrekcją Sondeckisa, Ars Antiqua de Paris, Orkiestra Kameralna ORTT z Paryża, Brukselskie Consortium Antiquum, Polska Orkiestra Kameralna Jerzego Maksymiuka... Z solistów trzeba wymienić m.in. Swiatosława Richtera, Witolda Małcużyńskiego, Jeoffreya Swanna, Daniela Szafrana. Wreszcie trzecia forma działalności — koncerty edukacyjno-umysłowe, kameralne i symfoniczne, dla młodzieży szkół podstawowych i średnich. Około osiemset koncertów rocznie.

— No i organizowane przez Filharmonię festiwale: Naleczowskie Divertimento mające już czterdziestolecie, nieprzerwaną tradycję. Dni Muzyki Organowej w Kazimierzu nad Wisłą, Lubelski Wzrost Muzyczny oraz ed niedawno organizowane, a bardzo dobrze przyjęte przez publiczność, niedzielne kon-



Rys. Józef Tarłowski

certy muzyczne w Kozłowie, odbywające się w tamtejszej kaplicy pałacowej. Muzyka — potoczna z wycieczką i wypoczynkiem na łonie natury.

— Kozłowska to wspólna impreza z lubelskim „Orbisem”, który wziął na siebie stronę organizacyjną oraz zapewnienie melomanom środków transportu do odległej o ponad trzydzieści kilometrów od Lublina dawnej rezydencji Zamoyskich.

— Ale chciałbym jeszcze na chwilę powrócić do tego, co wyróżnia naszą placówkę. Otóż w ostatnim dziesięcioleciu notuję wyjątkową ilość powstających tutaj zespołów kameralnych. Staram się patronować im z największą życzliwością oraz iść z pomocą. Korzyść bowiem z tego „trendu”, zaznaczającego się tak wyraźnie wśród naszych muzyków, jest obopólna. Każdy duży zespół symfoniczny bez ciągłej kontroli indywidualnej dewastuje aparat gry. Natomiast skłonności solistyczne, lub — co jest jeszcze lepsze — kameralizowanie, pozwalają muzykowi „autoryzować się” swoim nazwiskiem widzianym na afiszu. I nazwałbym taką sytuację zbawienną „dieta-cud” dla „anonimowego” członka wielkiej orkiestry. Ta „dieta” satysfakcjonuje również szefów artystycznych: daje ona bowiem stałą, wyższego rzędu, dyspozycyjność muzyka, zdecydowanie lepszą wrażliwość muzyczną od „anonimowego tutti” muzyka orkiestrowego. Zespoły, o których tutaj mówię, to kwartet fortepianowy, trio stroikowe, trio barokowe, trio fortepianowe, trio harfowe, trio perkusyjne oraz kwintet instrumentów dętych blaszanych.

— Podróżuje pan ze swoją orkiestrą po kraju i po świecie?

— W ostatnim dziesięcioleciu Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Lubelskiej występowała na Węgrzech; trzykrotnie — we Włoszech; zaś zespoły kameralne — w ZSRR, Francji, RFN i we Włoszech. W 1974 roku odbył się m.in. występ naszej orkiestry w Filharmonii w Warszawie, pod moją dyrekcją i z udziałem solistów: Danuty Damięckiej — sopran i Zbigniewa Zienkowskiego — skrzypce; w recenzjach pokoncertowych występ ten zyskał, niezwykle zgodnie, pochlebne recenzje. W tym roku, w listopadzie, otrzymaliśmy propozycję z Filharmonii Narodowej wystąpienia na tamtejszej estradzie; niestety, termin kolidował z naszym wcześniej zorganizowanym, prawie miesięcznym tournée koncertowym w Italii.

— Najbliższe plany koncertowe, po zakończeniu uroczystości jubileuszowych w Lublinie?

— Otrzymałmy ostatnio z Ministerstwa Kultury i Sztuki propozycję wystąpienia — w związku z przypadającą 10 lipca 1985 roku 150 rocznicą urodzin Henryka Wieniawskiego — na koncercie monograficznym. Koncert ten ma być transmitowany przez Interwizję.

— A pańskie „indywidualne” plany zawodowe? Dyrygował już pan gościnnie we wszystkich prawie krajach Europy. Czy szykuje się jakaś nowa podróż artystyczna?

— W styczniu wyjeżdżam dyrygować do Hiszpanii; w kwietniu — do RFN, do Baden-Baden. To są najbliższe zamierzenia.

— Ostatnie pytanie: jaka refleksja nasuwa się panu, przede wszystkim, w związku z czterdziestolecie Filharmonii Lubelskiej?

— Refleksja na temat sensu istnienia naszej placówki w lubelskim środowisku: że ludzie do nas przychodzą. Ze jesteśmy im naprawdę potrzebni.

Rozmawiał:  
Mirosław Derecki

## Ładne loczki neoawangardy

Ireneusz J. Kamiński

**N**A początku lat siedemdziesiątych krytycy i teoretycy stwierdzają pojawienie się „nowej sytuacji w sztuce”: korektami tkwiącej co prawda w procesach artystycznych poprzedniej dekady (i wcześniejszych), ale właśnie teraz, przynajmniej na polskim gruncie, dobitnie wyartykułowanej w praktyce twórczej, choćby w trakcie wielkiego, złożonego z kilku etapów Sympozjum „Wrocław 70”, które z okazji 25-lecia wyzwolenia miasta zorganizowały lokalne władze administracyjne i Towarzystwo Miłośników Wrocławia.

Podczas licznych dyskusji towarzyszących spotkaniu posługiwano się mało dotąd u nas znanymi pojęciami sztuki: „niemożliwej”, „efemerycznej”, „pojęciowej”, „destrukcyjnej”, „biednej”, wzmiankując też o „neodadizmie”. Początkowo nie używano natomiast określenia „sztuka konceptualna”, choć od ogłoszenia „Paragraphs on Conceptual Art” Sol Le Witta w amerykańskim czasopiśmie „Artforum” (latem 1967 r.) do pierwszego spotkania (19 grudnia 1969 r.) krytyków ustalających listę uczestników wrocławskiej imprezy upłynęło już sporo czasu, a i wystawa Roberta Barry’ego, Douglasa Hueblera, Josepha Kosutha i Lawrence’a Weinerja w nowojorskim Mc Lendon Building, uznana powszechnie za premierę historii sztuki konceptualnej (w styczniu 1969 r.), doczekała się licznych omówień w prasie zachodniej, chętnie wertowanej przez polskich artystów i krytyków.

Tę lukę w leksykonie równoważyła przecież sama wystawa projektów, przeznaczonych do „realizacji” w przestrzeni Wrocławia, ba — całego kraju i świata, a w istocie nie nadających się do materializacji i świadomie pozbawionych przez autorów cech obiektów estetycznych. Krótko mówiąc: propozycje Ludmiły Popiel i Jerzego Fedorowicza, Zbigniewa Gostomskiego, Jerzego Rasolowicza i niektórych innych artystów były już wyraźnie spokrewnione z konceptualizmem, a z punktu widzenia gospodarzy symposium okazały się... nieporozumieniem. Liczyli oni bowiem na „powstanie w organizmie miejskim Wrocławia wybitnych dzieł sztuki”, podobnych do eblskich form przestrzennych, a tymczasem np. Tadeusz Kantor wystąpił z projektem 8-metrowego krzesła z betonu, które „nie może być wyizolowane, musi być w samym środku życia i ruchu, na równi ze wszystkimi domami, kioskami, słupami, autami, trotuarami, sklepami, ludźmi...”. Przewidując odrzucenie tej oferty przez mecenasów, podczas pierwszej plenarnej dyskusji artysta zażądał od nich tylko jednego: uzasadnienia decyzji na piśmie(!) poczem oddał się ogólniejszym rozważaniom o sztuce, które z kolei wzbudziły sprzeciw Kajetana Sosnowskiego oraz — co zrozumiale — Mariana Bogusza, planującego z zespołem „Celina” wzniesienie we Wrocławiu formy z metalu i szkła „nasyconego” tekstem poetyckim.

Rok 1970 obfitował w wydarzenia, które usprawiedliwiały ogłoszenie przez krytyków „nowej sytuacji w sztuce”. W kwietniu Tomasz Kawiak obandażował wierzchołki drzew przy ul. Narutowicza w Lublinie, nazywając tę akcję „Bólem Tomasza Kawiaka”. Kilka miesięcy później, wspomagany przez kolegów uzbrojonych w armatkę, artysta wtargnął do gmachu „Zachęty”, gdzie uroczysto otwierano właśnie III Międzynarodowe Biennale Plakatu, którego honorowym patronem był premier Józef Cyrankiewicz. Przyodział na białą nocną koszulę, poruszający się na wrotkach, Kawiak zachęcał publiczność do przeniesienia się na „antybiennale” w „Galerii Współczesnej” Boguckich, gdzie odbywał się pokaz pt. „Informacja — Wyobraźnia — Działanie”, firmowany m.in. przez Jana Dobkowskiego, Jerzego R. Zielińskiego, Krzyszłofa Zarębskiego, Grzegorza Kowalskiego, Andrzeja Dłużewskiego,

Kawiaka oraz zespół: Szabolcs Eszterny, Elżbieta Góral, Krzysztof Wodiczko, który zachęcał do odświeżenia wrażliwości i wyobraźni przy pomocy zwykłego, nie artystycznego przedmiotu, a właściwie — drogą uważnego, pozabawionego rutyny przyglądania się rzeczywistości, stanowiącego niejako szansę odnalezienia siebie w chaosie dookólnych zdarzeń. Ta metoda przekreślała sens wykonywania obiektów estetycznych i egzystowania sztuki w galeriach, ale w oczach dwóch innych uczestników pokazu przedstawiała się chyba jako zbyt liryczna, skoro wystąpili oni z następującym oświadczeniem:

„Przemysław Kwiek i Jan Wojciechowski, nie chcąc dokładać eksponatów do gabinetu osobliwości, dla których bezpiecznym azylem jest galeria, postanowili przepracować fizycznie cztery dni, a zarobione w ten sposób pieniądze przeznaczyć dla dzieci niewidomych w Łaskach pod Warszawą”.

Znana z połowy lat sześćdziesiątych idea sztuki w strukturze rzeczywistości, realizowana choćby na sposób eblski, nabrała z czasem nowego sensu: sztuki w tkance życia, który na początku omawianej dekady zaczął określać postępowanie licznych środowisk młodoartystycznych.

Wszystkie wymienione zjawiska, wybrane z obszerniejszego kalendarium rewolucji sztuki 1970 roku, miały swoje źródła czy precedensy w twórczości rozwijającej się w poprzedniej dekadzie: na ogół drogą jednostkowych doświadczeń przejęcia idei i praktyk z obszaru kultury zachodnioeuropejskiej lub amerykańskiej. Czy więc rok 1970 można w ogóle uznać za graniczny, otwierający nową sytuację w sztuce polskiej? Niewątpliwie tak, albowiem wtedy właśnie w ruchu artystycznym pojawiła się młoda generacja absolwentów wyższych szkół plastycznych, która programowo i z rosnącą samoświadomością własnych poczynań podjęła idee sztuki postprzedmiotowej, sprzeciwiając się z czasem nawet rodzimym antenatom, uznanym przez młodzież za zamaskowanych konserwatystów o miodopolskiej duszy.

Pierwszą obszerniejszą próbę diagnozy nowych sytuacji w sztuce, próbę rekonstrukcji procesów, które w skali światowej doprowadziły do rozbicia dawnych paradygmatów artystycznych, podjął w 1970 roku Jerzy Ludwiński, publikując tekst pod „anglosaskim” jakby tytułem „Sztuka w epoce postartystycznej”. Autor wspominał już o sztuce konceptualnej.

Świadomość wielkiej zmiany w sztuce była wówczas powszechna w środowisku czolowych krytyków i teoretyków. Na VIII plenerze osieckim, w sierpniu 1970 roku, kiedy to Ludwiński wygłosił odczyt o treściach właściwie identycznych ze wspomnianym wyżej artykułem, Stefan Morawski wystąpił z tekstem „Kryzys pojęcia sztuki”. Nieco później Wiesław Borowski i Andrzej Turowski wyrazili przekonanie, że jeszcze przed rokiem 1970 rzeczywistość sztuki wkroczyła w nową erę — dokumentacji.

Przez następnych kilka lat „meta-sztuka”, „sztuka po filozofii”, „arty-sztuka”, „po-artuka”, „sztuka postprzedmiotowa” przeżywa autentyczną hossę, zawdzięczając to po części energii i zapamiętaniu swych młodych protagonistów, którzy po raz pierwszy gremialnie wystąpili na I Festiwalu Studentów Szkół Artystycznych w Nowej Rudzie (1971 r.), zorganizowanym m.in. z inicjatywy Przemysława Kwieka, a kontynuowanym później cyklicznie w różnych miejscowościach kraju, np. w Świnoujściu (FAMA) czy Bolesławcu (FAKT 1978).

Od początku dekady młodzi artyści dają się też poznać jako inni lub bardziej wnikliwi czytelnicy specjalnego rodzaju piśmiennictwa, które ma im pomóc w zagospodarowaniu sztuki mentalnej, medialnej etc. Zachęca na do tego przez Jana Swiadeńskiego

(posobiącego się do ogłoszenia koncepcji sztuki kontekstualnej) czy przez Zbigniewa Dłubaka (od 1971 roku prowadzącego Pracownię Fotografii i Filmu na Wydziale Grafiki łódzkiej PWSSP), młodzież przegląda najczęściej takie książki, wydane w Polsce w różnych okresach lat siedemdziesiątych, jak Umberto Eco „Pejzaż semiotyczny” i „Dzieło otwarte”, Rolanda Barthesa „Mit i znak”, Jana Mukarovsky'ego „Wśród znaków i struktur”. Zainteresowaniem cieszą się pisma Marshalla McLuhana, Karla Poppera oraz Ludwiga Wittgensteina, albowiem stwierdził on swego czasu, że „granice mojego świata”, oraz Noama Chomsky'ego, autora koncepcji „kompetencji językowej”. Natomiast artyści realizujący się w różnym rodzaju akcjach odwołują się do myśli Herberta Marcuse i do publikacji omawiających buddyzm zen.

Owe lektury przynoszą przecież różny skutek; najczęściej w pamięci czytelników-artistów pozostaje tylko frazeologia „naukowa”, z zabawnym skutkiem wykorzystywana w tekstach własnych. Trudno się zatem dziwić Grzegorzowi Sztubińskiemu, malarzowi i doktorowi filozofii, który zetknawszy się z tym górnym na sympozjum fotograficznym „Uniejów 76”, napisał wspólnie z M. Bacciarim i L. Szurkowskim parodię manifestu rzekomego prądu o nazwie „Car-art as theory of art”.

Jeśli zaś chodzi o czasopisma, to zazwyczaj przegląda się: włoskie „Flash Art” i „Artes Visuales”, „Art in America”, „The Fox” i „Artforum”, choć to ostatnie wzbudza pewną nieufność jako „organ galerii komercyjnych”. Wśród periodyków zachodniemieckich wyróżniają się „Heute Kunst” i kolońskie „Kunstforum International”. Ukazujący się od 1974 roku polski dwumiesięcznik „Sztuka”, wprowadzony w miejsce zlikwidowanego „Przeglądu Artystycznego”, przyjmowany jest z umiarkowanym początkowo, a z czasem rosnącym zainteresowaniem; proporcjonalnym do miejsca poświęconego przez problematyce „innych mediów”. Takim właśnie terminem zaczyna się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych określać syndrom „sztuki w epoce postartystycznej”, na przestrzeni całej dekady obejmującej następujące fenomeny: konceptualizm, postkonceptualizm, foto art, video, sztukę nieba, land art, body art, kontekstualizm, sztukę analityczną, sztukę socjologiczną, performance, interwencje, ruch kontestacyjny, działania parateatralne i interdyscyplinarne, poezję wizualną, sztukę poczty, sztukę stempla...

Animatory ruchu nie tylko przecież czytują cudze teksty, ale sami piszą spore elaboraty (Jan Świdziński, Andrzej Kostolowski) i notują, dokumentują, oświadczają — utrwalając swoje przemyślenia i obserwacje w katalogach, broszurach, drukach ulotnych, odbitkach kserograficznych. Pewna część tej produkcji nosi cechy wypowiedzi dyskursywnej, inna stanowi załącznik do dzieła w postaci konstrukcji pojęciowej i eksponowana bywa w galeriach (wedle amerykańskiego pierwowzoru Seta Siegelauha). Ponadto pojawiają się wydawnictwa mikrowane: łączące elementy dokumentacji z refleksyjnym komentarzem, czego instruktorywnym przykładem może być „Antologia kreatywna” wypowiedzi 68 artystów i krytyków z kilku krajów świata, zainicjowana w 1972 roku przez Jana Chwałczyka, a opublikowana bodaj dwa lata później. Podwójną funkcję spełnia też „Notatnik Robotnika Sztuki”: informator i almanach koncepcji artystycznych, od stycznia 1972 roku do czerwca 1973 wydawany przez Galerię EL — Laboratorium Sztuki (ukazało się pięć numerów). W lawinie przeróżnych druków wyróżnia się, swoją specyficzną formułą i konsekwencją, działalność edytorska prywatnego „Biura Poezji” Andrzeja Partuma, który od lat rozsyła po świecie swoje teksty kreatywne, fotokopie podań do władz i takie np. oświadczenia:

**„POGARDA**

Za teatr śmierci w którym autor ułożenia się z rozkładającym trupem — manekinem bez sensu wobec aktualnych dokonań w sztuce.  
Za szczerą galerii faksal podgrzyżającego wartości życia twórczego zębami ekletycznego nerwu przedłużonego do oszałamiającego i spekulacji, konwencji wymachiwania na „nie” wszystkiemu co nowe”.

„Pogardę” z 1976 roku skierował Partum pod adresem: Tadeusza Kantora, Wiesława Borowskiego, Macieja Gutowskiego, Andrzeja Turowskiego i Magdaleny Hniedziejewicz.

Inny typowy i rozległy teren manifestacji artystów tego ruchu stanowi sympozja, seminarium i przeróżne zjazdy. Odbijają się one w Elblągu, gdzie już dawno zapomniano o Boguszowej formule Biennale Form Przeszłych, zamieniając je w miejsce dyskusji, pokazów i akcji „nowej sztuki” („Zjazd Marzycieli” w 1971 r., „Kino Laboratorium” w 1973 r.). Odbijają się w Pawłowicach („Interwencje”), Dłusku („Antycypacje”), Uniejowie („Fotografia poza galerią”), Katowicach („Stany graniczne fotografii”), Wrocławiu („Poezja wizualna”) w Galerii Sztuki Najnowszej, Lublinie („Oferta” galerii „Labyrinth”), Warszawie, Białowieży, Gorzowie, Kazimierzu Dolnym, Swinoujściu i w innych jeszcze miejscowościach. Wyjątkowo niespożyty organizatorem takich spotkań jest Jerzy Olek: krytyk, artysta, propagandysta, spiritus movens i autor nazwy fot-artu, twórca dyskusyjnego forum „Foto — Medium — Art” we Wrocławskiej Galerii Fotografii (od grudnia 1977 r.), w końcu szef tej instytucji.

Około połowy lat siedemdziesiątych zarysuje się pewna prawidłowość frekwencyjna, znamieną dla wspomnianych imprez: ich trzonem personalnym będzie ciągle ta sama, licząca około 20—30 osób grupa artystów i krytyków.

Energia i aspiracje protagonistów „nowej sztuki” materializują się na koniec w bezustannym powoływaniu do życia galerii autorskich. Szacuje się, że w omawianej dekadzie działało ich ponad 60 (!), co stanowi fakt wręcz oszałamiający wobec liczby zaledwie pięciu takich placówek, znanych w poprzednim dziesięcioleciu. Owszem, niektóre z nowo powstałych galerii żywot miały efemeryczny lub cherlawy, ale nie osłabia to wymowy cytowanej statystyki, która wskazuje na dynamikę ruchu, mówi co nieco o społecznych możliwościach eksponowania przez własnych dokonania. Interesujące przy tym, że sporo placówek powstało w niewielkich ośrodkach, pozbawionych odpowiedniej tradycji i środowiska zainteresowanego manifestacjami „nowej sztuki”. Oto fragmentaryczna lista owych galerii, na której pominięto m.in. te, które uruchomiono w latach sześćdziesiątych: „fs” (Biała Podlaska); „Znak” (Białystok); „GN” (Gdańsk); „B” (Gniezno); „Propozycje”, „Pi”, „Stu” (Kraków); „Arcus”, „Labyrinth” (Lublin); „Ślad”, „Adres” (Łódź); „Akumulatory-2” (Poznań); „Azył” (Toruń); „Repasage”, „Remont”, „Studio”, „Dziekanka”, „Biuro Poezji”, „Pracownia Działań, Dokumentacji i Upowszechniania”, „Mała Galeria Fotografii”, „Galeria Krytyków” (Warszawa); „Permafo”, „Kwartal”, „Galeria Sztuki Najnowszej”, „Galeria Sztuki Aktualnej”, „Wrocławska Galeria Fotografii — Foto-Medium-Art” (Wrocław). Funkcjonowały ponadto takie specyficzne instytucje, jak „Galeria Latająca” Wiesława Smużnego oraz Nieistniejąca Galeria „Nie” a później „Tak” Anasztazy Wiśniewskiego.

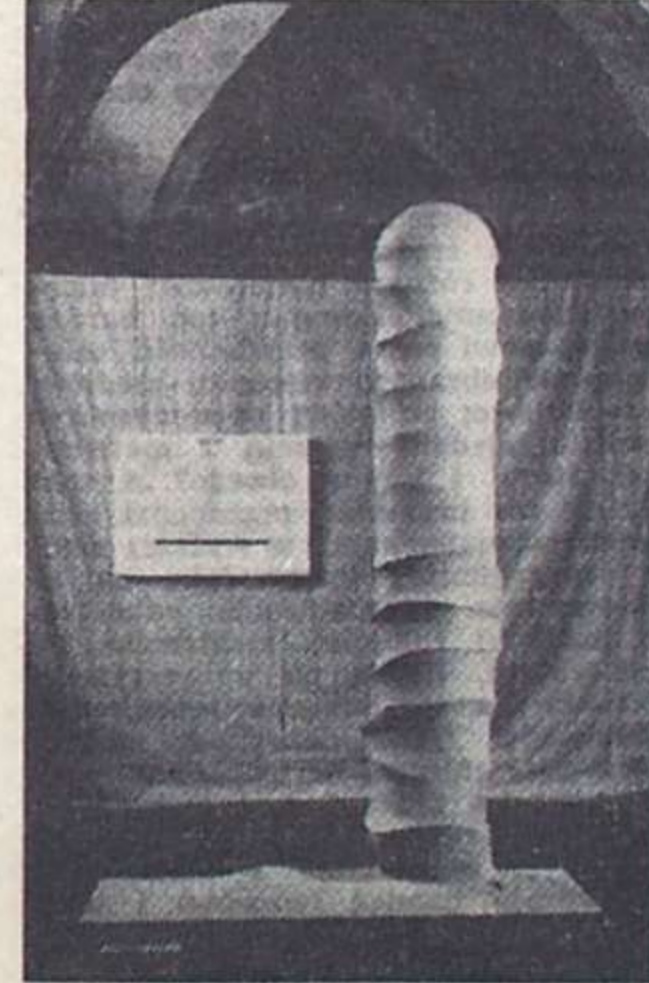
Należy też wspomnieć, że w 1974 roku kierownictwo stołecznej „Galerii Współczesnej” przejęli Jacek Drabik i Zdzisław Sosnowski, którzy odstąpili od szerokiego dotąd programu placówki (Boguckich) zajęli się urządzeniem pokazów video, foto-artu, sztuki socjologicznej.

Polska „sztuka w epoce postartystycznej” szybko zyskała szerokie pole samorealizacji, obwarowane służącymi jej instytucjami w rodzaju galerii autorskich, sympozjów, seminarium. Zbudowała sprawny system wewnętrznej (krajowej) informacji, otrzymała możliwości komunikowania się z pokrewnymi jej formacjami za granicą: w RFN, Francji, Wielkiej Brytanii, Szwecji, we Włoszech, także w Stanach Zjednoczonych i Japonii. Artyści z tych krajów uczestniczyli w polskich imprezach, warszawiacy, wrocławianie czy łodzianie wyprawiali się na Zachód. Cały ten ruch wspomagny był finansowo i organizacyjnie przez administrację państwową, młodzieżowe organizacje społeczno-polityczne, stowarzyszenia kulturalne. Zdecydowana większość wspomnianych galerii autorskich, a więc swobodnie ustalających swój program, z tej właśnie kasy czerpała środki na utrzymanie i działalność, na zakup kosztownego sprzętu elektronicznego, filmowego etc. „Warsztat Formy Filmowej” istniał w oparciu o łódzka uczelnia; ołastyrzka „Pracownia” wspomagała

Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”; w urzędzeniu wielkiej imprezy „Galerii Współczesnej” pt. „CDN Prezentacje Sztuki Młodych” partycypowały: Ministerstwo Kultury i Sztuki, ZPAP, Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej oraz PSP; galeria „Studio” współpracowała z MKiS oraz z Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu m. Stołecznej Warszawy i dzięki temu zyskała pieniądze na zgromadzenie świetnej kolekcji; galeria „Labyrinth” działała w ramach Lubelskiego Domu Kultury, środki na organizację międzynarodowej „Oferty”, która skupiła kilkudziesięciu artystów na okres pięciu dni, otrzymując m.in. z Towarzystwa Wiedzy Powszechnej.

Mnożenie podobnych przykładów byłoby czynnością tyle łatwą, co w pewnym sensie beznadziejną, albowiem fanatyczny zwolennik ruchu i tak dopatryliby się w tym jakiejś tendencji. Lepiej więc będzie, jeśli przytoczymy opinię Izabeli Gustowskiej na temat mecenatu ZSP i Socjalistycznego Związku Studentów Polskich nad młodą i nową sztuką. Otóż w 1979 roku artystka oświadczyła, że mecenat ten był poważny i „nie wynikał z braku orientacji, ale z politycznej tolerancji, obejmującej wielość zjawisk składających się na działania artystyczne lat 70-tych”.

Od początku lat siedemdziesiątych antysztuka parla do przodu w nastroju wręcz euforycznym. Tymczasem już w listopadzie 1974 roku na łamach „Sezonu” — tygodniówki krakowskiej krytyki plastycznej — ukazał się list pt. „Na razie głucho o rozwoju waszych propozycji”, skierowany do „Agencji Sztuki Aktualnej”, firmowanej przez D. Bagińskiego, J. Hakę, J. Marcolle i Z. Sosnowskiego. Tekst o tonacji i objętości typowego felietonu rozpoczął się dźwięczną inwokacją „Zdzichu!”, a jego autorem był Jan Ś. Wojciechowski. Przyznając, że zmęczyło go już czekanie na zapowiadany przez „Zdzicha” moment „wielkiego skoku” w sztuce, autor stwierdził m.in.:



Anasztazy Wiśniewski: „Pręgiery” — obiekt w kolorze różowym, w formie jakby phallicznej, pokazywany na wystawie Sympozjum „Wrocław 70”.

Fot. Zdzisław Holuka

„To, co pociąga mnie jeszcze w środowisku awangardy, to właśnie gotowość do demonstrowania wigoru, to bezkompromisowe szaleństwo angażowania się we wszystko. Jest w tej postawie zależa ważna — przyspieszenie procesu myślenia i działania. Jest też niebezpieczeństwo rozkręcania młyna, który miał być co lub zgola nic. Różnica między twórcą a twórcą awangardowym jest tylko w nasileniu determinacji i odwagi wszelkiego szaleństwa, u notorycznych awangardzistów przetrada się to w „drzenie rak” i gonitwę myśli lub zwykłą furję, w której wszystko stać się może podmiotem nie kończących się hipostaz.

To, co kategorycznie odrzuca mnie od awangardy, to wynikająca z ciągłej gorączki kulturowa ślepota, skrywana często pozorami scjentystycznej erudycji lub zwykłym maniactwem”.

W połowie lat siedemdziesiątych „sztuka postartystyczna” zaczęła tracić swych dotychczasowych sojuszników. Jan Świdziński stwierdził później (1981 r.), że z popierania nowego ruchu wycofali się wtedy: Bacciarrelli,

Magdalena Hniedziejewicz i Maciej Gutowski. Mało tego: „W krytyce oficjalnej zaczęły się również pojawiać wyraźne ataki na awangardę”. Nie precyzując, kto zaczął reprezentować „krytykę oficjalną”, kontekstualista zdobywa się przecież na odwagę i umieszcza ową wzmiankę o inkryminowanych (a nie?) w szerszym kontekście własnych supozycji, jakoby w tym samym okresie zmieniła się polityka kulturalna i zaczęło się blokowanie dalszego wzrostu liczby galerii niezależnych, ograniczanie dotacji i kontaktów zagranicznych, cenzurowanie nawet akcji i innych działań. Świdziński nie dostrzega głównego źródła owych ograniczeń, jakie tkwiły w rozpoczynającym się właśnie i nekającym cały obszar kultury kryzysie gospodarczym kraju, diabolizuje rutynowe czynności cenzury i uogólnia pojedyncze przypadki ostrzejszych jej interwencji — bo tylko na takim tle może budować spektakularny mit heroicznej awangardy i na innych zwałach winę za jej autokompromitację. Podczas dyskusji w redakcji „Sztuki” (relacja pod tytułem „Neo czy pseudo” w nr. 4 periodyku z 1981 r.) oświadczył wręcz: „Awangarda została skanalizowana i następnie w gruncie rzeczy rozbita”. Szkoda wszakże, że Świdziński nie wskazał na pewien szczególnie przypadkowy owego „kanalizowania”, charakteryzowany taką oto informacją w wydawnictwie „Wypisy ze sztuki” galerii „Arcus”, zawierającym materiały z Konferencji Sztuki Kontekstualnej w Kazimierzu Dolnym (maj 1977 r.):

„Publikacja ta powstała dzięki osobistemu zaangażowaniu Jego Magnificencji Prorektora Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, doc. dr Albina Kopruckowniaka, za co składamy serdeczne podziękowania”.

Realne fakty i trzeźwe opinie prowadzą do jednego tylko wniosku: że „nowa sztuka” była mocno i bezboleśnie zakorzeniona w establishmentie kulturalnym, a wielu jej przedstawicieli wręcz zabiegało o uznanie ze strony oficjum. Oczywiście, nie byłoby w tym nic szczególnego czy zdrożnego, gdyby nie fakt, że artyści programowo głoszący potrzebę odświeżenia wrażliwości i wyobraźni, penetrowania rzeczywistości i przenikania w materię życia, pojmujący sztukę jako „formę kreowania człowieka” i narzędzie analizowania relacji między układem artystycznym i społecznym, że właśnie oni przymykali oczy na realne treści polskiego bytu zbiorowego w latach tzw. propagandy sekcesu, odpowiadających okresowi ich największej ekspansji. To była reguła — z nielicznymi odstępstwami, sygnowanymi np. działalnością warszawskiej Akademii Ruchu (zespołu Wojciecha Krukowskiego) czy niektórymi innymi wystąpieniami. Przytłaczająca większość artystów tej orientacji oddawała się zabawom klerków: „odświeżala” wzajem w przytulnych salach galerii, bawiła gapiów na dworcach kolejowych, badała strukturę samego „zjawiska telewizyjnego” (ale już nie programy TVP), trudniła się zapisywaniem własnej mentalności na ekranach video i to jej w zupełności wystarczało do zachowania spokoju sumienia i autonomii na kontestatorów. Wystąpiwszy na początku lat siedemdziesiątych pod ogólnikowym hasłem niezgody na status quo ta generacja nigdy nie utraciła buntowniczego samopoczucia i przekonania o swojej misji (dziejowej?), choć w praktyce życia — które miało przecież być tworzeniem jej kreatywnej aktywności — skwapliwie omijała realne dylematy społecznej egzystencji. Fałszywa świadomość, konformizm ufryzowany na rewolucję?

Z dwuznaczności, mówiąc ogólnie, tej sytuacji zdał sobie sprawę cytowany Jan Wojciechowski, publikując w 1978 roku artykuł „Represyjny stereotyp nowatorstwa”, w którym zakwestionował sens totalnych utopii sztuki i zachęcał artystów do rozsądnego kompromisu z rzeczywistością. Było to przynajmniej jasne postawienie sprawy.

Kilka lat później, w trakcie dyskusji zrelacjonowanej w cytowanym numerze „Sztuki” z 1981 roku, Stefan Morawski stwierdził dobitnie że kontestacja ujawniła się poza neoawangardą, przede wszystkim w rysunku matrycznym oraz w obrazach: no Jerzego Dudy-Gracza czy Edwarda Dwurnika. Dodam od siebie: także, dobitnie, w twórczości członków grupy „Wprost”.

# Nie marnować talentów!

**Z**DUMIEWA mnie ankietę ogłoszoną swego czasu w wielu czasopiśmie. Problem: kto ma studiować? — nie można przecież rozwiązywać w oparciu o mniemanie opinii publicznej. Jest to bowiem problem racji stanu, narodu, kultury i nauki polskiej — a nie spór strzeżeń ludzi, których do zabrania głosu (ściślej: wypełnienia ankiety) skłoniła obecność tejże ankiety na łamach czytelnego pisma.

Na szczęście opinia publiczna nie określa racji stanu, choć nie zawsze musi być z nią sprzeczna.

Ponieważ sprawę pilotuje Ministerstwo Nauki itd., mam nadzieję że będą ważne argumenty, a nie tłumy. Znaczący to, że np. jeśli jakiś malorolny Bonifacy Krówka z gminy Kocielby zgłosi zdrową myśl, to będzie ona wcielana w życie, choćby i 95 proc. publiczności miało zdanie odmienne, a 4 proc. wstrzymało się od głosu. Na marginesie: czym się różni nasza świadomość społeczna od naszej gospodarki? Tym, że jest w o wiele gorszym stanie, a gospodarkę już zaczęto reformować.

Chyba nikt nie wątpi, że społeczeństwo powinno być zdrowe i myślące. Będzie takie, jeśli zapewni sobie odpowiednio wyżywienie, ochronę zdrowia i system oświecenia publicznego. System ten powinien sprzyjać maksymalnemu wykorzystaniu najcenniejszego bogactwa, jakim są ludzkie zdolności i predyspozycje.

Przed 12 laty Zygmunt Szeliga (w pracy zbiorowej „Polski problem nr 1”, PIW 1972) podał takie dane: na jednego ucznia liceum ogólnokształcącego przypada u nas ponad czterech kształcących zawodowo, podczas gdy we Francji jest 4:1, w Japonii 3:1 na korzyść kształcenia ogólnego. Danych bieżących nie znam, ale widzę, co się przez te 12 lat zmieniło. W bardzo wielu okolicznych LO zmniejszono liczbę klas i przyjętych uczniów, w niektórych utworzono klasy zawodowe, zaś jeszcze inne LO nazywają się teraz „zespołami szkół” i nie w każdym z nich jest chociaż jedna klasa liceum ogólnokształcącego.

Ogromna część młodzieży uczy się konkretnego fachu w szkołach ponadpodstawowych, nie dających matury i praktycznie zamykających drogę do dalszego kształcenia. Precyzyjnie określił to Zbigniew Żaluzki, pisząc o ślepych zaułku szkoły zawodowej (też 12 lat temu, w cytowanej książce). Jako nauczyciel — nie widzę światła w zaułku.

I tylko czytam w prasie, że zaledwie 15 proc. absolwentów technikum pszczelarstwa w Paszczelnej Woli ma pracę w jakikolwiek sposób związaną z pszczelarstwem, zaś tylko 10 proc. absolwentów zespołu szkół poligraficznych w Warszawie trafiło do poligrafii...

Japończycy takich kłopotów zapewne nie mają. U nas zaś ciągle istnieje problem z fachowcami: jednych brakuje, drugich za mało, trzecich za dużo, a czwartych nie ma wcale. Posiadamy 26 razy więcej techników i 3 razy więcej inżynierów (w stosunku do ludności) niż w USA, aż dziwne, że Zachód nie ustawia się w kolejce po nasze licencje.

No i trzeba wiedzieć, że w wieku lat 15 nie da się (metodami chałupniczymi) prawidłowo wybrać zawodu, zaś szczególnie łatwo jest trafić w

zaułek. Nie zapominajmy przy tym o — nierównomiernym w czasie — rozwoju psychofizycznym chłopców i dziewcząt.

Zobaczmy, ile i czego uczą się uczniowie w trzech typach szkół średnich na rok przed maturą.

Oto klasa III liceum ekonomicznego, specjalność surowce rolne: wymiar tygodniowy 35 godzin, w tym 17 to przedmioty zawodowe, zaś 14 — ogólnokształcące. Oto klasa IV pięcioletniego technikum mechanicznego, specjalność obróbka skrawaniem: wymiar tygodniowy 36 godzin, w tym 20 — przedmiotów zawodowych, zaś 13 ogólnych. Oto klasa III liceum ogólnokształcącego: wymiar tygodniowy 30 godzin, w tym 27 — przedmiotów ogólnych.

Z podanych liczb wynika, że młodzież szkół średnich zawodowych jest bardziej przeciążona nauką, a za to na egzaminie wstępnym na wyższe uczelnie ma nikłe szanse w porównaniu z kolegami z LO — przy obecnej formie egzaminu.

Czym jest taki egzamin? Przede wszystkim sprawdzianem wiadomości z pewnych przedmiotów wykładanych w szkołach średnich w różnym wymiarze, na różnym (najczęściej mierzalnym) poziomie. Egzamin ten bardzo rzadko mówi coś o przydatności człowieka do obranego kierunku studiów. Przykładowo: co mówi o predyspozycjach kandydata egzamin z matematyki, fizyki i języka obcego? A taki właśnie tor przeszkód przechodzi kandydat na: matematykę w wyższej szkole pedagogicznej, informatykę na uniwersytecie, mechanizację rolnictwa w akademii rolniczej, elektronikę na politechnice, fizykę na uniwersytecie, a także na wychowanie techniczne... Absolwenci tych kierunków stykają się z dość różnymi wymaganiami, stawianymi im przez rodzaj wykonywanej pracy. Jako matematyk pragnę zauważyć, że zadania z matematyki sprawdzają pamięć (wzorów) i technikę operacji, a czy mogą cokolwiek mówić o predyspozycjach do konkretnej pracy — tego naprawdę nie wiem.

Powiedział kiedyś d'Alambert: „dajcie mi woła, a nauczę go matematyki”. Ja taki dobry nie jestem, ale potrafię nauczyć każdego chętnego. A zatem: skoro potrafisz nauczyć każdego (chętnego), to o czym świadczy wynik z tego przedmiotu? O predyspozycjach? O talencie? O tym, że absolwent uczelni będzie dobrym elektronikiem, nauczycielem matematyki czy wychowawcą technicznego? Zauważmy, że z niektórych szkół średnich 100 proc. absolwentów starających się na studia zdobywa indeksy. A inne szkoły nie „wydają” nawet jednego studenta, choć wielu uczniów próbuje dostać się do uczelni. Czyli egzamin w formie obecnej sprawdza poziom szkoły średniej, a nie ucznia. Inaczej: egzamin ten sprawdza przygotowanie do egzaminu. A już całkiem inną kwestią jest czas potrzebny na przygotowanie do egzaminu: zdolnemu na daną partię materiału wystarczy 5 godzin, przeciętny potrzebuje 20 godzin.

Gdy popyt przewyższa podaż, obserwuje się takie zjawiska, jak czarny rynek, spekulacja, oszustwa, talony, reglamentacja, swoisty doping. Jest tak i z naborem na studia. Rodzajem dopingiem są tu korepetycje. Nie znam ich skali, ale z punktu widzenia prawidłowości naboru trudno je uznać za czystą grę. Z punktu widzenia logiki są bardzo uczciwe, bo czyż można komuś zabronić trenowania przed zawo-

## Zbigniew Litwiniec

dami? Ze społecznego punktu widzenia — nie każdego na nie stać. Jak by spojrzeć, korepetycje zniekształcają prawdziwy obraz kandydata i wyniki egzaminu: preferują wytrenowanych, zmniejszają szanse Janków Muzykantów.

Co więc zaproponuję w sprawie naboru na studia? Najpierw zapytam: czy egzamin wstępny jest w ogóle



Rys. Zygmunt Pytlík

potrzebny i jaki jest jego cel? Zdałoby się, że ze względu na oczywistość odpowiedzi stawianie takich pytań jest dziwne, ale... Chciałbym być leczony przez tylko dobrych lekarzy (choćby wolałbym pić wódkę w najlepszej klinice); chciałbym, by moje dzieci były uczone tylko przez dobrych nauczycieli itd. Czyli trzeba, by najlepsi zostawali nauczycielami, lekarzami...

Ale gdy najlepszy zostanie lekarzem czy nauczycielem, to będzie dobrym fachowcem? Przypuszczam, że doktor Cwach był dobrym uczniem i studentem; mógłby kandydować do Nagrody Nobla, ale jako lekarz się nie sprawdził.

Uważam, że potrzebne jest kryterium negatywne, by odrzucić jednostki nie nadające się do pewnych czynności, np. ponurak czy złośliwiec nie może być nauczycielem, dziewczyna na egzaminie wstępnym na weterynarię powinna umieć zarządzić i pochwalić krowką czy podobne żywe stworzenie.

Po takiej negatywnej selekcji potrzebne jest kryterium pozytywne, mówiące: A będzie dobrym lekarzem, B — dobrym ekonomistą, C — inżynierem, D — najlepszym archeologiem śródziemnomorskim z lewej strony Wisły itd. Jak dotąd, kryteriów takich nie stosuje się, choć chyba istnieją. Pamiętajmy, że koleżdy, którzy wypadli z pierwszego roku studiów, całkiem dobrze radzili sobie na innych kierunkach; tyle że przedtem odwieźdli odpowiednią poradnię.

Właściwie powinno się stosować najpierw kryterium pozytywne, bo po co wypominać ludziom ich ułomności przed odkryciem zdolności; kandydat na wybitnego lekarza nie musi wiedzieć o przeciwwskazaniach do uprawiania pilotażu czy nurkowania, wystarczy mu wiedzieć, że ma predyspozycje do zawodu lekarza.

Czyż nie byłoby ciekawe zobaczyć taką diagnozę: kandydat X może ukończyć studia medyczne w ciągu 5 lat przy ocenach wyłącznie bardzo dobrych i zostać tylko Cwachem a kandydat Y ma szanse zostać wybitnym chirurgiem, ale oceny będzie miał jedynie dostateczne, a studia zajmuje mu lat 8?

Przed 12 laty, w programie telewizyjnym „Trybuna Obywatelska” chłop zadał pytanie: jak to jest, że jeden mój syn po zawodówce zarabia 4,5 tys. zł, a drugi, magister 2 tysiące?

Dopóki kształcenie dziecka nie będzie opłacalne dla chłopca, dotąd chłop będzie wysyłał swoje dzieci, nawet bardzo zdolne, do zawodówki czy technikum — a nie do ogólniaka. Po zawodówce dziecko szybko się usamodzielnia, a po roku zarabia więcej, niż absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej wybierający się na emeryturę. Dzieci chłopskich będzie w szkołach średnich jeszcze mniej, ale nie wymagamy od chłopca, by myślał kategorią państwa, społeczeństwa czy nauki polskiej. Wymagamy tego od kierownictwa państwa, Polskiej Akademii Nauk itd.

Zwykła arytmetyka dowodzi, iż nie ma tłoku do liceów ogólnokształcących. Rzecz wstydliwą jest, że kiedy przed rokiem Daniel Passent uznał te luzy w LO za nieprawidłowe, to na łamach gazety rządowej uznano, że nieprawidłowe jest... stanowisko publicysty. Widać w „Rzeczpospolitej” nie wiedzą, że jeden patent może dać krajowi więcej, niż daje niejedna fabryka.

Uważam, że ponad 50 proc. talentów grzebie się w wieku lat 15, właśnie w chwili wyboru szkoły ponadpodstawowej.

Kiedy będzie wylowione minimum 90 proc. talentów? Będzie to już w 5 lat od ustanowienia takiego systemu plac, wg którego średnie place obywatela z wykształceniem podstawowym, zawodowym, średnim i wyższym będą się miały jak 5:7:9:12 (ewentualnie 5:6:7:10). Wystarczy przyjąć taki system plac i odczekać 5 lat. Albo stosować ćwierćśrodki, odczekać 6 tysięcy lat i stwierdzić, że już jesteśmy społeczeństwem zdrowym i myślącym.

Rodzina nie powinna ponosić kary za to, że ktoś jest uzdolniony, albo nie idzie na latwiznę, tylko na studia. Tymczasem rodziny prymusów musząłożyć na ich utrzymanie 4—6 lat dłużej, niż inne familie. To powinno ulec radykalnej zmianie. Uważam, że należy objąć systemem stypendialnym wszystkich studentów, bez względu na sytuację materialną rodziców, uwzględniając wyniki studiów. Wcale by mi nie przeszkadzało, że prymus zarabiałby nawet 20 tys. zł — przy średniej w zawodzie 6—8 tys. zł. Jeśli ktoś nie wie, skąd wziąć na to pieniądze, już pótkazuje. Mam 12 mln pracujących, w tym 6 mln umysłowych, z czego 3 mln nie nie robi, w tym 1,5 mln takich, że gdyby nie przyszli do pracy, to nikt by tego nie zauważył (tzn. nie dałoby się zauważyć jakichkolwiek zaletności w pracy). Skoro stać nas na utrzymanie 3 mln zatrudnionych a nie pracujących, to widzimy, że utrzymanie 300 tys. studentów będzie frauską.

Postawmy jasno pytanie, przede wszystkim robotnikom i chłopom: czy lekarz i nauczyciel ma być dobry, czy też ma być z odpowiednim rodowodem? Czy w interesie (?) robotnika i chłopca stawiać się będzie pytanie: skąd przychodziś?

Jeśli chodzi o rolę szkoły średniej, to proponuję, by nie premiować wyników tej szkoły, ponieważ np. w liceum ekonomicznym nauka chemii kończy się w klasie I, nauka geografii w klasie II; podobnie jest z różnymi przedmiotami ogólnymi w szkołach średnich zawodowych.

W pewnych typach szkół średnich niektórych przedmiotów nie ma wcale, np. biologii w technikum mechanicznym czy liceum ekonomicznym, ale młodzież tych szkół ma prawo zdawać na studia rolnicze czy AWP, i z tego prawa korzysta — po samodzielnym nadrobieniu wiedzy z brakującego przedmiotu. Ta młodzież niejako z urzędu pozbawiona jest premii za dobrą naukę w szkole średniej — czyli znów w uprzywilejowanej sytuacji znajduje się liceum ogólnokształcące. Nie ukrywajmy też, że w niektórych szkołach niektóre oceny są średnio rzetelne.

Kolejna kwestia: matura. Czy znieść egzamin maturalny? Tego robić nie można, a względy tradycji są tu trzeciorzędne. Dla kandydatów bardzo ważny jest maturalny trening przed trudniejszym egzaminem na studia.

Ktoś mniej odporny zapłaci fryzowe na maturze, zaś na egzaminie wstępnym może pokazać pełnię swych możliwości. Zniesienie matury spowodowałoby, że część młodzieży odpadnie na pierwszym w życiu poważniejszym egzaminie, a interesowi społecznemu to nie służy. Nie wszystkie bowiem specjalności zawodowe wymagają opanowania powołania nerwowego: opanowany powinien być chirurg i pilot, ale nie musi — architekt czy konstruktor mostów albo silników wysokoprężnych.

Sugestia zniesienia egzaminu wstępnego (jedynym sprawdzianem byłaby wówczas matura), albo też połączenie matury i egzaminu wstępnego w jeden egzamin, uważam za niestrafne. Uważam, że potrzebne są dwa egzaminy, z których pierwszy odsiewa najslabszych, a dla innych jest treningiem przed egzaminem ważniejszym. W odwrotnym przypadku absolwenci pewnych szkół zostaliby wykluczeni z określonych kierunków, na które teraz startują, nadrobiwszy samodzielnie brakujący przedmiot. Poza tym jeden połączony egzamin z konieczności byłby trudniejszy niż obecna matura, co nie bardzo koreluje z upowszechnianiem wykształcenia średniego.

Preferować będziemy środowisko robotnicze i chłopackie. A jakie ma pochodzenie kandydat, którego rodzice to: kierowca i nauczycielka, lub rolnik i referentka w gminie? Konstytucja powiada o równości płci.

Zastanawiają mnie też preferencje za (minimum roczny) staż pracy zgodnej z przyszłym kierunkiem studiów. Jakież to kłopot spada na niedoszłych ekonomistów, prawników, a zwłaszcza nauczycieli języków obcych! Czy ktoś powracający z rocznego pobytu „na kaksach” dostanie punkty?

Czytałem niedawno: „Celowe wydaje się przedstawienie propozycji obowiązku pracy lub służby wojskowej przed studiami. Takie rozwiązanie sprzyjać będzie zdobywaniu doświadczenia życiowego, poznaniu trudu pracy fizycznej lub służby wojskowej”.

To jest zdumiewające. Proponuje się, by najzdolniejszą młodzież skierować na rok do łopaty?! Proponuje nowość: może lepiej egzamin maturalny poprzedzić rocznym stażem pracy fizycznej? Wszak „maturus” znaczy dojrzalszy, a czy można traktować jak dojrzalszego kogoś, kto nie zdobył doświadczenia życiowego, pracując przez rok łopaty? A może dla kompletu tę część młodzieży, która nie wybiera się na studia, zobowiązać do rocznego stażu pracy umysłowej? Przecież jednostkom biernym, leniwym, mniej zdolnym i zwykłym przysłupom też trzeba dać szansę poprobowania przyjemności pracy umysłowej, której mogą w życiu nie zaznać. Ja nie żądam (jak Lee) ośmiogodzinnego dnia myślenia, ale naprawdę rok pracy umysłowej nikomu by nie zaszkodził. Co prawda myślenie osła zabiło, i mogą być ofiary w ludziach, ale co tam! A jakie to się wydaje celowe! A jaka korzyść społeczną!

A może przy kuratoriach powołać burdele, w których przyszli maturzyści (i maturzystki) będą zdobywać doświadczenie? Bo czyż może być obywatel dojrzalszy, a niedoświadczony seksualnie?

Pytam więc ze swojej studni: komu wydaje się celowe organizowanie rewalucji kulturalnej po polsku? Tym samym, co wymyśliłi wcześniejsze emerytury? To mamy naukę łopaty nakładać do głowy? Wątpię, czy Zbigniew Boniek, kopiąc kartofle, dałby więcej krajowi, niż Jacek Karpiński, hodujący świnię. Dajmy ludziom szansę wykazania się, jeśli coś potrafią. A z taką robotyzacją dajmy sobie spokój.

Dobrze byłoby, gdyby absolwenci wyższych uczelni pracowali w swej specjalności, a nie w butikach, taksówkach, szaszłykarniach i kioskach z waczywami. Dlatego należałoby zastanowić się, jak znaleźć chętnych do pracy na białostockiej wsi, a nie chętnych do studiowania wśród mieszkańców Warszawy i Poznania. Jak na razie społeczeństwo pokrywa koszty studiów i powinno coś od niektórych wyegzekwować.

Résumé: należałoby ograniczyć szkolnictwo zawodowe, zaś rekrutacja na studia powinna badać predyspozycje, a nie przygotowanie do egzaminu wstępnego.

Autor jest czynnym nauczycielem. Artykuł publikujemy w obszernym skrócie.

Red.

OAN Grigorescu urodził się w Ploesti w 1930 roku. Studia odbył w moskiewskim Instytucie Literatury im. M. Gorkiego, w klasie Konstantego Paustowskiego, razem z naszymi pisarzami, Ryszardem Daneckim i Jerzym Pachlowskim. W październiku 1956 r. był specjalnym wysłannikiem „Agarpresu” i „Scantei” w Polsce. Początkowo miał przebywać dwa tygodnie, ostatecznie gościł dwa lata. W Warszawie, w szpitalu na Madalińskiego, urodził mu się syn. Ioana Grigorescu spotkałem w Bukareszcie i poprosiłem o rozmowę dla „Kamena”.

— Wiem, że oprócz korespondencji pływem pańskiego pobytu w Polsce są dwie książki...

— Tak, moje obserwacje z Października i jego następstw w Polsce zawarłem w książce pt. „Ptak Feniks”. Poza Rumunią została ona przełożona na rosyjski i ukazała się z przedmową K. Paustowskiego. Drugą pozycją była „Obsesja — 15 lat po wojnie”. Związana jest z Oświęcimiem, ale przede wszystkim z tymi, którzy przyjeżdżają do tego byłego obozu z różnych krajów świata, aby zobaczyć. Jak to przeżywają, jakie drażnią ich myśli o Oświęcimiu? Ta książka ukazała się także po rosyjsku, nadto po węgiersku i po niemiecku w NRD.

— A inne pańskie publikacje?

— Dotąd wydałem 15 książek, w tym sporo reportaży literackich ze świata. Zawarłem je w cyklu „Spectacolul lumii”, który ma liczyć dziesięć pozycji, teraz w druku jest czwarta. Jedną z zamierzonych będzie nowa rzecz o współczesnej Polsce. Projekt to ambitny, wymaga wielu

lem 20 odcinków, jako literaturę faktu. Odzew był duży. Otrzymałem wiele listów od Rumunów, którzy uczestniczyli w ewakuacji polskiego złota oraz skarbów wawelskich i zasobów Funduszu Obrony Narodowej. Przez nasz kraj przedzierano się pięć wielkich transportów z drogocennymi ładunkami, jeden cenniejszy od drugiego. Transport ze złotem jest tylko częścią tamtych działań. Ich dalsza droga to Francja i Kanada. Może kiedyś napiszę i o tym.

— Wspomniał pan przedtem, że akcja filmu będzie toczyła się również w Lublinie?

— Tak. Zdaje się przez jedną dobę w budynku lubelskiego banku skarbu narodowy był przechowywany, by ruszyć w dalszą drogę. Od reżysera Bohdana Poręby wiem, że zgodnie z moim scenariuszem, także i w waszym mieście przewidziane są dni zdjęciowe. Autor projektu dekoracji i scenograf tego filmu, Victor Tapu, uwzględnił miasto nad Bystrycą i jego architekturę.

— Będzie to film fabularny czy dokumentalny?

— Fabularny. Na tle sensacyjnych i dramatycznych faktów nie było potrzeby, abym wymyślał historie odległe od prawdy. Zdarzenia te same z siebie są dobre do filmu fabularnego. Bohaterzy filmowi są zarysowani przede mną, miałem jednak dla nich kilka prototypów z ówczesnej rzeczywistości. Wydarzenia w pierwszej części, tej, która dzieje się w Polsce, są w pełni prawdziwe, bo same w sobie były one filmowo interesujące. Część zdarzeń w Rumunii połączona jest z fikcją, musiałem bowiem znaleźć intrygę, aby akcja mogła się po prostu

## Spotkania rumuńskie

# ZŁOTY POCIĄG

podróży i ciężkiej pracy. Chodzi mi nie o marginesowe sprawy: pisarz jest świadkiem swej epoki, a jego twórczość stanowi jakby wyznacznik wiary.

— Mówi pan doskonale po polsku!

— Zakochałem się w Polsce. Pracę swą traktowałem z zaangażowaniem. Bez profesora i specjalnych lekcji uczyłem się sam i wśród spotykanych ludzi.

— Mówiła mi doskonała tłumaczka, Aura Tapu, że napisał pan scenariusz do polsko-rumuńskiego filmu pt. „Złoty pociąg”. Dotyczy on okresu, w którym raczej trudno byłoby się panu, jako dziecku, zetknąć z naszymi sprawami.

— W roku 1939 moi rodzice, na apel ówczesnych władz, przyciągnęli na miesiąc rodzinę krakowskiego profesora gimnazjalnego i licealnego, Włodzimierza Ziemiańskiego. Człowiek ten uczynił na mnie duże wrażenie. Interesowali mnie też inni Polacy przebywający w Ploesti. Byli to ludzie, którym zabrano ojczyznę. Po wojnie dowiedziałem się o nim, ale go nie znalazłem. Zainteresowanie Polską jest u mnie stałe, wielokrotnie u was bywałem. Dowiedziałem się o ewakuacji polskiego skarbu w 1939 roku, badałem sprawę w Polsce i u nas, w Rumunii. Pisałem o tym. Zrodził się też pomysł filmu, który miał być pierwotnie zrealizowany w 1979 r., w czterdziestą rocznicę wybuchu wojny. Nie będę mówił o przeszkodach, ale teraz raczej jest pewne, że będzie on kręcony w roku przyszłym.

— Co można powiedzieć o scenariuszu tego filmu?

— Historia jest bardzo ciekawa, nie tylko jako materiał do filmu przygodowego, także dla striptisu politycznego — bo jest taki pretekst — aby zajrzeć za kuliszy polityki tego okresu i pokazać sprawę, o których w literaturze i filmie bardzo mało powiedziano. Poglądałem ostatnio swoją wiedzę na ten temat, szukałem w 1980 roku, w Warszawie, dokumentów związanych z wywiezieniem polskiego skarbu narodowego, ale także byłego dyrektora Banku Polskiego, Zygmunta Karpińskiego, o którym wszyscy mówili, że nie żyje, ale nikt nie był tego pewien. Nie znalazłem jego imienia. Czerpałem numery z książki telefonicznej, dzwoniłem do około 600 ludzi o tym nazwisku, a Zygmunt Karpiński był właśnie tym ostatnim, którego numer znalazłem. Zaprosił mnie on do siebie. Znałem wiele faktów, a nie znalazłem osoby, która zajmowała się tym zagadnieniem, nie wszystko wiedziałem o człowieku, który tym transportem do Rumunii kierował. Fakty te znał Karpiński. Był on zresztą, jak się okazało, autorem pracy pt. „Losy polskiego złota podczas II wojny światowej” oraz innej: „O Wielkopolsce i dalekich podróżach”. Odkrył przede mną nową stronę tamtych zdarzeń, dopełnił moją dokumentację. Pochodził, jak mi mówił, z dawnej, dobrej szlachty polskiej. Mądry ten człowiek dodał mi odwagi. Wyczułem, że on wierzy, iż ten film jest możliwy i potrzebny. Gdyby żył, a zmarł w ubiegłym roku w wieku 90 lat, byłby konsultantem tego obrazu. Wielka szkoda, że nie jest to możliwe.

— Czy jest zainteresowanie tym przedsięwzięciem w Rumunii?

— W tygodniku literackim „Luceafarul” wydrukowa-

dział. Stosunek wyobraźni i rzeczywistości jest jednak na korzyść tej ostatniej. Potrzebny był wybór, selekcja faktów. To, co się działo naprawdę, mogłoby wypełnić wielką powieść, jak więc to streścić, przełożyć na 100 minut.

— Mówił pan na wstępie rozmowy o striptisie politycznym...

— Chodzi mi o zajrzenie za kuliszy polityki, obnażenie prawdy o niej. W związku ze sprawą polską hitlerowcy stosowali wobec neutralnej Rumunii terror polityczny, presję. Rumunia znalazła się w sytuacji, w której powinna pomóc Polakom i ich rządowi, i pomagała, a równocześnie sama miała i czuła pięć na szyi — własne zagrożenie. Ono też znajdzie swój wyraz w filmie, bo było przecież realne. Po dalszej ewakuacji skarbu polskiego przez Morze Czarne na brytyjskim statku „Eocene”, nasz premier z tego czasu, Armand Calinescu, został w zamachu faszystowskim zastrzelony przed swoim domem. A więc ludzie, wojna i zagrożenie też są bohaterami „Złotego pociągu”. Nie było to zwykłe 80 ton szlachetnego metalu, ale stanowiło materialną możliwość przedłużenia państwowości polskiej. Na Zachodzie, gdzie — jak się wtedy wydawało — rozstrzygać się miały dalsze losy Polski, była to wartość poważna. Kiedy o tym mówię, brzmi to publicznie, inną wymowę ma w scenariuszu, jeszcze inaczej — jestem o tym przekonany — ujrzymy to na filmie.

— Jakie upatruje pan korzyści w tym rumuńsko-polskim przedsięwzięciu artystycznym?

— Oczywiście, ważne jest i piękne, że rumuński pisarz i polski reżyser spotkali się 40 lat po wojnie i znaleźli sposoby, pokonali materialne trudności po stronie polskiej i rumuńskiej, aby ten film wreszcie nakręcić. Będzie to pierwsza polsko-rumuńska koprodukcja, może otworzy ona drogę do dalszej współpracy. Np. drugą część filmu mogłoby być to, co dzieje się dalej po odplynięciu „Eocene” z Konstancy. Istotniejsze jest jednak przestrzeganie dzisiejszych pokoleń przed zagrożeniem wojennym.

— Może kilka słów o bohaterach filmu?

— W moim scenariuszu przewiduję dwóch głównych bohaterów oraz, naturalnie, poszczególne jednostki z ich otoczenia. Bobruk traci w Lublinie żonę, jest ona pierwszą ofiarą tego transportu. Ten młody wywiadowca ze zwykłego konwojenta przeistacza się w pierwszego obrońcę całego skarbu i zabezpiecza go skutecznie. Drugim jest komisarz Moldovan, jak gdyby alter ego Bobruka w Rumunii, który jest także gotów na pełne ryzyko, aby wypełnić powierzone mu przez premiera Calinescu zadanie. Są też trzy ciekawe role żeńskie.

— Z całej naszej rozmowy przyszedł film jawi się interesująco.

— Wiadomości o tej koprodukcji oraz idei „Złotego pociągu” przeniknęły już do rumuńskiej opinii publicznej. Odzew jest pozytywny.

— Dziękuję serdecznie za rozmowę. Do zobaczenia na planie filmu w Lublinie.

Rozmawiał: Tadeusz Jasiński



Mariola P. Gierwald. A już ucieczyłem się, że koleżka Zbigniewowi Nienackiemu urodziła się współzawodniczką Wieszę pt. „Odbicie” jakby to zapowiadał, ale tylko z początku. W ostatniej swrotce tych „dwójki” kochających walących ze stem” popsuła

pierwsze wrażenie. Nie, żebym był przeciwno takim walce, ale i zło deprecza się o pokonanie środkami poetyckimi. W pozostałych utworach nie ma i tego źródła nadziei o której pisze Pani w liście. Gierwald więc poprzestać musi na razie na dobrej prozie.

Dariusz S. Chelmi. Zaden z przywołanych wierszy (okolicznościowy, miłosny i żalobny) nie wzbudził mojego zainteresowania. Odczuwa się w ich piśnieniu pośpiech, brak zastanowienia, a nade wszystko: Pan właściwie nie ma nic do powiedzenia, nie nowego w każdym razie o tym, o czym ustulie Pan ościsł!

Jan K. Izberca. Niech Pan nadesła większą liczbę utworów. Te, jakie mogłem przekazać, zachęcają do tego.

Renata K. Bolesław. List Pani jest ładniejszy od wierszy, a i rozczarowanie się w sobie pełniejsze jest w prozie. Niech się więc Pani zastanowi: może właśnie poprzez prozę lepiej uda się Pani wynowoczyć swoje doznania? A wiersze? Zwrócić może uwagę na te, które zaczynają się od słów: Tak mało zostało dni! Odeszłam od barwy twych oczu; Partykula — czy — strasz miś swa. itd. A czy będą drukowane? Jeszcze nie-stoty, nie...

TJ

# W krajobrazie życia Brunona Schulza

Małgorzata Kitowska

Co nie jest biografią, nie jest w ogóle.  
(Stanisław Brzozowski)

Jest więc prawdą, że życie autora niczego nam nie wyjaśnia, ale jest również prawdą, że gdybyśmy umieli w nim czytać, wiedzielibyśmy wszystko, bowiem podporządkowane jest ono dziełu.  
(Maurice Merleau-Ponty)

O ŻYCIU i twórczości Brunona Schulza napisano wiele. Najbardziej prześledził koleje jego losu, niestrudzony w tej mierze Jerzy Ficowski. Owocem jego poszukiwań jest kilkakrotnie już wznawiana książka, stanowiąca zbiór szkiców — pewników, hipotez, domniemań — na ten temat. Dodatkowe źródła faktograficzne stanowią nieliczne wspomnienia znajomych i przyjaciół autora „Sklepów Cynamonowych” oraz jego samego z nimi korespondencja. Korzystając z tych materiałów i wypowiedzi, chciałabym podjąć próbę własnego opisanego tego, o czym Ficowski pisze: „Dla percepcji Schulzowskiego dzieła świadomość [...] zależności autobiograficznych [...] nie jest konieczna. Autonomiczny świat Schulza tłumaczy się sam przez się i nie wymaga odwoływania się do psychobiograficznej genety, skoro osobiste stało się powszechnym, a prowincja światem... Niezmiernie jednak interesujące i istotne jest odnajdowanie w tych dziełach mitologicznych — elementów realnego, umiejscowionego w konkretnym czasie i przestrzeni tworzywa. Te tropy, rozsiane po utworach, były nie bez znaczenia dla procesu twórczego i stanowiły porękę autentyczności twórczego świata, uwierzytelniały niejako wizję — wizję rekonstruowanej mitologii dzieciństwa” (s. 134 i 137).

Podpisując się pod owym sądem, zaczęłam od tego pierwszego okresu życia. Tym bardziej, że sam autor „Xiegi Bałwochwalczej” upoważnia do tego stwierdzeniem: „najpiękniejszą i najintymniejszą sprawą w człowieku są jego wspomnienia z młodości, z dzieciństwa”, a „ludzie bez dzieciństwa, do którego mogą wrócić wspomnieniami, to daltoniści”. Kiedy indziej zastanawia się: „nie wiem skąd w dzieciństwie dochodzimy do pewnych obrazów o rozstrzygającym dla nas znaczeniu. [...]

Takie obrazy stanowią program, statuują żelazny kapitał ducha, dany nam bardzo wcześnie w formie przeczuć i na wpol świadomych doznań [...] Te wczesne obrazy wyznaczają artystom granice twórczości. Twórczość ich jest dedukcją z gotowych założeń. Nie odkrywają już potem nic nowego, uczą się tylko coraz lepiej rozumieć sekret powierzony im na wstępie i twórczość ich jest niustanną egzegezą, komentarzem do tego jednego wersetu. Do końca pozostaje on nierozwikłany. Węzeł, na który dusza została zasupłana, nie jest fałszywym węzłem, rozchodzącym się za pociągnięciem końca. Przeciwnie, coraz ciaśniej się zwięzła. Manipulujemy nim, śledzimy bieg nici, szukamy końca i z tych manipulacji powstaje sztuka” (do S. I. Witkiewicza, s. 63 i n.). Czasami zdumiewały Schulza własne sprostowania: „jakie to dziwne, że warstwy wspomnień tak się przed naszymi oczyma rozkładają, jak biała materia [...] niby kwiat w kinie, gdzie pokazano w szybkim ruchu jego powolny rozwój, jak krajobraz, do którego koleją czy samochodem zbliżamy się szybko w pogodny dzień”.

\*

Osobą, która pojawia się pierwsza w „krajobrazie życia” każdego z nas, jest matka. „Z troskliwą, rozpieszczającą go matką, Bruno miał do czynienia na co dzień, była dla niego miłością powszechną, uosobieniem praktyczności, gwarancją bezpieczeństwa” (s. 21). Ona, przez swe naturalne, konieczne zajęcia domowe, łączyła jego — marzyciela, przebywającego stale w „niezbadanych [...] przestworzach” i rzeczywistością. A jednak taka rola tej pierwszej w życiu każdego mężczyzny kobiety, rola pośredniczki między poezją a życiem, tylko z pozoru jest pozytywna. Schulz odczuwa ją zdecydowanie inaczej: całkowite utosamowanie się kobiety z realizmem codzienności, spowodowany tym automatyzm wykonywania niezmiennie tych i takich samych czynności, bezmyślność sprawiają, że kobieta zazwyczaj wprowadza nie ład, ale chaos, a jedynie z rzadka jest w mocy pogodzić mężczyznę z otaczającym światem, uleczyć, wzmocnić jego ducha.

Dotyczy to tak owej szczególnej sytuacji w której przeciwstawieni są sobie matka i syn, jak planu ogólnego, gdzie widzimy po prostu kobietę i mężczyznę: gdzie nieistotne są ich role społeczne i wynikające stąd zależności, a jedyny kontakt między nimi zasada się na zainteresowaniu erotycznym. Oto słowa Schulza, opisujące w liście do Witolda Gombrowicza jeden z takich „antagonizmów”: „... wyzwoliłem się z tego, umiem już przeciwdziałać tej wielkiej konfuzji, oddzielać i rozgraniczać, co do siebie nie należy. Niewątpliwie oceniam to i uznaję z całej duszy, że pani doktorowa ma piękne uda, ale ograniczam ten fakt do właściwej mu sfery. Umieję zapobiec temu, by hold dla nówek pani doktorowej dyfundował w dziedzinę zgola niewłaściwą. I cała lojalność tego holdu nie przeszkadza mi w sferze intelektualnej żywić szczerą pogardę dla jej filisterskiej tępoty, dla jej formułkowego myślenia, dla całej tej obcej i wroziej mi mentalności. Tak jest, wyznaję to szczerze, nienawidzę pani doktorowej z Wilczej, istoty wypranej z wszelkiego merytoryzmu, żony lekarza w czystej, wydestylowanej formie, szkolny przykład żony lekarza, a nawet żony po prostu... Chociaż w innej i odrębnej zgola sferze trudno mi jest oprzeć się czarowi jej nóg” (do W. Gombrowicza, s. 70).

Symbolem duchowości jest w twórczości Schulza „księga”, nieodłącznie związana z osobą mężczyzny — w prozie jest to ojciec narratora. Oto jedno ze wspomnień Józefa, bohatera opowiadań z tomu „Sanatorium Pod Klepsydrą”, literackiego pendant samego Schulza: „księga... Gdzieś w zaraniu dzieciństwa, a pierwszym świecie życia, jaśniał horyzont od jej łagodnego światła. Leżała pełna chwały na biurku Ojca... Ale było to bardzo dawno. Spędzałem dni sam na sam z Ojcem w naszym, wielkim wówczas jak świat pokoju... Potem przyszła matka i wcześniej ta, jasna idylla skończyła się. Uwiedziony pieczętami matki, zapomniałem o Ojcu, życie moje potoczyło się nowym, odmiennym torem, bez świąt i bez cudów...” („Księga”, s. 123). Jeżeli ten fragment odczytamy istotnie jako reminiscencję epizodu z życia samego autora, poznamy znaczenie

matki w jego życiu, fakt tyleż zasadniczy, co wspomniany z goryczą.

Zło w biografii Schulza wiąże się nie tylko z pojawieniem się matki niesie je wraz z sobą każda kobieta swoją materialnością, niezdolnością do marzeń, myślenia abstrakcyjnego, przywiązaniem do świata rzeczywistego pozbawia złudzeń snujących fantastyczne plany mężczyzny. Każda przy tym zdecydowanie i nonszalancko w ów męski sen ingeruje. Tak to traktowała Brunona jego opiekunka, co przypomina Ficowski: „w dzieciństwie bywał Bruno karany przez niankę w czasie nieobecności rodziców w domu. Jednak nigdy się na to nie poskarżył i tylko po wielu latach zwierzał się bliskiej mu osobie, że zapewne te zamierzalne i drobne na pozór incydenty stały się przyczyną jego masochistycznych skłonności, które z czasem miały się rozwinąć i utrwalić” (s. 38). Artur Sandauer dużo bardziej zdecydowanie, jednoznacznie, ostro formułuje swój osąd. Czy jednak nie jest uproszczeniem i nadużyciem określanie postawy Schulza jako masochistycznej? Pozwólamy mówić faktom i samemu artyście.

Jedną jeszcze kobietą od wczesnej młodości towarzyszyła Brunonowi — jego starsza siostra, Hania, późniejsza Hoffmanowa. Na krótki czas odeszła z domu matki, by powrócić doń z własną rodziną. Kontakty z siostrą także nie należały do tych, które dawały Brunonowi asumpt do twórczego rozwoju. Wręcz przeciwnie: Hania, kilka lat starsza, dużo bardziej niż Bruno samodzielna, zawarła małżeństwo z bogatym przemysłowcem, urodziła dwoje dzieci, w prowadzeniu domu i macierzyństwie odnajdując swoje powołanie i przeznaczenie. Po śmierci męża i ojca, wróciła wraz z dziećmi do matki, gdzie dotychczas mieszkał sam Bruno. Takim sposobem ta kilkuosobowa rodzina znalazła się na utrzymaniu właśnie Brunona, który — jedyny — miał stałe źródło dochodów i musiał na wszystkie wydatki zarobić nauczycielską pensję. Zaczynał właśnie pisać i nie był zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Po śmierci matki zżymał się nieraz, że nie może porzucić nielubianej pracy, która zabiera mu cenny czas, gdyż wówczas nie zapewni bytu siostrze i jej dzieciom. Pełen irytacji z tego powodu, pisał: „... nerwy moje



— 4 —

KUBA przesunął ręką po czole i poczył przemawiać do siebie w myślach: „Już dziesiąta. Muszę wytrzymać jeszcze osiem godzin. Nie mogę iść teraz, wcześniej, bo musiałbym iść bez niej; musiałbym odpowiadać na wszystkie te pytania, które będą mi zadawać, musiałbym mówić o sobie wszystko... Kiedy zacząłem pić, dlatego piję, ile piję, jak wiele muszę wypić, aby być pijanym... Nie pójdę sam. To tylko osiem godzin. Potem pójdziemy tam i nie będę już potrzebował bać się czasu. Dadzą mi ten proszek i koniec. Nie będzie mi już wolno więcej tego robić. Nawet, kiedy obudzę się w nocy i nie będę mógł zasnąć. Kiedy nie będę miał apetytu. Kiedy będzie mi się śnił pusty piec, pełen dołów z wapnem. Wtedy tak łatwo się napić. Ale ja już nie będę mógł. Ta pastylka będzie mnie trzymać; ja sam nie będę potrzebował nic robić, ona tego wszystkiego dokona za mnie. Będę musiał jej być posłuszny, gdyż inaczej zacząłby się ze mną straszne rzeczy. Szoki, zapadnie, a przecież mam słabe serce, mogę nawet wykitować”. — Ta

myśl ucieszyła go szczególnie i powtórzył: — „Może przecież wykitować przez to cholerne serce. A ja mam bardzo niedobre serce, lekarze mi to nie jeden raz mówili. Może mnie naprawdę szlag trafić, jeśli po niej wypiję. Ona będzie mnie trzymać...”

Rozpogodziło się nieco. Wiatr osuszył chodniki, rozgonił mgły i oczyścił niebo. Nad miastem ukazało się słońce; przechodnie unosili twarze i rozpinali kołnierze palt. Kuba szedł z rękami w kieszeniach i patrząc w kamienie chodnika, myślał: „Potem będzie już zupełnie inaczej. Jeśli w ogóle do czegośkolwiek można wrócić, wrócić do życia. Nie wiem, czy będę szczęśliwy, ale może nie będzie mi najgorzej. Będę razem z ludźmi; to już dużo. Nie jako pijacek. Jako normalny człowiek. Ci, którzy nie są chorzy, nie są pijakami, nie wiedzą, ile to naprawdę warto — być normalnym człowiekiem. Takim, który odpowiadać musi za każdy swój czyn, za każde swoje słowo i gest. Takim, któremu wolno tylko tyle, co każdemu. Którego nie usprawiedliwia żadna wyjątkowość, żadne przeszłe życie, żaden nałóg i choroba. Ludzie tego nie rozumieją. Ale ja będę takim człowiekiem...”

Na skrzyżowaniu ulic przystanął. Stał razem z grupką ludzi, lecz tak bez reszty pochłonięty własnymi myślami, że nie rozumiał nic z tego, co się dzieje dookoła. W pewnym momencie podniósł wzrok i zobaczył, że czerwone światło pali się tak jak i przed kilkoma chwilami. Ktoś stojący za nim mruczał:

— Czego nie przepuszczają?  
I ktoś drugi netychmiast odpowiedział:

— Nie widzi pan? Wypadek...

Kuba zobaczył, że na jezdni tłoczy się grupka ludzi. Nie dojrzał niczego więcej, gdyż gęsto abite gępcy ludzkie przesłaniały wszystko. Odwrócił się i zapytał człowieka z tyłu:

— Co się właściwie stało?

Przyjemnie wyglądający oficer w mundurze letnia odpowiedział mu:

— Nie ma pojęcia, proszę pana. Chodźmy, podążamy tam...

Przeszli przez jezdnię i podeszli do tłumy. Oficer zapytał któregoś ze stojących ludzi:

— Wypadek?

— Wjechał jeden na drugiego — odpowiedziała jakaś kobięcina patrząc zalotnie na oficera. — Ci kierowcy tak nieostrożnie jeżdżą, że aż strach przechodzić czasem przez jezdnię...

— Był zalany — uzupełnił twardo jakiś pan w cyklistówce.

— Zalany?

— Ma się rozumieć. Kierowcy naród trunkowy.

— Kary na lobuzów nie ma...

Kuba stał w milczeniu. Wytrzeszczał oczy na ludzi i nie widział ich. Nagle szarpnął oficera za rękaw.

— Pijany był? — zapytał prawie szeptem.

— Skądże ja mogę wiedzieć — odparł zdumiony oficer, delikatnie uwalniając rękaw. — Jestem przechodniem tak jak i pan.

— Wszyscy jesteście przechodniemi — powiedział Kuba. — Ale myślałem, że pan coś wie.

Oficer spojrział na niego uważnie i mrucnąwszy coś, odszedł. Do Kuby zbliżył się jakiś pan e wyglądzie starego ziemianina i powiedział:

— Z tymi wypadkami samochodowymi to, meldując panu, już niemożliwe. Co dzień jakiś wypadek. Czytał pan ten artykuł w „Trybunie Ludu”? Meldując panu, proszę pana, że dziesięć zdarzeń się kilka wypadków z powodu pijanstwa kierowców.

Dreptał kolo Kuby i wymachując ogromnymi rękami, ryczał donośnym basem:

— Pijanstwo, meldując panu, to straszna rzecz. A najgorsze, że właśnie piją kierowcy. Pijany kierowca ma zmniejszony refleks i to z tego właśnie wszystko. Wie pan co? Ja napiszę otwarty list do „Trybuny Ludu” z propozycją, aby wprowadzono karę śmierci dla kierowców, którzy po pijanemu zabijają człowieka. Inaczej, meldując panu, nie damy rady. Co dzień wypadki; przedwczoraj na Targówku pijany szofer wjechał przez płotek do jakiegoś ogródka i zabił dziecko leżące w kołysce. Tak! Albo wie pan co? Jesteśmy, meldując panu, obywatelami i zadaliśmy w dobrej sprawie. Jest pan na pewno człowiekiem inteligentnym; napiszemy ten list wspólnie! Zaczniemy od słów: „Na ulicach miast



rozbiegły się słońcem po całej pracowni robot ręcznych, rozprzestrzeniły się po podłodze, wylapetowały ściany i opłoty gęstą plecionką warsztaty i kowadło" (do J. Tuwima, s. 27). Owe nieszczęśliwe „roboty ręczne” przesładowały zresztą Schulza całe niemal życie. Zdziwionym przyjaciółom skarżył się i tłumaczył: „w jaki sposób przyszedłem do robot ręcznych? Prosta rzecz: automatycznie. Ten proces powolnej przemiany rysowników w robotarzy obserwować można we wszystkich gimnazjach państwowych, w których rysunki jako przedmiot nadobowiązkowy służą tylko do latania etatu. W tutejszym gimnazjum jest obecnie, przy sztucznej i naciąganej ekspansji tego przedmiotu 12 godzin rysunków. A do etatu potrzeba 27 godzin!” (do Z. Waśniewskiego, s. 41).



Bruno Schulz. Autoportret (po 1935 r.).

Dodatkowym obowiązkiem, jaki Bruno wziął na siebie, była odpowiedzialność za stan zdrowia Hani. „Siostra moja [starsza — wdowa] jest ciężko nerwowo chora i nie mogę jej zostawić. Będę ją musiał prawdopodobnie ulokować w jakimś pensjonacie w Truskawcu, ale na razie opiera się wszelkim propozycjom wyjazdu” (do Z. Waśniewskiego, s. 39) — pisał w jednym z listów. Ta sytuacja ciążyła mu i nie pozostawała bez wpływu na psychikę: „depresja moja niestety nie ustępuje. Może z powodu przykrych stosunków w domu [choroba siostry]” — czytamy dalej (do Z. Waśniewskiego, s. 30).

Życie osobiste Schulza — o ile na podstawie istniejących przekazów możemy mieć jasny jego obraz — nie

przyniosło mu takie radości. Żadna z jego intymnych znajomości z bliskimi i życzliwymi mu kobietami nie została uwięziona małżeństwem i zaobowiązaniem rodziny. Rozstania były tyleż dla obu stron bolesne, co nie pozostawiające nadziei na odnowienie kontaktów. Zerwała z pisarzem narzeczoną, co jednemu z przyjaciół tak relacjonował: „... mój związek z J. rozbił się zupełnie. Zniechęciła się w końcu moją beznadziejną sytuacją, trudnościami przeniesienia się do Warszawy, które przypisywała — słusznie zresztą — mojej niezaradności.” (do T. Brezy, s. 32).

Kilkuletnia przyjaźń z Zofią Nalkowską, inicjatorką wielu Schulzowskich poczynań, niezmordowaną propagatorką jego osoby i dzieła w środowisku literackim Warszawy, też zakończyła się fiaskiem. Z rozrzewnieniem minione chwile wspominała potem w swoich „Dziennikach”<sup>4)</sup>. Nie doszło do skutku małżeństwo z osobą bodaj duchowo Brunonowi najbliższą, Deborah Vogel.

Czy uznać te wszystkie niepowodzenia za realny powód do tego, by rolę kobiety w życiu mężczyzny mógł Schulz uznać za negatywną? A jednak było tak. Chociaż z drugiej strony — sam był przeświadczony o konieczności związku mężczyzny z kobietą, bo przecież „kobieta jest kluczem do mężczyzny”<sup>5)</sup>. Jednocześnie, pełna świadomość negatywnych konsekwencji takiego związku mogła zrodzić ów poddańczy stosunek Schulza do kobiet, który wyczytać można z jego dzieł.

Te przeżycia — bodaj najistotniejsze dla uformowania się psychiki artysty — nie były jedynymi, które o konkretnym jej kształcie zdecydowały. Bruno był chłopcem stale zapadającym na zdrowiu, słabym fizycznie. W tym należy upatrywać przyczynę charakterystycznego dlań bogactwa życia wewnętrznego, nadwrażliwości. „Inwertycją” nazwał go jeden z kolegów<sup>6)</sup>. Sam pisał: „żyję tylko w głąb [podkreśl. — M. K.], a nie wszędy, jak inni ludzie” (s. 204 i n.). Skutkiem takiej postawy było psychiczne nieprzystosowanie Schulza do życia w grupie rówieśników, lęklivość, obawa przed nimi, brak zaufania do silniejszych, lepiej zbudowanych, obawa przed pogardą, jaką mogliby okazać jemu — ułomkowi. Stronił więc „... od tej gromady [...] [w czym] nie kierowało nim [...] poczucie własnej wyższości czy pogarda dla otoczenia, przeciwnie, zazdrościł kolegom ich sił witalnych, wstydił się swoich słabości i chorób” (s. 30). Nieśmiały, zażenowany swoim wyglądem, kontrastującym z posturą przystojnych, wyrosniętych kolegów, „nieco przygarbiony i bardzo chudy, z charakterystycznymi, jakby nawet nazbyt długimi rękami” (s. 31), mimo woli budował wokół siebie wysoką tamę. Dopiero, kiedy sam zaczął nauczać, stał się nieco bardziej otwarty, ale to

mogło nastąpić tylko dlatego, że otoczenie zainteresowało się nim samo. Bruno zyskał sobie uznanie nie tylko kolegów-nauczycieli, ale także uczniów, którzy docenili jego nieprzeciętnie zdolności literackie i umysłowe. A jednak drohobyckie znajomości pozostały powierzchowne, do nikogo Schulz się nie zbliżył, w nikim nie odkrył pokrewnego ducha. Rzadkie zaś i krótkotrwałe wyjazdy poza rodzinne miasto, ograniczony krąg osób, z którymi wówczas się spotykał — wszystko to pozwala sądzić, iż opuszczał Drohobycę niechętnie.

W świetle tych faktów wypada wnosić, że autor „Sklepow Cynamonowych” jako człowiek, tęskniący z natury do towarzystwa innych ludzi, do ich poznania, do życia wśród nich, jako artysta natomiast świadomy, że prawdziwa sztuka może powstać tylko w ciszy, w pełnej koncentracji i kontemplacji, zrezygnował z przynależności do życia codziennego, niekiedy jednak marząc o jego urokach. Uważał, że „życie zabiera [...] [go — M. K.] pisanie, a pisanie życiu, jakaś ciągła huśtawka, kolowrót: pogoń za wizją, wyłączenie z tej wizji i powrót do tej codzienności i znów wypłynięcie z dna tej codzienności na powierzchnię, gdzie można oddychać”<sup>7)</sup>. Nie potrafił dać sobie nigdy jednoznacznej odpowiedzi na wielkie, ostateczne pytania. Uważał, iż „rzeczywistość, życie realne, wszystko, co jest w życiu, jest tak małe, jest tak kruche, że nie ma sensu krzątać się wokół jego spraw i trosk [...] Rozkosze i uroki realnego życia dla prawdziwego artysty mało znaczą, w każdym razie nie warte są, by za nimi biegać. To zabiera czas, a czasu twórcy ma zawsze mniej niż pomysłów” („Mityzacja rzeczywistości”, s. 334—336).

Jednak zza dzielącej go z otoczeniem zasłony, nie przestawał Schulz obserwować owego — jak je nazywał „życia karakonów”. I właśnie czynności najprostsze, najbardziej podstawowe, konieczne i konkretne stanowiły dlań medium, poprzez które widział świat. Jakby zazdrościł ludziom ich zajęć, ale jakby jednocześnie bał się ludzi i zajęć. Dziwiły go czasem i zachwycały te codzienne prace. Nie mogąc się do końca pogodzić z ich banalnością, tworzył więc swoją własną mitologię, przydając owym czynnościom magicznego sensu. Tytułem jego eseju można określić te zabiegi: „mityzacja rzeczywistości”. W przeważającej jednak mierze zmiany zasadnicze, jakich Schulz dokonywał w swym życiu, odbywały się na płaszczyźnie i w obrębie twórczości. Na realną zmianę swego losu nie miał chęci?, odwagi?, siły? Nie zdobył się na opuszczenie szkoły i — jak wspominał Drohobycza. A kiedy, po namowach i dzięki staraniom przyjaciół, pojechał do Paryża, wrócił już po kilkunastu dniach. Podróże do Warszawy, Zakopanego, Lwowa, Truskawca były

bardzo krótkie, a w Drohobyczu powrócił Schulz po dniach trzech. Raz ciekawą swiata i ludzi, kiedy indziej od nich stronił. Raz pisał: „mam ludzką obawę przed samotnością, przed tą jałową iż życia niepotrzebnego i zamarginesowego... I stąd moja ucieczka w małżeństwo” (do R. Halpern, s. 82). A w innym miejscu zaprzeczał sobie: „obawa samotności nie jest najgłębszym moim motywem, który mnie przywiązuje do J.”; za kimś pokrewnym duchem tęsknił jednak: „potrzebny mi jest towarzysz. Potrzebna mi jest bliskość pokrewnego człowieka. Pragnę jakiejs poręki swiata wewnętrznego, którego istnienie postuluje” (do T. Brezy, s. 26). Zwierzał się z koleżanką adresatce swego listu, iż takim „najbliższym człowiekiem na ziemi” jest dlań J.: „Ona, moja narzeczoną, stanowi mój udział w życiu, za jej pośrednictwem jestem człowiekiem, a nie tylko lemurzem i kobaldem. Ona mnie więcej kocha niż ja ją, ale ja jej więcej potrzebuję do życia. Ona mnie odkupiła swoją miłością, zatraconego już prawie i przypadłego na rzecz nieludzkich krajin, jałowego Hadesów fantazji. Ona mnie przywróciła życiu i doczesności” (do R. Halpern, s. 81).

Nie spełniło się to pragnienie, by związać się na stałe z kimś bliskim, samotny pozostał przez całe życie. Ale — czy sam sobie w realizacji tego marzenia nie przeszkodził nadto skutecznym? Przypomnę, że nawet przed niechybną śmiercią w drohobyckim gmachu nie chciał się ratować. „Swoje istnienie zawęził do siebie samego. Uwierzył w siebie. Starając się zamknąć w kręgu swojej osobowości jedynie dlań ważne, znalazł się w więzieniu”<sup>8)</sup>. „Wariat utopiony” — powiedział o nim nie bez racji Gombrowicz<sup>9)</sup>.

#### (Dokończenie nastąpi)

Większość danych biograficznych, nie opatrzonych przypisaniami szczegółowymi, dotyczących Schulza, podaje J. Ficowski, „Regiony wielkiej herezji...”. Szkice o życiu i twórczości Brunona Schulza, Kraków 1975, wyd. 2; cytaty z wymienionej publikacji opatrzone numerami stron, podanymi w nawiasach.

Przytaczane fragmenty prozy Schulza lekalizuje wg wydania: B. Schulz, Proza, Kraków 1973, wyd. 2; w nawiasach podaje tytuły opowiadań i stron.

Większość wypowiedzi Schulza cytuję za B. Schulz, Księga listów, oprac. J. Ficowski, Kraków 1975; w nawiasach podaje numer zwiastka adresatów listów i strony, na których zostały umieszczone.

1. A. Cheluk, Wspomnienie o Brunonie Schulzu, „Kultura” 1959, nr 7 i 8, s. 36.
2. Tamże.
3. A. Sandauer, „Rzeczywistość zdegradowana”, Rzecz o Brunonie Schulzu [wstąpił do:] B. Schulz, Proza, dz. cyt.
4. Z. Nalkowska, Z „Dzienników” — Bruno Schulz, oprac. H. Kirchner, „Twórczość” 1974, nr 12, s. 66—80.
5. W. Gombrowicz, Dzieła sebrane, t. VIII: VIII: Dziennik, Paryż 1971, t. VI, s. 156.
6. J. Sieradzki, L. Cieślak, Wspomnienia o Brunonie Schulzu, „Nowa Kultura” 1966, nr 45, s. 3.
7. A. Cheluk, dz. cyt., s. 32 i 3.
8. T. Kępiński, Witold Gombrowicz i świat jego młodości, Kraków 1974, s. 202.
9. W. Gombrowicz, dz. cyt., t. VIII, s. 14.

codziennie giną niewinni ludzie...” Albo nie, inaczej: „Miasto płje. Co dzień widzimy tarzających się w zwierzęcym stanie ludzi...” I dalej w tym sensie! A postulat ostateczny: kara śmierci dla kierowcy, który po pijanemu zabije człowieka! Ot, co, meldując panu!

Stary ziemianin wyglądał na człowieka uszczęśliwionego. Lecz nagle uśmiech zgasł na jego dobroduszej twarzy. Zobaczył tuż przed sobą białe, nieprzytomne ze wściekłości oczy Kuby.

— Scierwo! — zasyczał Kuba. — Odejdź, bo zabiję!...

Odszedł i znów odezwał się w nim owo pragnienie, przed którym musiał się rozpaczyć bronie jeszcze przez kilka godzin. Każdy człowiek idący naprzeciwko niego ulicą mrużył — zdawało się — oko i mówił: „No, nie wygłupiaj się, wypij sobie kielicha. Wszystko przestanie cię dręczyć, będzie inaczej. Pójdiesz tam jutro. Zdażysz. Zdażysz. Zaczni od jutra. Od jutra. Zdażysz. No, powiedz: zdażysz czy nie zdażysz? Wypijesz i skończą się twoje złe sny. Ten wypadek wyda ci się zabawny. Twój stróż — po prostu głupi. Twój znajomi, którzy w koszmar zamienili ci poranek, wydadzą ci się godni politowania za swoją głupią troską. Pójdiesz tam jutro. Zmarnowałeś już tak wiele dni, cóż ci pomoże ten jeden? No, powiedz? Pomoże ci ten jeden dzień? Życia nie uda ci się odkupić tym jednym dniem, mój drogi! Temu kierowcy też się nie uda. Życie to wiele dni. Wiele dni ci jeszcze pozostało. Zdażysz; nie możesz tam pójść w takim stanie. Jesteś przecież zupełnie wykonczony nerwowo...” Odpowiedział im: „Przechodźcie dalej. Muszę wytrzymać do szóstej. O szóstej ona przyjdzie. Gdyby była w mieście, poszedłbym teraz do niej. Ale ona wróci dopiero po piątej; jest teraz za miastem, jej pociąg przychodził piątą siedem. Dlaczego mnie namawiacie? Przecież wiecie, że ona pojechała za miasto, że pojechała tam załatwić mieszkanie dla nas. Tam będziemy mieszkać — ona i ja. Będę z daleka od miasta. Od kna'p. Od was. Będę tam razem z nią. Ona będzie się mną opiekować. Ona — i te pastylki. Wszystko to zacznie się od szóstej. Przechodźcie dalej, przechodźcie dalej...”

Ulica rozjątrzyła go, dygotał. Każda napotkana twarz budziła w nim pomieszane uczucie wściekłości i przerażenia: „Uciekać!” — pomyślał. Rozejrzał się nieprzytomnym spojrzeniem i zobaczył, że znajduje się w pobliżu kawiarni; o tej porze powinno być tam przyjemnie i cicho. „Kawa — pomyślał z ulgą. — Oczywiście, kawa!” Wszedł i usiadł przy stoliku; pachniało dymem, kawą, pluszami — wszystkie te zapachy łączyły się w jeden dziwny, słodki i tak trudny do określenia zapach kawiarni.

— Duża — powiedział do kelnerki, młodej dziewczyny w jasnym fartuszk.

— Duża — powtórzyła. Uśmiechnęła się przyjemnie i odeszła.

Po chwili wróciła stawiając przed nim filiżankę dymiącego płynu.

— Tak szybko? — powiedział zdziwiony.

— Podjęliśmy zobowiązanie — oświadczyła. — Goście skarżyli się na nas. Teraz jest trochę lepiej... — Uśmiechnęła się figlarnie i dodała: — Nasza praca świadczy o nas.

— Co takiego? — rzekł rozbawiony Kuba. Nagle wrócił mu dobry humor. Zmrużył oko i powiedział do dziewczyny: — Powinna pani nosić na szyi taką maleńką tabliczkę. Mogę pani przynieść srebrny łańcuszek...

— Jaką tabliczkę?

— Wie pani, taką, jakże co krok wiszą na mieście.

— U nas też wisi — rzekła.

— Gdzie?

— Nad bufetem. Niech pan popatrzy.

Kuba odwrócił głowę i spojrział. Rzeczywiście, nad bufetem wisiało kilka tabliczek: „Nasza praca świadczy o nas”, „Picie wódki nie zakupionej w lokalu wzbronione”, „Osobom w stanie nietrzeźwym wstęp wzbroniony”, „Paów do lokalu wprowadzać nie wolno”.

— Dziękuję pani — powiedział. — Słeczne tabliczki.

— Była jeszcze jedna — rzekła kelnerka i znów uśmiechnęła się figlarnie do Kuby. — Widzi pan przecież, że ta o psach jest inna od pozostałych. Dopiero wczoraj ją zmienił. Parę dni temu przy-

szedł ten pijak, malarz Lewandowski, i stłukił ją łaską, bo powiedział, że zaraz po pierwszym kupi sobie kaganiec, ale do tego czasu musi pić kawę, więc żeby mu nie robić trudności. Mówię panu, kino było. Pan zna chyba pana Lewandowskiego, prawda? Pan wie, jaki on ma głos; jak zaczął krzyczeć, to mało goście nie pouciekali...

— Niech pani stąd ucieka — powiedział brutalnie, zrzucając jej rękę ze stolika. — Proszę się wynosić do swoich tabliczek. Ale już!

„Dziewczyna popatrzyła na niego chwilę i odeszła; płeć jej lekko drżała. Spojrzął za nią i uozul coś w rodzaju satysfakcji; w myślach powtarzał najgorsze słowa pod jej adresem. Przymknął oczy i zobaczył tę dziewczynę oddającą się siedmiu mężczyznom naraz; i to ona była oczywiście pijana. Jak każdy pijak Kuba miewał plugawie wizje erotyczne; nawet kiedy leżał z kobietą, wystarczyło przymknąć oczy, a natychmiast wszystko wydawało mu się ohydne.

Wreszcie uspokoił się jako tako. Wyciągnął rękę po filiżankę z kawą, lecz cofnął ją zaraz — tak drżała, iż bał się, że rozleje wszystkie płyny. „Spokój — mówił do siebie — spokój... Nic się nie stało. Głupi przypadek, ot i wszystko. Ta maipa też niezemu niewinna. Muszę ją przeprosić. Zrobię to zaraz, jak się tylko trochę uspokoję. Kupię jej jakieś kwiatki, konieczne kwiatki. Powiem jej, że byłem zdenerwowany”. — Natychmiast w głowie jego powstał plan kłamstwa. — „Powiem jej — myślał — że matka mi umarła albo coś takiego. Albo że mnie wywalił z pracy. Nie, lepiej matka...” — Przymknął oczy i zobaczył siebie idącego w pochmurny jesienny dzień za trumną matki; nikogo oczywiście nie ma, tylko on sam; ma białą twarz i podsinione oczy. — „A może dziecko? — pomyślał. — Mała, trzyletnia córeczka? Nie, jednak lepiej matka...” Nagle rozczulony uspokoił się. Wziął do ręki filiżankę i pił parząc sobie wargi.

(cdn.)

**S**TACJA pomp stała na swoim miejscu. Piętro wyżej, biały budynek czarny dach kolorowy ogród pełen malin, głów sala-ty, szczyptorów kwiatów. Zielona siatka chroniła stację przed intruzami. Stary, wydeptany szlak dochodził z miasteczka wprost do rzeki i urywał się w wodzie. Jak dawniej nad rzeką biegał gruby stalowy drut rozpięty między brzegami. Stara Młó przyczepiona do niego łańcuchem, leżała na płyciźnie.

Szukałem oczyma śladów kul na murach. Dopiero po chwili pojąłem, że tamta moja stacja pomp zbudowana była z czerwonej cegły, a tę otynkowano. Może to jest ten sam budynek, może nie wewnątrz się nie zmieniło...

— Dokąd pan pójdzie? — kierownik stacji pomp wahał się, czy pozwolić mi na wędrowkę.

— Niedaleko. Do młyna.

— Do młyna? Nad rzeką nie ma żadnego młyna.

Wiedziałem, że mówi prawdę. Lecz była to jego prawda młodsza od mojej, wyrastała z innego pnia. Dlatego musiałem tam pójść bo wiedziałem na pewno: dla mnie ten młyn będzie tam stał zawsze. I dziś także. I każdego innego dnia, którego zjawie się tutaj znowu.

Nad rzeką, w bok od ścieżki, leżała kłoda zwalonej wierzby. Przysiadłem. Rozluźniłem krawat, zdjąłem wciśnięte do kieszeni. Było tu pięknie. Woda przejrzysta podchodziła pod wysoki brzeg, wirowała spokojnie i odpływała dalej, niosąc strzępy piany, kawałki gałązek, suche źdźbła. Na trawie — wypalony ślad ogniska, zetłale kawałki drewna popiołu. To rybacy lub pastuszkowie, albo Bóg wie kto, grzali się tu w chłodną noc, może wieczorem lub o świcie, gdy najzimniej nad rzeką na łące.

A może nie Gwidona, nie innych, nieznanych, lecz siebie powinienem wreszcie zrozumieć? To nie on i nie oni są tu ważni. Ktoś zabił. Minęło tyle lat, a jednak ktoś ją zabił, czarnobrewą, młodą, pociągającą. Była młynarka, potem krew, ktoś zabił. Więc musiał być zbrodniarz. To mógł być każdy, każdy obcy zgłodniały życia jak wilk, zły, pusty człowiek. Każdy. Spokojnie. Oto jestem na miejscu.

Odnoga rzeki tworzyła kanał, teraz zarosły i płytki. Widziałem resztki przepustu drewnianego zzieleniałe deski, pozostałości murów, w których tkwiły jeszcze łożyska młyńskiego koła. Ale samego koła nie było, rozpadło się, spłynęło kawałkami do morza, albo chłopci porabiali je na opał. Trochę wyżej pagórkowate ślady fundamentów rozbranych całkowicie; młyn był wznieiony z modrzewiowych bal, stary, wiekowy. I już go nie ma.

Zszedłem nad brzeg rzeki. Był urwisty, wyrastał o kilka metrów nad poziom wody. Tam, niżej, siedział wędka-lerz na kamieniu. Miejscowy chłop, starszy niż ja. Z niechęcią spojrzał do góry, gdy usłyszał moje kroki. Zszedłem do niego. Na dole miałem już buty pełne piasku.

— Biorą?

— Tak sobie.

— Dobrze pan zna rzekę?

— Jestem miejscowy.

Rozmowa nie kleiła się. Wyciągnąłem papierosy, carmeny, poweselał.

— Zagraniczne?

— Polskie.

— Spróbujemy.

— Zaciągnął się dymem, zakaształ.

— Słodkie — powiedział. — Dobrze, słodkie.

— Co tu stało? — zakreśliłem łukem.

— Tam, nad tym kanałem?

— Tam? A, to młyn. Spalił się.

— Dlaczego? Nie wie pan?

— Kara boska, panie, nie innego!

— Kara? Za co?

Stary zdeptał carmena. Odłożył wędkę, wyjął i kieszeni paczkę spor-

tyw.

— Nie wie pan? Tu mieszkał młyn-

szarz z młynarką, za Niemca. Aż wreszcie ona go zabiła, bo miała ko-

chanka. No i piorun trzasnął, a że to

wszystko z drzewa, poszło z dymem,

sł huczalo. I tyle zostało.

Patrzałem na rybaka i bezgranicz-

nyim zdumieniem. Czyżby tak było

rzeczywiście, że to ona zabiła młyn-

szarza? Ale przecież widziałem sens, na

własne oczy widziałem wszystko!

— Nie zmyśla pan?

— Niech skonom, szczerą prawdą

— buchnął się pięścią w pierś, potem

spłynął na wodę. — Z babami to tak

zawsze — powiedział z gorczyzą. —

Za młodszymi pójdą, obojęty do pie-

kie. Tfu, wazetecznicel

Gniew jego był szczerzy. Może sam doświadczył takiej zdrady, więc opo-wiadając miał teraz okazję zemścić się na młynarzowej, na swej zdradliwej, może żonie, czy przyjaciółce, na wszystkich kobietach, bo są złe i tyle. Nonsens, to jego życie było złe.

— Dziękuję za rozmowę.

Wśród łożowych zarosli, tam w górze, na wydeptanej ścieżce, z widokiem na równinę pastwisk nadwieprzańskich, na zarys miasta, które było niegdyś moje i jest, choćby tylko przez dzisiejszy dzień, więc tam, na innej płaszczyźnie wszystko uboży i c'ie inaczej. Tak jak było. Prawdziwie. Bo tu, nad zatoczką, fakty obróciły się przeciwko sobie, wszystko pozmienia-ło się jak we śnie. Czas zatarł obraz zdarzeń, historia wróciła do źródła. Zbrodnia to niesłychana, pani zabiła pana... Nie, to pan zabił panią, prze-cież wiem o tym lepiej niż stary ry-bak, niż wszyscy ci, którzy klnąc się na Boga żywego, będą świadczyć, że było akurat na odwrót.

złę ponad realny świat. Wydawało mi się, że płynę ponad nim albo to on przepływa przede mną. Sprawiały to odblaski światła polyskujące na zmarszczkach wody, rozkołysane ruchy krzaków, drgania łści łoż. Nie byłem pewny niczego, ani tego, że jestem tu i trwam, ani owej wiedzy o śmierci, jaka wypełniała mnie od dawna, jakby wchodząc we mnie coraz pełniej, ani też słuszności moich postanowień i pragnień. Musiałem tu wrócić mimo to. Jestem niedaleko od ruin mlyna, niedaleko od stacji pomp, niedaleko od drogi i piaszczystej przepra- wy nad rzeką, niedaleko od miasta, od ulic, po których chodziłem młody. Jestem także niedaleko siebie. Z tego wysokiego brzegu, nawet gdybym wysiłał wzrok, ledwie mógłbym zobaczyć to wszystko.

Rozmyli się przed oczyma twarze przyjaciół, kontury przedmiotów, usiad-łem na piasku, nie słysząc nic, jak- bym osunął się w głąb dojmującej czerni.

## Między brzegami

Wiesław Rogowski

Czułem się dziwnie. Znałem prze- cież prawdę, wiedziałem, kto był o- fiarą zbrodni. To znaczy, odczuwa- lem pewność, że wszystko dokładnie pamiętam, choćby dlatego, że byłem we młynie i widziałem nieżywą mly- narzkę, widziałem jej męża żywego. To przez niego wybuchła strzelanina na stacji pomp owej nocy, gdy przy- szedł ze skrwawionymi rękoma do nas po ratunek. A więc młynarkę zamor- dowano, nie młynarza.

Odszedłem, brzeg zakrył człowieka. Zmieniłem punkt obserwacji i wszy- stko także uległo zmianie. A przecież on tam jest, ten rybak. Lecz już go nie widzę. Może więc tak właśnie wy- gląda prawda, dla każdego z nas in- aczej? To jednak nie błąd pamięci lub wyobraźni, skoro znam fakty i dosko- nale je pamiętam. Jej twarz, jej oczy, jej włosy rozsypane na poduszce. To była ona, nie młynarz...

A jednak chętnie dawałem się po- wodować wrażeniu, że ci, którzy prze- wrócili zdarzenia na wywrót, białe zrobili czarnym, a ofiarę mordercą, więc ci, co tak spaliłi wszystko — rybak znał rzekę, czyjś głos we mnie ulegający panice, a także ludzie, od których rybak słyszał, co się miano- wicie wydarzyło we młynie — wszy- scy razem mają jakąś swoją rację. Bo może wcale nie jest ważne, co stało się naprawdę owego dnia przed- laty, a liczy się jedynie skutek tych zdarzeń w życiu miasteczka L., w pracach wsi leżącej w oddali za mly- nem, we wzroście jak andrzejanich, krzaków wiklinowych...

Musiałem zacząć wszystko od no- wa, od tego miejsca, w którym w moim życiu sprawa ta wzięła początek: od stacji pomp. Musiałem znaleźć się tam, właśnie tam, a więc stanąć twarzą w twarz z szumem wiatru wśród tamtej a nie innej wikliny, z własnymi my- ślami. Uświadamiłem sobie coraz wy- raźniej, że inaczej nie zdołam wyswo- bodzić się spod nacisku niejasnych uc- czu. Pragnąłem wziąć odwet za tę kobietę, za własną młodocia, za winę, która mnie dręczyła, chociaż byłem niewinny. A więc odwet za kobietę, która pojawiła się w moich snach, zemsta, w jej imieniu, na tym, kto na to zasługiwał, kimkolwiek był, mly- narzem, Gwidonem czy mą... Nie wyzwole się, jeśli nie spojrzę na wszy- stko z jakiegoś nowego punktu wi- dzenia, spoza znanych terytoriów prze- czu i doświadczeń, nie odnajdę praw- dy.

Stałem więc znów przed stacją pomp, mając za plecami ten dom. Zda- wało mi się, że to rzeka ogranicza moją wolność, wyznacza linię, poza którą nie chcę i nie potrafię wyjść. I nie mogę. Wsiadłem do łódki. Była w gruncie rzeczy niewielka, na jedną osobę, najwyżej na dwie. Połączona łańcuchem i rozpiętym między brze- gami drutem, płynęła łatwo, gdy prze- ciągałem ją rękoma.

Łódź uderzyła dziobem o przesek. Kilka kroków w górę i oto płaszczy- zna rozległa. Byłem wysoko, jak na mostku kapitałskim, jakymś wapiel-

nego szczytaczka — znów się uśmiech- nał, trochę chytrze. — Może pan ku- pi?

— Jestem nietutejszy — odparłem.

— Nie miałbym z tym co począć.

— Wiedziałem, że pan nie kupi. Ale

zawsze warto poprobować.

Ta zmiana tematu, ów wykręt wi- doczny był jak na dłoni. Rybak nie chciał powracać do przeszłości. Skoro raz już opowiadał swą historię, i to w dodatku przyjętą przeze mnie z niewiarą, po co znów miałby sobie strzępić język?

— To było zaraz po wojnie — pod- niosłem się z piasku. — Pan pamięta, wtedy Niemcy uciekali. Ktoś zabił mly- narzową, nikt nie wie, kto to zrobił. Czy pan pamięta?

— A skąd pan to wie? — przyjrzał mi się podejrzliwie. Podniósł się tak- że, udawał, że zbiera swoje rzeczy, spoglądał spode łba, w każdej chwili gotów do ucieczki.

— Nie wiem. Ludzie mi opowiedzie- li — skłamałem.

— Ludzie. Czemu to ludzie nie na- plotą, proszę pana.

Stał przede mną, nie odchodził, cze- kał na jakieś wyjaśnienia lub może wołał, abym ja pierwszy zniknął stąd, bo bezpieczniej odchodzić drugiemu. Wydał mi się w tym momencie nie- nawistny, uparty jak kozioł, dziwny, brudny, stary cap, który nawet sięg- nąc po trawę pyskiem nie ma siły. Gniew podniósł mi ciśnienie, czułem, że się czerwienię, więc zacząłem od- dychać głęboko, miarowo, całą pier- sią.

— Co panu jest? — zaniepokoił się.

— Czy pan jest chory?

— Nie, nie, zaraz minie...

Jakże umiał się zmieniać ten czo- wiek. Teraz był pełen niepokoju o mnie, wyglądał, że pragnie mi dopo- móc. Ale nie ruszył się z miejsca i ja także stałem nieruchomo.

— Pan nie powinien słuchać tego, co ludzie gadają — powiedział wresz- cie. — Nie ma potrzeby. Człowiek sam winien wiedzieć, co i jak było, pro- szę pana...

— A pan nie słucha ludzi?

— Słucham, czemu nie. Wiadomo, ludzie to są ludzie.

Z carmena został już tylko munst- tuk. Ale nie wyrzucił go, widział miał taki zwyczaj. Swoją wędkę trzymał jak kopię w obronie przed niebezpie- czeństwem. Nie powinien odchodzić i przeświadczeniem, że byłem mu wro- giem.

Nad rzeką, z wiadrem ryb, zwy- czajny, tutejszy, był dla mnie częścią dnia, żywym i żyłkiwym przechod- niem, współtowarzyszem drogi. Tak było, nie inaczej.

— Piękny dzień — powiedziałem. — Piękne lato.

— A pan nie pierwszy raz nad rzeką — odparł i znów był rozluźniony wewnętrznie, bliższy mi i żyłkiwy.

— Nie, nie pierwszy. Przedtem wi- działem pan koło młyna. A jeszcze wcześniej mieszkałem w miasteczku, wie pan?

— Tak i myślałem...

— Widzi pan...

Potrząsnął wędziskiem. Poprawił czapkę na głowie, ujął wiaderko. Był gotów pójść dalej, swoją drogą, nad rzekę, między krzakami, do siebie tyl- ko znanego miejsca, gdzie ryby biorą najlepiej.

— A tamto, o co pan pytał — rzekł na odchodnym — lepiej o tym za- pomnieć, nie myśleć, nie wspominać. Mogło być tak i siak, tylko co teraz komu z tego przyjdzie? Lepiej nie myśleć. Trzeba żyć, żyć trzeba, panie, a nie rozmyślać.

Kiwnął głową i odszedł. Jeszcze przez chwilę widziałem jego plecy, po- tem czapkę, wreszcie już tylko cru- bek wędziska, na koniec krzawy zamk- nęły się za nim. Kroki miał ciężkie, staleczne, powolne, oddalały się, cich- ly i teraz nie wiedziałem już, czy ry- bak był tutaj ze mną, czy tylko ja wywołałem go z pamięci. Chciałem uczynić coś dla niego, aby i on wi- dział, że ja istnieję naprawdę. Trzy- małem dotąd jeszcze carmeny w re- kach. Położyłem więc ostrożnie papie- rosy na piasku, a na nich pudełko zapalek. Wyobraziłem sobie jego zdziwienie, gdy wróci, jeśli był tu rze- czywiście, albo jeśli kiedykolwiek na- dejdzie z tamtej strony rzeki, od mly- na. Ten czyn realny był jak pierwszy krok ze snu do jawy.

Fragment powieści pt. „Sumie- wie”, która ukaże się nakładem KAW w 1985 roku.

# KREW KAMELEONA

Zbigniew Puchalski

Omarowi Barhamowi

**W** IEM, że nigdy nie wybiegniesz z miasta, w którym byliśmy ze sobą, gdy wschodziło słońce i zapadał zmierzch. Podnosiliśmy z ziemi leżące liście, wpinaliśmy we włosy, a ty tańczyłaś, mając zamknięte oczy. Ręce przylgnięte do tułowia tworzyły dziwną postać, majestatyczną i jakby zagubioną, prawie bez wiary, że zatańczysz szczęście. Tak, tańczyłaś jak upiór — bardzo cię to podniecało. Kofysanie swoim ciałem — mówiłaś — przynosi ulgę, jest dalekie, dziejące się w przestrzeni; ciała wtedy nie ma, nie ma nikogo, tylko ja istnieję i gram na grzebyku, siebie gram.

Tak, tańczyłaś upiornie. Zawsze wśród białych motyli, które nagle wzbijały się w powietrze, ale nigdy nie oddalały się od miejsca, gdzie ty tańczyłaś, gdzie było przeczuwanie śmierci.

— Przeczuwanie śmierci — mówisz Cezary. — A przecież bardziej ją czuję, gdy gładzisz mnie po włosach, policzkach, gdy wysuwasz język i dotykasz moich oczu i włosów. Czuję ją bardziej, wtedy wiem, że jest przy mojej skroni. A w tańcu, wiesz, Cezary, w tańcu ktoś obypuje mnie ciepłym deszczem.

Jestem tak sama, prawie naga i bosa. Zasuszone korzenie wiśni zasadziłam w wazonie. Obok postawiłam biały dzbanuszek, w którym kiedyś trzymałam moje włosy. Pamiętasz, Cezary, zaraz szybko jakoś posiwiały, były białe jak śnieg. Jak ciepły śnieg — mówiłaś ty.

I ty też nie wybiegniesz z miasta, Cezary, ponieważ wiesz, że nieustannie szukam cienia, a słońce praży, boję się, że spali mi włosy. Należymy do tego samego miasta, wokół którego prawie nie ma starych drzew.

Matka mi mówiła, że widziała ciebie, jak któregoś dnia stałaś długo w oknie, a potem po twoim zniknięciu jakby płonął ogień. I później znowu się pokazałaś, stałaś nieruchomo, miałaś zamknięte oczy. Bała się, że nie chcesz patrzeć na świat.

Nasza miłość stała się krótka, ostatni kameleon uciekł wśród traw. Biegłaś za nim, a potem wzięłaś mnie na ręce. Czulałam, że są wilgotne, jakby je pokrył szron. Na plecach i pod udami pozostawały czerwone plamy. To od wysiłku mówiłaś na początku. Nie wiem, Cezary, dlaczego ciągle bates się, żeby nie padał deszcz. Rozmyje szczęście?

Gdy złapałaś pierwszego kameleona, nie wiedziałam wówczas, co to jest miłość. Miałam nadzieję, że rodzi ją deszcz. A gdyby tak obok mnie stał biały chłopiec z błękitnymi oczami, co rozwozi chleb. Często go spotykałam, był długi i pewnie miał długi sen. Zawsze w domu kroił chleb, prawie całe popołudnie. Równie, kromeczka obok kromeczki. Wszystko to układał w stosy i wachał je jak pies, i jak kotek też, i jak ja, ale bez ciebie, Cezary. Rozwoził i tak ładnie brał go. Może nie brał nawet w dłonie, jakoś inaczej, dziwnie. Tylko mój ojciec tak brał matkę, gdy leżała nieruchomo na pościeli.

Nie wiedziałam go od tygodnia. A jakby tak stał? Pokochałabym go w jedną noc.

Był długi ogród, pełen zielska, prawie bór. Stałam przy drewnianym ogrodzeniu, gdy ty podszedł. Ręce znowu schowałeś do tyłu, a potem nagle wsunąłeś je gdzieś głęboko we mnie, czulałam, że wyszły z mojego ciała. Wtedy powiedziałeś mi po raz pierwszy, że dzisiaj zabiłeś pierwszego kameleona. To na szczęście, Milka — mówiłaś — na długie szczęście. Szukałaś go wśród pól. Zapadał zmierzch, zapełniła się rosa. Mówiłaś, że znalazłaś go przy starej studni, jakby skoczyć do niej chciała. Patrzyliście sobie długo w oczy. Przycisnęłaś go butem. Czuleś, że jest śliski i ciepły. Pod twoim butem pulsowało życie, dzięki życie wśród nas. Robiła się noc. Przycisnęłaś mocniej, po chwili już nie żył. Wzłapałaś go i jego krwią mazałaś swoje ręce i mówiłaś do niego: „To na szczęście, za Milki inny wzrok”.

Brunatna krew w nocy świeciła. Schłał powoli, jeszcze żyła. Pieściłaś dłonie, a potem podniosłaś w górę głowę i mówiłaś, przebac mi Chryste, przebac, ale przez to pomazanie nie poznam, co to ból i Mila go nie zazna. Jutro nabierzam ci jagód i zostawię przy studni.

Cezary, mazałaś ręce jego krwią, a w nocy przyszedł do ciebie pies, zwiesił łeb. Mówiłaś, że zawsze przychodził, gdy tylko położyłaś się na wznak. Podchodził i dotykał pyskiem zwisającej ręki. Gdzie on teraz jest, Cezary? Długo nie wracał, bates się o niego.

A wtedy jak stałam przy jabłoni; stare drzewo, gałęzie schyliły się nisko ku ziemi. Była jesień. Stałam i czekałam na ciebie. Nadchodziłaś od strony rzeki z twoim ojcem. Zobaczyłaś mnie. Ojciec uśmiechnął się i powiedział: bądź zdrowa, Milu, i odszedł trzymając ręce w kieszeniach. A ty, Cezary, objąłeś mnie w pół, oparłeś głowę o mój kark. Stałiśmy tak przez chwilę. Mówiłaś, że jestem gorąca jak dziecko. Szukałaś mojej szyi i włosów. A ja wyciągałam do ciebie ręce. Nigdy nie było twoich

rąk. Są zimne, Milu — mówiłaś. — Dzisiaj wiał silny wiatr!

Gdy odchodziłaś, podałaś mi dłoń, była ciepła. Trzymałam ją długo, jakby to nie była twoja dłoń. To przecież kameleon, Milka — powiedziałeś. — Kameleon. I znowu biegłaś wśród traw, Cezary? Wśród wysokich traw — cicho szepnęłaś. — Gdzie nie ma nic i nic nie widać. To jest drugi złapanie kameleona. A ja przecież mogę znaleźć ci wszystko, wszystko, Milu.

Miałaś duże, szorstkie dłonie, Cezary. Jakbyś trzymał w nich ciągle broń. A ja marzyłam, żeby mój chłopiec, mój mały, mój mały brat, mój sen miał zgrabne palce i żeby nimi szukał wokół siebie mnie. A ty, Cezary, nawet nie tańczysz. Masz dziwny chód, brzydki. A przecież ładny jesteś, gdy jesteś sam. Siebie nie widzisz, patrzysz na ręce pomazane krwią i myślisz, że to za nasze szczęście. Skąd o tym wiesz, Cezary, kto ci powiedział? A może wiatr!

Powiedziałeś, Cezary, że złapiesz ich tylko czerzy, a potem będzie szczęście i zbudujesz mi dom na skraju lasu, żeby być bliżej jagód. Zamieszkaamy razem z psem. Mogę nawet położyć obok ciebie ojca. Ma twarde ręce, gruby kark — mówiłaś. — I płacze czasem, gdy zmierzch zapada i nie widać już pól, i ciemność do pokoju wchodzi. Wtedy mówi, że coraz częściej przychodzi do niego noc. Pewnie będzie koniec, powtarzał.

Położysz go obok mnie, Cezary! A ja przecież mogę go przytulić, piersią rozgrzać nos i przewrócić go na bok i mocno się do niego przytulić, żeby poczuł jak bije mi serce. Mogę go nawet cicho wziąć. A twoja wiara w krew, Cezary! Twoja wiara w następny dzień.



Rys. Mariusz Rybicki

Nigdy, gdy świeciło słońce, nie brałaś mnie. Tylko w deszczu brałaś mnie mocno, ja leżałam nieruchomo, prawie cicho. Deszcz padał, spływał po twoich włosach, kapał mi na brodę, na pierś. Czy wiedziałeś, że właśnie wtedy chciałam się modlić, za wszystko, za ptaki, zwierzęta, za mój ból. Zawsze mnie bolało, chociaż moje nogi rozrzucane szybko i szeroko, nie czulałam ich prawie. Na brzuchu palcem lekko robiłaś kropelki z krwi. Mówiłaś, że wyglądam jak biedronka, jak nie wiem kto — powtarzałaś, Cezary.

Brałaś mnie ciągle. Nawet nie wiem, kiedy był dzień, a kiedy noc. Zawsze wiedziałam, gdzie są twoje mokre dłonie. Moich włosów nie dotykałaś, a palce zaciskałaś w piastki, jakbyś się bał, że dotknę twojej szyi.

Czekałam cierpliwie i ty czekałaś. Razem czekaliśmy, aż złapiesz swoje kameleony. Wiedziałam, że później będziesz piękny; położysz mnie na pachnącej pościeli i nie będziesz mnie brał, aż przyjdzie taka noc, że wyciągnę z dzbanuszka siwe włosy, zrobię z nich koronę i tobie dam za to, że tak cierpliwie pracowałaś na szczęście. A potem zbudujesz mi dom bez okien i drzwi. Tylko wiatr i mróz będzie się wcisnął aż do naszych stóp. Zobaczysz, będzie życie malowane, takie proste, takie ciche, jakby z gór.

Zauważyłam, że rośnie mi brzuch. Twardy i ciepły — orzech mój. Matka też to obejrzała. Nie patrzyła na mnie, teraz patrzy. Podchodzi do okna i płacze. Objemuje ją i mocno przytula. Nigdy jej nie przytulałam, nie wiedziałam, że można to robić tak i że ona też chce tak.

— Nigdy nie przynosił ci kwiatów, Mila — mówiła. — Ciągłe prowadził wśród łąk. Wracałaś mokra, zziębnięta, sandały spadały ci z nóg. Kładłaś się na kanapie bardzo zmęczona. Rękami obejmowałaś nogi, głowę przysuwałaś do kolan i wpatrywałaś się godzinami w chudą twarz drewnianej Madonny. Dziwnie płakałaś, całym ciałem, jakby wszystko w tobie płakało, Milu — szeptała z łokiem w oczach.

— Mamo, gdy się leży na wznak, widzę, jak krwawi słońce, jak siada motyl. Kwiaty w ręku,

nawet te, które bardzo lubisz, wyglądają jak ptaki, które nigdy nie miały gniazd — odpowiadam.

Później długo stałam przy jej łóżku. Patrzyłam, jak ginie w bieli i wyciąga przed siebie ręce, jakby chciała dotknąć ścian i mnie, i mojego dzbanuszka. Wstawała wcześniej rano, brała w rękę chleb, całowała go i mówiła, weź go, Milu, to dla ciebie, na zdrowie. Zamykałam wówczas oczy i widziałam ciebie, Cezary, ciebie wśród pól. Otwierałam oczy, a ciebie nie było, chociaż wydawało mi się, że tańczyliśmy; byłeś biały, a ja naga z wystającym brzuchem, jak nieżywa ryba w rzece, zabita przez muzykę stratowanych skrzypiec.

Przychodziłaś do mnie coraz rzadziej. Minał miesiąc, zanim przyszedłaś. Byłaś mokra, pewnie biegłaś za nim, za jego cieniem w cień.

— Milu, znalazłem go! — krzyczałaś. — Leżał przy drodze przejechany, zabity przez deszcz, zapomniany. Przyrosł do ziemi i ona pewnie go przyjęła. Nie wiedziałam, jak go wziąć. Podważyłam nożem, trochę go skaleczyłam. Nie wypłynęła ani jedna kropka krwi. Nawet w ogniu nie miał nic. Gdzie jest ta krew na nasze szczęście?!

A ja wiedziałam, żeby mieć miłość, kogoś kochać, to niepotrzebna jest czyjaś śmierć. Chciałam bardzo kochać, Cezary, bardzo!

Nie mówiłam ci nigdy, że on był w moim życiu, w moim krótkim życiu, którego prawie nie było. Spotykałam go przy strumyku, poił konie. Nic nie mówił. Czekaliśmy. To była pewnie miłość, a twoja miłość to jakby śmierć wcisnąca się między uda, szukająca ciepła tam, gdzie powinien ciągle padać cień. Można kochać tylko przy tej samej rzece. Zmienia się toń, a człowiek jakby ten sam. Nie wiem, Cezary, co to znaczy, że krew może nas zbliżyć.

Tamten chłopiec poił konie, a potem zabierał je na pobliską łąkę. Przeważnie był sam. Czasem szedł w kierunku sadu, opierał się o drzewo i czekał. Widziałam, jak przychodził mocno zbudowany mężczyzna, opierał ręce na jego ramionach, uśmiechał się i całował go, a on zwieszał głowę i obejmował w pół tego mężczyznę. Robił to ładnie, Cezary, nie tak jak ty i nie tak, jak mój ojciec. Teraz wiem, że jak się kogoś kocha, to trzeba robić to jak on, jak nikt inny.

Plakałam bardzo. Biegłam przed siebie do utraty tchu i padałam ze zmęczenia, i leżałam czekając na sen. Gdy wstawałam, nie było już koni i ich a w sadzie tańczył wiatr, ruszał listeczkami jakby ze szczęścia.

Poił konie kilka razy i kilka razy tamten mężczyzna całował go. A potem znikł, a strumyk ciągle tam jest. Czuję się związana z wodą, lubię jej bieg. Szukam ścieżki wzdłuż strumyka, gdzie woda jest czysta i widać dno, połyskujące kamyczki, grzbiety ryb, milczące rośliny i moją starczą twarz, i dziecinna też. I wówczas nawet nie zachodzi słońce, wszędzie jest ciepło.

Miałam nadzieję, że jego twarz też zobaczę; białą i piękną — mogłaby być nawet bez oczu. To była dobra miłość, mimo że tamten mężczyzna dotykał go.

To byłeś ty, Cezary!! A potem ciągle wydawało mi się, że stoisz przy rzece i czekasz na mnie. Ja też wtedy miałam ciepłe ręce. Dotykałabym ciebie, tak, jakbyś chciał... nawet tam. A teraz chcesz, że by krew przemieniła się w nasze szczęście?

Kameleony łapałaś przy starej studni. Lgnęły do niej, a przecież nie było w niej wody. Czasem czekałaś długo, zacząjony, sprężony do skoku. Pewnie przeczuwałaś, że czeka je śmierć. Dlaczego nie omijały tej studni?!

Mówiłaś, że jeden czekał przy leżącym obok kamyczku. Kamień miał ciemny kolor, a kameleon robił się jasny. Łatwo było go dostrzec. Jakby namyślił, jakby tak chciał.

I ja raz też byłam w pobliżu studni. Nie widziałeś mnie. Kameleon wysunął się z traw i stanął przy studni. Zawsze uderzałaś butem, a potem brałaś w rękę. Jeszcze się wil, ale jakby lgnął do twoich rąk. Dziwnie, Cezary, że nie zmieniał koloru skory nawet wtedy, gdy umrzeć miał. Może i wśród ludzi też tak jest?

To taka smutna śmierć przy starej studni, na pewno inna niż wśród pachnących traw, albo gdzieś w lesie na rozgrzanej słońcem polanie.

Powiedziałeś, że jednego kameleona wypuściłaś z rąk. Patrzył na ciebie, aż przebiegł przez ciebie deszcz. Miał mokry pyszczek, a potem zrobił się cały czarny i zimny jak lód. Językiem dotknął twoich palców. Otworzyłaś dłoń, a on nie poruszył się. Rzuciłaś go w trawę. W następnym dniu, gdy przyszedłaś, leżał nieruchomo, a na kamieniu widniały świeże kropelki krwi. Pomazałaś nią ręce. Odchodząc zauważyłaś, że kameleon poruszył się, podniósł w górę pyszczek i znikł wśród traw. Czy wiedziałeś, czyja to była krew?

I łapiesz kameleony, Cezary, a potem krzyczysz: „Tylko nie stój przy studni, Milka i ty, Chryste!” Brzech mi rośnie, deszcz bije o dach, ja leżę w łóżku i czuję każdy mięsień. Matka podchodzi, poprawia mi koc i uśmiecha się.

Był ciepły wieczór, jak przyszedłaś po długim milczeniu. Siedziałaś cicho, nie mówiłaś nic. Miałeś zmęczoną twarz. Odszedłaś, nie zamykając drzwi.

— Nie przychodzi już więcej, Cezary! Małego sama urodzę, nie chce, żeby widział krew kameleona, bo ominie go szczęście i będzie jak ty ciągle wędrujący.

Urodzę go w strumyku, będzie mi lże. Urodzę go cicho. Boję się, że ty jednak wrócisz cały umazany krwią, to też będzie na nieszczęście!

A ja poczekam, wysunę przez okno ręce i wiem, że wtedy spadną ciepłe kropelki krwi, a żywy kameleon zaśnie przy mojej szyi. A ty, Cezary, odejdziesz z tych pól!

Możesz wybiec z tego miasta, zanim spadnie długi deszcz i ktoś zapłacze przy starej studni.

## Grzegorz Pernach KOLEDA A PRIORI

gdy w oknach historii  
spłonęła pierwsza gwiazda  
miary Giordano Bruno

lub człowiek nam mniej znany  
na przykład popanin  
bez czi i wiary

to gdy gwiazdę zapalić  
jeszcze raz betlejemską  
krzyż przyniosą w daru

hej koledo koledo

tyś Lichtarzem tej wiary  
czas kielichem gorczy  
i ogrodem oliwnym

wśród światel wigilijnych  
i obrzędów tak dziwnych  
które lud chce ocalić

ty koledo się patisz



Rys. Andrzej Bronikowski

## Ryszard Kornacki W POSZUKIWANIU WYJŚCIA

mam czterdzieści estery  
lata  
i uległem  
tragicznej katastrofie

w natłoku  
administracyjnych kwestii  
zagubiona moja  
romantyczna układkę  
przeznaczenia

teraz chodzę  
od biurka jasnowidza  
do kartoteki różewicza  
i pytam  
czy zacząć od początku  
jeśli tak  
to może od dzieciństwa

## TYLKO POECI

w jesieni  
drzewa  
wiatr okrada  
z liści  
zwierzęta  
przymierzają  
nowe kreacje  
ptaki  
zmieniają adres  
zamieszkania  
mężczyźni  
ściągają

do ciepłych  
legowisk  
kobietu  
wybacza  
marnotrawnym  
wędrowcom

tylko poeci  
pozostają  
we własnych siłach

## INWOKACJA DO PSA

poeci  
są najłagodniejsi  
i najbardziej

ty który jesteś  
sirółem mego pola  
mojej wierności  
poczciwości ludzkiej  
bądź pozdrowiony  
i miej mnie w opiece

ty który nocą  
gramisz reszki kości  
warując pod drzwiami  
w których nie ma klucza  
bądź pozdrowiony  
i miej mnie w przyjaźni

ty który rankiem  
sennosć swą zamieniaasz  
na lizanie rondla  
inerdanie ogonem  
bądź pozdrowiony  
i wytrwaj w pokorze

## ZIMOWY WIECZÓR

miasto biele się  
jak zupa w garnku mamy  
ostatnie konie  
zagrzebane w martwej kotwice  
dzwonią ostrogami  
na nocną pasterkę  
kościół zaczyna się  
wystrzony w światłach okien  
hej koleda koleda

na stole dzieli się  
opłatek  
dobroć i zmartwienie  
do ust podnosimy  
kielich nadziei  
wypełniony po nasze brzozi  
a oczy twoje płoną  
jak dwie jasne gwiazdy  
wiecznej mądrości  
hej koleda koleda

## Halina Sitarska

Gdy przyszło mi żyć  
na granicy  
potrzaskanych dni  
gdy codziennie zbieram  
ze stołu  
okruszyny  
wyblakłego uśmiechu

gdy w moich gwiazdach  
rośnie  
kulawy lęk

gdy wiem że codzienność  
wyznacza granicę  
mego szaleństwa

wtedy otwieram dłonie  
i strzeżenie chwytam  
niepozorne życie...

semafor  
zezwała na  
mój powrót  
i wracam  
z codziennym odchodzeniem  
z bagażem spraw  
nie do pokonania  
z kielkującym  
przydrożnym zaczepianiem  
o kłęczące drzewa  
z reszta pochylonych  
dziecięcych snów  
z kwiatnym ziarnem  
przebranych bitew

## Krystyna Makula -Trochimiuk

## „FRASOBLIWY” MARIANA BIELAKA

mam tyle boskich spraw na głowie  
zażegnać wojnę pożar lasu  
prostować mrowkom ścieżki  
wyszukać najszczęśliwszą gwiazdę  
oraz dziewięciu sprawiedliwych  
zadbać o wszystko co jest duże  
zadbać o wszystko co jest małe  
jako też o światłość wiekuiszą  
niechaj świeci

te są sprawy boskie  
które biorę na siebie  
do Jezusiczek najfrasobliwszy  
z frasobliwych prosto z jarmarku  
na komodzie mi przysiadł  
utrudzone stopy rozpląsał  
chłopską kościstą dłonią  
zbołałe kolano rozciera  
korona cierniowa na bakier  
frasuje się a frasuje  
i coraz bardziej boleściwy  
biada mu

już on Jezusiczek najfrasobliwszy  
żadnej boskiej sprawy nie załatwił  
jeszcze korniki odganiam  
od panaboskiej osoby  
tak żałościwy jest  
że aż drewniany  
a taki ci jest malutenki  
że Jezusieczku kochany.



Fot. Marzena Gołąb

## Paweł Gembał JAK GALAKTYKA

Tej nocy kiedy mi opowiedziała  
Przyznała się  
Do tych wszystkich historii  
Myślałem Annie  
Świat się zawałił  
Pamiętam Nawet ja spytałem  
Czy nigdy nie próbowałaś popełnić samobójstwa  
Odpowiedziała Owszem Myślałam o tym wiele razy  
Ale nie ośmieliłam się tego pomysłu zrealizować  
Pewnego wieczoru jechaliśmy samochodem do domu  
Gdy nagle ukazała się pośrodku przedniej szyby  
Płonowa sylwetka drzewa i rozległ się trzask  
Zadziwiająco jednoznaczny zważywszy że wszystko  
Stało się tak niespodziewanie i tak zwyczajnie  
Odczułem raptowny bezwład auta i tego stanowczy  
Protest W lot pojąłem chociaż umysł miałem grubo  
Wyświetlany wiać obojętności że coś się wydarzyło  
Coś nad czym oboje w innych swoich wcieleniach  
Bolewałobyśmy na pewno Miałem Drogę do domu  
Tak niedługo i przed chwilą mierzona w minutach  
Teraz zastępla i wyciągnęła się w nieskończoność  
Jak galaktyka

# Poczytaj mi mamo!

Józef Czechowicz

## ZIMOWE UROKI

Matusiu, Lublin tak srebrny  
twoe baśnie mi przypomina,  
o lotach koni podniebnych,  
o czarach lamp Aladyna...

Kościół w bieli i wieże  
w kołpakach, skrzęcych się w słońcu,  
są jak archanioł, co strzeże  
wrót rajskich na świata końcu...

Zamek jak statek, co w burzy  
utracił ster, żagle i maszty,  
martwo na białej górze  
spoczywa w cieniu swej baszty...

W uliczkach błękitne smugi,  
w zaułkach — srebrnie i biało.  
Na bram i okien framugi  
śnieżnych „baranków” nawiało...

Tak za dnia. A kiedy nocą  
bania uroków tu pęknie  
i gwiazdy niebo wyzłocą  
— o, matuś — jak będzie pięknie!

Ryszard Danin

## WIGILIA MADZI

Dziś nie ma miejsca na żal i smutki.  
Na drzewku wiszą barwne kogutki.  
A pod choinką, strojne we wstążki,  
Leżą nowiutkie urocze książki.

Dziś nie ma miejsca na niepokoje.  
Pierzchły do kąta precz smutki moje.  
Lampki zabłyśły już kolorowe,  
Pod drzewkiem siedzą dwie lalki nowe.



Będzie tak miło, jak w każde święta.  
Pontynie cicho polska kolęda,  
Przytulił mnie tатko, uściska mama,  
Bo im prezenty zrobiłam sama.

Zygmunt Mikulski

## WIGILIA

Przyszła chwila wyczekana —  
święto świerka, świeczki, siana,  
jak się nie weselić!

Kiedy prawie od poranka  
na organkach, na multankach  
jazgoczą anieli.

Chwila osobliwa przecie:  
dziś się narodziło Dziecię.  
Gdzie? Koło Betlejem.

Lśni kometa złotolita,  
wobec czego znowu świta,  
po raz drugi dzieńje.

Więc na stół placek i kasza  
od Annasza i Kaifasza,  
niech i dla nich święto.

Grajcie gęśle, basy, dudy,  
Pan się rodzi w ziemi Judy  
ludziom i zwierzętom.

A więc Janku, Tadku, Ewko,  
zagiądnijcie w mig pod drzewko.  
Już widzicie? Co tam?



Cicho sza, mówić nie trzeba,  
tam jest właśnie gwiazdka z nieba  
ze szczerego złota.

Więc jak wszystkie dzieci, i my  
mamo, bardzo cię prosimy,  
prosimy szalenie,  
żeby grało, żeby lśniło,  
chcemy, żeby co dzień było  
Boże Narodzenie.

## SPRAWY Z PTAKAMI

Jak potrafił i jak mógł,  
na gałęzi usiadł kruk.  
Okiem patrzy, dziobem stuka —  
taka jest natura kruka.  
Głodny. Sera się nie nakradł.  
Z głodu nuci swoje „kra — kra”.  
Wróble się zleciały zgrają.  
Dziobią. A może udają?  
Później, jak zwykle we wtorek,  
przyfrunęło pięć sikorek,  
a także — jakby inaczej —  
jakiś trznadel, jakiś szpaczek.  
Słowem, fauny aż połowa,  
ta skrzydełko-pazurkowa.  
Radują się wszystkie dzieci,  
że tu ptak, tam ptaszek leci.  
Śmieją się do tych igraszek,  
które robi ptak i ptaszek.  
Bo po ziemi chodzić zbrzydło.  
Żeby tak choć jedno skrzydło!  
I pofrunąć choć ze sroką  
pół-szybko, a ćwierć-wysoko.



Albo lepiej skrzydła dwa.  
Wtedy radość, że aż ha!  
Można się obrócić w kółko  
raz z gołębiem, raz z jaskółką.  
Albo z orłem lot w przestworse —  
co by na to rzekł pan orzeł?  
Z pewnością aż stroszy pióra  
i z ochoty krzyczy „hura!”  
A więc sprawa umówiona —  
będzie wyżej, będzie ponad.  
Czyli już widzicie sami:  
umawiać się tylko z ptakami,

## ŻEBY BYŁY ZWIERZĘTA

W parku jest dużo  
śniegu i słońca,  
ale dlaczego  
nie ma zająca?  
Zając by koło  
krzaczka podskoczył,  
radując serca,  
ręce i oczy.  
Do władz by miasta  
złożyć podanie,  
żeby zajączek  
miał tu uznanie.  
Oprócz zajączka  
niedźwiedź włochaty,  
byłaby frajda  
dla Honoraty.  
Dla Honoraty,  
Tadka i Władka,  
a niechby jeszcze  
większa gromadka.  
Wtedy by klasnęć,  
zatańczyć wkoło,  
a przydałoby  
się całe ZOO.  
Mamusiu droga,  
zjem kluski z serem,  
tylko chcę widzieć  
się z dromaderem.  
Więc pisz do pana  
nadreferenta,  
by w naszym parku  
były zwierzęta.



Rysował: Józef Tarłowski

# Podolsko - wołyńska gałąź

Stanisław Wisłocki



Stanisław Wisłocki  
(okolo 1924 roku).

Tekst, którego fragmenty publikujemy poniżej, liczy 40 stron rękopisu (formatu 21x30 cm) i nosi tytuł: „Kronika z życia jednej podolsko-wołyńskiej gałęzi rodu Wisłockich herbu SAS — dla mej żony Emilii, moich córek Haliny i Zofii Wisłockich”. Manuskrypt, mający charakter wspomnień, powstał po 1905 roku, najprawdopodobniej w dwudziestoleciu międzywojennym, i przynosi sporo informacji o życiu polskiej szlachty na Podolu w II połowie XIX wieku. Autor rękopisu, Stanisław Wisłocki (1857—1940), był moim dziadkiem; Halina Wisłocka (po mężu — Podgórska), zamordowana przez hitlerowców w Palmirach w czerwcu 1940 roku — moją matką; zaś Zofia Wisłocka, zmarła 13 XI 1981 roku — moją ciotką. Po tej ostatniej odziedziczyłem dokumenty rodzinne, a wśród nich znalazła się m. in. właśnie „Kronika...” pióra dziada Stanisława. Jej przyszył autor, po ukończeniu szkoły realnej w Białej Cerkwi, studiował w Petersburgu i został inżynierem komunikacji wodnej. Ożenił się w roku 1895 i mieszkał wraz z najbliższymi w różnych miejscowościach kresów wschodnich (w Mohylowie, Kijowie, Czernihowie i Wilnie), a pod koniec życia — w Warszawie, skąd pochodziła jego żona, a moja babka — Emilia (z domu także Wisłocka). Przed przejściem na emeryturę (1931 r.) był naczelnikiem Oddziału Nurtowego Dyrekcji Dróg Wodnych w Wilnie. W roku 1930 odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Opublikował kilka broszur z dziedziny inżynierii wodnej, m. in. „Niemen i Wilija” (Warszawa 1932), wygłoszoną przednio jako obszerny referat na I Narodowym Kongresie Żegluga w Warszawie (19—20 VI 1932 r.).

Maciej Podgórski

PO rozbiórce Polski w końcu XVIII stulecia część aktów heraldycznych, obejmujących ród Wisłockich herbu „Sas”, trafiła do Rosji w tej liczbie akta dotyczące podolskiej gałęzi tego rodu. Mój ojciec, Antoni Wisłocki, ubiegając się o potwierdzenie swego szlachectwa przez władze rosyjskie, wyjednał w odnośnych urzędach do potwierdzenie w postaci aktu heraldycznego, który w kopii dostał się mi w spadku po śmierci ojca. Prócz tego aktu brat mój Alfred Wisłocki, adwokat kijowski, dostał w odnośnym urzędzie wykaz naszych przodków, nie sięgający jednak dalej od pra-pradziada. [...]

Pra-pradziad mój, Mateusz Michał Wisłocki, urodził się u schyłku XVII wieku. W roku 1723, według przywileju króla polskiego Augusta II Mocnego, otrzymał tytuł nurskiego podsejdy. Miał w posiadaniu wieś Dydowo z poddaniymi włościanami. W r. 1756 odstąpił tę wieś synowi swemu Józefowi, który w r. 1779 wieś sprzedał niejakiemu Wachnowskiemu i w roku 1802 nabył drugi majątek — trzy wsie: Paniów, Cyruliki i Malicze z włościanami. [...]

Piąty syn pradziada Józefa, Klemens, był moim dziadem. [...] Sądząc z zestawienia różnych dat, można wywnioskować, że dziad Klemens urodził się w ostatnim lub przedostatnim dziesięcioleciu lat wieku XVIII. Kształcił się w Akademii Wileńskiej, podobno na fakultecie prawnym. Sądząc ze wzmianek mojego ojca, dziad był na Akademii w epoce Adama Mickiewicza. Myślę jednak, że dziad Klemens znacznie wcześniej ukończył swoje studia, gdyż podczas końcowego, w r. 1819, pobytu Mickiewicza w Akademii Wileńskiej dziad mój już był żonaty i gospodarował na wsi. Wieś nazywała się Luka Barska, była w ówczesnej podolskiej gubernii, niedaleko od miasta Baru. [...] Czy wieś Luka Barska była w dzierżawie u dziada, czy w jakiej bądź innej zależności od niego, o tym ojciec wiadomości mi nie zostawił. Zda się jednak, że była ona własnością hr. Branickich. Że dziad Klemens miał też swoją, chociaż niewielką, ziemską posiadłość razem z poddaniymi włościanami — sądząc z opowiadania ojca o pewnym epizodzie. Dziad upodobał sobie rasową klacz u sąsiada obywatela, zaś ten upodobał ładną dziewczkę, poddankę dziada. Oba sąsiedzi łatwo przyszli do porozumienia i wymieniali jeden drugiemu klacz na dziewczynę.

Zda się, że wszystkie dzieci dziada Klemensa urodziły się we wsi Luce Barackiej. Przynajmniej mój ojciec spędził lata dzieciństwa i pierwszą młodość w tej wsi. [...]

Mój ojciec, jak też jego bracia a moi stryjowie, otrzymali tylko domowe wykształcenie, co nie przeszkodziło im w życiu wyjść na porządnych ludzi i nawet wybić się ponad miarę, zawdzięczając osobistym przymiotom i zdolnościom.

W latach 1846—48 podczas groźnej cholery, jaka srożyła się wówczas na

Podolu, dziadek Klemens i babka Róża, udzielając pomocy lekarskiej swoim wieśniakom, zarazili się i oboje jednocześnie umarli na cholere. Pozostało liczne potomstwo, siedmiu synów i trzy córki, które rozpięzchło się w różne strony kraju. [...]

Mój ojciec, trzech linion: Antoni-Aleksander-Nikodem, urodził się we wsi Luce Barskiej dnia 5 czerwca r. 1829. Już w młodym wieku, mając zaledwie 17—18 lat, musiał po śmierci rodziców myśleć o przyszłym swoim losie. Takżę udział spotkał młodszego brata ojca — mego stryja Piotra. Wtedy właśnie, podczas panowania cesarza Mikołaja I, wyszło rozporządzenie nakazujące synom obywatelskim, nie posiadającym majątku ziemskiego, odstępować pewną ilość lat w urzędach państwowych albo w samorządach miejskich. To właśnie wyklarowało przyszłą karierę mego ojca oraz pobudziło stryja Piotra [...] udać się do jednego z bliższych miast powiatowych szukać odpowiedniego stanowiska.

Bliższym i najbardziej obiecującym dla młodzieży było w owe czasy dość duże powiatowe miasto Berdyczów. Miasto przemysłowe i handlowe było otoczone obywatelstwem polskim. Takie na przykład rody, jak panów Mazarakich, Tyszkiewiczów, Radziwiłłów, Sokołowskich i in., miały swe rozległe posiadłości w powiecie berdyczowskim. Cały Berdyczów należał do hrabiów Tyszkiewiczów i po części do książąt Radziwiłłów. Ostatni posiadali w Berdyczowie swój pałac przy ulicy Białopolskiej, w którym nieraz zbierała się młodzież polska, szczególnie podczas odpustów kościelnych i słynnych jarmarków. W salonych pałacach ochoczo bawiono się. Tu nieraz moja matka, będąc jeszcze panną, tańczyła i wesoło czas spędzała. Tu poznał też matkę mój ojciec.

Berdyczów w owe czasy służył magnesem dla polskiego społeczeństwa jeszcze i z innego powodu. W Berdyczowie był kościół i klasztor karmelitów, ufundowany w r. 1634 przez Andrzeja Szoldrskiego, biskupa kijowskiego. Po przejściu Berdyczowa w posiadanie rodu hrabiów Tyszkiewiczów kościół karmelitański był bogato wyposażony przez Tyszkiewiczów. Ozdobą kościoła był cudowny obraz Matki Boskiej, słynny na całą Polskę. Obraz po nabożeństwie zakrywano ślicznym obrazem Matki Boskiej Niepokalanej Poczęcia, pędzla głośnego hiszpańskiego malarza Murillo. Na chórze, posiadającym potężne organy, podczas nabożeństwa grała orkiestra, stale utrzymywana z kapitału ofiarowanego przez hr. Tyszkiewiczów oraz ze składek obywatelskich. Kościół, cały upiękaszony freskami z życia świętych, ozdobiony bogatymi wotami, czynił przy wejściu do niego, szczególnie przy dźwiękach orkiestry, wspaniałe wrażenie. Klasztor przyciągał rzeszę pielgrzymów i wywierał ogromny wpływ patriotyczny na liczną parafię i na cały świątek polsko-katolicki, o dużym promieniu działania.

Berdyczów prócz tego słynął z głośnych jarmarków, na które zjeżdżało się liczne obywatelstwo polskie i liczni przemysłowcy, i kupcy. Najbardziej

głośnym był jarmark onufryjski, przypadający w czerwcu na św. Onufrego. Podczas tych jarmarków dokonywano licznych transakcji majątkowych i handlowych. Pieniądże przelewały się z rąk do rąk. Berdyczów się wzbogacał. W teatrze miejskim dawał przedstawienia wybitni aktorzy, przyjeździ z Warszawy. Balom i zabawom nie było końca. Młodzież polska szumnie się wesoła. Berdyczów stał się przysłowiowym wśród obywatelstwa polskiego. Ułożono nawet piosenkę, która zaczynała się słowami:

*Wiwat Bałta, Jarmolińce  
I Berdyczów sławny gród!  
Tam to nasi Ukraińcy  
Popisują się jak zuch.*

Te warunki, które podnosiły Berdyczów ponad inne miasta powiatowe Ukrainy, pobudziły młodych paniczów — mego ojca i stryja Piotra — udać się do Berdyczowa i obrać go sobie za siedzisko przy zdobyciu stanowiska w życiu. Oba bracia zapisali się do tutejszego magistratu, lecz kształcił się praktycznie w miejscowej palestrze, co później (po powstaniu 1863 r.) bardzo się przydało memu ojcu jako obznajmionemu z prawem. Stryż zaś Piotr po kilku latach takiej pracy przerzucił się na rolę i gospodarował [...] w dzierżawionych majątkach. [...]

Ojciec mój, urodzony na Podolu, lubił pola rozległe, lubił obszar stepów, miał w sobie coś z charakteru zawadiaków-Ukraińców, był zuchowaty, a czasami nawet gwałtowny. Cieszył się ogólną opinią człowieka zdolnego i sumiennego. Ponadto był szczerym patriotą polskim. [...]

Ojciec nabył dość duży plac w Berdyczowie przy ulicy Machnowieckiej i wybudował na nim, według planu architekta Rózyckiego, dwa spore domy parterowe. [...] Niedługo po ukończeniu domów były zbudowane stajnie, wozownia, obora dla krów, piwnica i ustęp podwórzowy. Następnie ojciec zaprowadził na odgrodzonym kawałku placu ogród owocowy i warzywny, wreszcie wykopał sadzawkę dla ryb, w której rozprowadził karpie, liny, karasie. Dodać muszę, że chociaż nie wazył wygody pod bokiem, ojciec kazał wykopać studnię na placu. Ale woda okazała się niedobra i studnię trzeba było zasypać. Po wodę jeździł furman z beczką pod Łysą Górę, gdzie nabierał wyborną wodę fródlaną z krynicy należącej do mieszczanina Strzeleckiego. Po wodę chodziła nieraz i służąca. [...]

Wreszcie nastąpił pamiętny rok 1863. W społeczeństwie polskim wszystko zmieniło. I w naszym domu wiele się zmieniło. Ustały śpiewy wesole, ustały wycieczki poza miasto. Coś się wazyło, coś się w akrytości robiło. My, dzieci, z zafascynowaniem oblicza rodziców, z ich półśmieszek domyślaliśmy się, że coś się święci, że się zbiera na coś groźnego. Miałem wtedy pięć lat. [...]

Wieczorami matka zaprzęgała dzieci do robienia ze starej bielizny szarpi dla rannych powstańców. Poczuła matka-Ukraińska też szarpie skubała, wiedząc dobrze co się święci naokoło. Ojciec czynnego udziału w pow-

staniu nie brał, gdyż nie wierzyl w powodzenie, ale pomagał, czym mógł, powstańcom, a więc dawał pieniądze, robił zapasy żywności, które różnymi sekretnymi drogami wysyłał do oddziałów powstańczych. [...] Ojciec opowiadał matce, a myśmy pilnie słuchali, o następującym epizodzie, który się zakończył komiczną sceną. Ojciec i przyjaciel ojca, niejaki Józef Gośliński, zakupili długi sznur kilkudziesięciu kielbasek ukraińskich i cały wórebulek. Wszystko to odnieśli do lasu na Lysej Górze, gdzie ich miała oczekiwać grupa powstańców. Jednak w umówionym miejscu nikogo nie zastali prócz jednego z tej grupy, niejakiego Guca Stanikowskiego. Był to ogromny i silny dragal, który podjął się odszukać w lesie resztę powstańców, oddać im prowizję, powrócić do miasta i zdać sprawozdanie oju i Goślińskiemu ze swojej misji. Działo się to w rannych godzinach. Minął jednak dzień cały, a Stanikowski nie wracał. Zaniepokojeni tym, ojciec i Gośliński udali się w głąb tegoż lasu i nagle na jednej z polan ujrżeli zmęczonego Stanikowskiego, który szedł wolno, cały omotany sznurem kielbas, z workiem bułek na plecach. Ale szedł rde przynajmniej, gdyż jeden koniec tego sznura zajął, przygryzając bułką. Ucieszył się, zobaczywszy obu naszych panów, ale że był zmęczony, więc prosił ich pomóc mu dźwigać ciężar kielbas i bułek. Panowie nie kazali się długo prosić, gdyż sami byli wygłodzeni, więc zaczęła się wspólna uczta wieczorna. To był powód, że ojciec wrócił do domu późno w nocy. [...] Potem dowiedzieliśmy się, że wzmiankowaną grupę powstańców spotkał los bardzo smutny: wszyscy prawie dostali się w okrutne łapy chłopów, część zaś w walce zginęła i tylko dwóch czy trzech zdołało uciec.

Powstanie, jak wiadomo, przyjęło bardzo niepomysłyny obrót dla nas, Polaków. Z uwłaszczeniem chłopów i zniesieniem pańszczyzny zaczął się bardzo ciężki okres dla obywateli ziemskich — Polaków, szczególnie na Ukrainie, gdzie chłopstwo wprost zaczęło się nad swymi panami. W miastach zaś wszyscy urzędnicy polscy zostali usunięci ze służby i wyrzuceni wprost na bruk, wielu bez środków do życia. Palestra, która składała się prawie wyłącznie z Polaków, poszła w rozsypek. Wszelkie sprawy majątkowe oraz przemysłowo-handlowe upadły. Wiele osób dostatkich stanęło nad progiem ruiny. [...] Los, jaki spotkał Polaków po powstaniu, dotknął też moich rodziców, oszczędności zaczęły się wyczerpywać i dobrobyt szybko kurczył. [...]

Dwór rosyjski, chociaż nie mieszal się do wojny [francusko-pruskiej w 1871 roku], ale sprzyjał Francuzom. Po wojnie Rosja otworila szeroko swoją granicę francuskim technikom i przemysłowcom. Całe rzesze Francuzów powędrowały do Rosji. Szczególniej wzmożla się ta imigracja w okresie szeroko zakrojonego budownictwa kolei w Rosji. W owym czasie rząd wydał koncesję towarzystwu przemysłowców francuskich, z kapitalistą Filloim na czele, na budowę części południowo-zachodnich kolei. Zaczęto budować gałęz tych kolei: Berdyczów — Kijów poprzez wieś Koziatyn (wieś należała do obywateli polskich Wasiutyńskich, potem ta wieś, będąca przy stacji węzłowej, urosła w spore miasteczko i stała się jednym z najbardziej ważnych punktów skrzyżowania kilku gałęzi kolejowych) i powiatowe miasto Chwastów. Do Berdyczowa zjechało się dużo inżynierów i wszelkich fachowców z Francji. Większy z naszych domów wynajął francuski inżynier Guiton pod warsztat stolarski, gdzie wyrabiano meble dębowe dla wzmiankowanej linii kolejowej. Parę pokoi w mniejszym domu rodziców wynajął inżynier-mechanik Ragneau, który zamieszkał tu z żoną — Alzatką i dwoma ślicznymi córeczkami. [...]

Francuzi przemieszkali u nas rok z górą. Po zaopatrzeniu dworców kolejowych w meble i depa parowozowych w odnośne mechanizmy Francuzi zaczęli opuszczać Berdyczów. Wynieśli się też z naszych domów panowie Guiton i Ragneau.

Rozpoczętą przez Francuzów budowę kolei kontynuowali inżynierowie rosyjscy. Gdy potem rodzice przenieśli się do swego większego domu, w mniejszym zamieszkał inżynier Dąbrowski, który służył przy budowie odcinka kolei. Miał konie i powóz, którymi codzień rano jeździł na budowę kolei. Linie Berdyczów — Kijów przedłużali i rozkrzewiali w dwóch kierunkach — jedną gałąź prowadzili do Odessy i

drugą do Brzeźcia (Litewskiego). Kierownikiem tych robót był inż. Łapunow.

Ojciec nieraz woził mnie i brata Wiktorka na budowę dworca, nasypow pod kolej i mostu żelaznego przez rzeczkę Gnilopiatkę w pobliżu Berdyczowa. Wszystko to, w połączeniu z widomym dobrobytem inżynierów, których poznaliśmy w owym czasie, działało imponująco na nas, chłopców, zaś rodziców utwierdzało w myśli ukierunkowania nas na inżynierów. Kończył się wiek złoty naszego dzieciństwa i lobuzerstwa. Miałem wtedy lat 14, a Wiktor — 13.

W owym czasie, a było to w roku 1872, zostało ogłoszone prawo konskrypcji, wydane przez cesarza Aleksandra II, czyli prawo powszechnej służby wojskowej bez ograniczenia stanów, według którego wszyscy poddani rosyjscy płci męskiej musieli od 21 roku życia odslużować w wojsku co najmniej 6 lat. Tylko tym, którzy ukończyli szkoły w państwie rosyjskim, prawo dawało dość znaczne ulgi, mianowicie młodzi ludzie ze średnim wykształceniem mieli odslużować, zamiast 6-ciu, tylko 2 lata, zaś ludzie z wyższym wykształceniem mieli służyć tylko 1,5 roku. Konskrypcja nie dawała w Rosji żadnych praw ludziom, którzy ukończyli szkoły za granicą, gdyż musieli po powrocie do Rosji odslużować na równi z prostymi żołnierzami.

Powyższe warunki, ustalone przez prawo, zmusiły rodziców zaniechać wszelką myśl kształcenia nas za granicą, a natomiast wywołały potrzebę nauczania nas w rosyjskim języku, którego do tej pory prawie zupełnie nie znaliśmy. Ze służbą w naszym domu rozmawiano po polsku albo po ukraińsku. Ojciec, urodzony na Podolu, lubił ten język, dobrze nim władał, i nieraz pieśni ukraińskie razem z matką śpiewał, ale język rosyjski zupełnie nie był w naszej rodzinie w użyciu, więc go nie znaliśmy. [...]

Ojciec [...] udał się na początku okresu wakacyjnego w roku 1874 do miasta Białej Cerkwi i tu wynajął na czas wakacyjny zdolnego studenta instytutu komunikacji, Jana Majewskiego, z wynagrodzeniem 150 rubli za jego pracę z nami. Uczyliśmy się całymi dniami. Byliśmy wprost przemęczeni nauką. W dodatku, wskutek wilgotnego lata, dostaliśmy febrę, która nas porządnie wymęczyła. Mała była nadzieja, abymy mogli postąpić do szkoły, ale wypaadek nam dopomógł.

Na początku wakacji uczniowie realnej szkoły w Białej Cerkwi, przeważnie uczniowie z III, IV i V klasy, z łobuzerskich pobudek zdążyli szyść z żydowskiego szynku i zawiesili go nad drzwiami prawosławnego soboru. Powstała okropna awantura. Władze szkolne razem z policją przeprowadziły skrupulatne dochodzenie, w następstwie którego zostało zwolnionych z górą stu uczniów. Powstało w szkole wiele wakansów. Gdy ojciec o tym się dowiedział, natychmiast pojechał do Białej Cerkwi, aby zasięgnąć bliższych informacji. Wtedy właśnie z porady inspektora umówił wzmiankowanego korepetytora — Majewskiego. Po wakacjach pojechaliśmy z ojcem i Majewskim do Białej Cerkwi. Naznaczone dla nowo postępujących egzaminy do IV klasy składałyśmy fatalnie, z samymi trójkami i nawet dwójkami, gdyż wiedza nasza była bardziej niż skromna. Ale, zawdzięczając interwencji księdza Lublińskiego, wpływowego nauczyciela w szkole, zostaliśmy przyjęci do IV klasy. Była to szkoła realna, niedawno przerobiona na taką z gimnazjum klasycznego. [...]

Szkoła była subsydiowana przez hrabiów Branickich, do których wtedy Biała Cerkiew należała. Szkoła była wyposażona w bogatą bibliotekę, w pięknie urządzone gabinet fizyczny, w obszerne laboratorium chemiczne i w zespół różnych mechanizmów. Wskutek wpływów hr. Branickich, Polakom na wstęp do szkoły wstępów nie robiono. [...]

Po egzaminach ojciec ulokował nas w mieszkaniu niejakich państwa Potoczkich, byłych zamożnych obywateli, którym podczas powstania 1863 r. skonfiskowano majątek, a ich zesłano na Sybir. Po powrocie do kraju, będąc bez środków do życia, założyli internat, gdzie mieszkali z dziesięciu uczniów. [...] U Potoczkich mieszkaliśmy też ich kuzynka, panna Morgulówna. Uczyla nas grać na fortepianie i przerabiała z uczniami gramatykę polską. Państwo Potoccy pobierali za każdego z nas kwotę na roczne utrzymanie po 250 rubli.

# Bez charakteryzacji

## Rozmowa z Włodzimierzem Wiszniewskim aktorem Teatru im. J. Osterwy w Lublinie

— W „Weselu”, wystawionym ostatnio (w reżyserii Ignacego Gogolewskiego) w związku z obchodami 40-lecia Teatru im. Osterwy, grał jedną z czołowych ról — Czepca. Przedstawienie to szczególne. Nawiązuje do tamtego historycznego spektaklu z końca listopada 1944 r., do „Wesela” wystawionego na lubelskiej scenie przez Teatr Wojska Polskiego, a wyreżyserowanego przez Jacka Woszczerowicza, 29 listopada 1944 r. o godzinie 14.30 kurtyna poszła w górę, i ów moment służył za początek historii teatru w odrodzonej Polsce.

— Dlatego ostatnia premiera odbyła się także 29 listopada i też, punktualnie, o 14.30. Nawiasem mówiąc, przedstawienie Gogolewskiego to już trzecia realizacja „Wesela” w czasie istnienia naszego teatru. Poprzednia miała miejsce dwadzieścia lat temu, reżyserowała Zofia Modrzewska, a ja... ja wówczas także grałem Czepca. Jaka szkoda, że Zofii Modrzewskiej zabrakło na premierze, że już nigdy jej nie zobaczymy. Była nie tylko znakomitą reżyserką związaną przez wiele lat z lubelskim teatrem, była również świetnym pedagogiem; my wszyscy, którzy przeszliśmy przez „szkołę” pani Zosi, zawdzięczamy jej tak wiele...

A wracając do roli, muszę powiedzieć, że jest to mój „trzeci” Czepiec. Przed dwunastu laty grałem tę rolę gościnnie w szczecińskim przedstawieniu Witolda Grudy. Zapamiętałem tamto „Wesele” szczególnie dobrze, bo stało się ono swoistym objawieniem na festiwalu teatralnym w Toruniu, zdobyło kilkanaście nagród.

— Twoja kariera sceniczna zaczęła się jednak tutaj, na deskach teatru lubelskiego, w 1957 r.

— Właśnie. Trafiłem do Lublina jako świeżo upieczony absolwent szkoły teatralnej. A dzisiaj jestem, ku swemu przerażeniu, najstarszym — jeżeli chodzi o nieprzerwany staż — aktorem Teatru im. Osterwy. Dwadzieścia siedem lat! Ty wiesz, jaki to kawał czasu!

— Właściwie pierwsze aktorskie kroki stawiałeś nie w teatrze, tylko na planie filmowym: w ekranizacji „Zemsty” Aleksandra Fredry, w reżyserii Antoniego Bohdziewicz i profesora Korzeniewskiego...

— Ty to pamiętasz? Oczywiście, grałem tam „wielką” rolę — jednego z hajduków cześnika Raptusiewicza... Cześnika grał Jan Kurkaczowicz, Papińska — Kondrat, a rejent Młeczka — Jacek Woszczerowicz. To była wspomniana szkoła aktorstwa dla nas, młodych, okazja podpatrywania mistrzów polskiej sceny na planie filmowym. W tymże filmie debiutowała rola Klary młodzianka, chyba piętnastoletnia, Beata Tyszkiewicz. Miała być „nową twarzą” w polskim kinie, i to się sprawdziło. Do dzisiaj Beata jest chyba największą, najwspanialszą kobietą osobowością polskiego ekranu... A ja byłem wówczas studentem Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej — tak się wówczas nazywała ta uczelnia — w Łodzi.

— Skąd ty, rodowity łodzianin, wziąłeś się w Lublinie? Przecież „u siebie” miałeś o wiele więcej możliwości uzyskania dobrego angażu. W Łodzi też była wybitna filmowa oraz duża rozgłośnia radiowa. No i w środowisku studenckim byłeś znany... Właśnie latem 1957 r., kiedy poznałem się w Międzyzdrojach, sprawowałeś funkcję starosty międzynarodowego obozu studenckiego. Dom studencki „Mewa”, bal galaniarzy, a ty na jego czele, w jakimi nieprawdopodobnym kostiumie!

— Ha, ha, ha! „Mewa”! Bal galaniarzy! Mój Boże, jak to dawno! Tak, ty przyjechałeś z kabaretem „Sex” z Lublina na „gościnne występy”. I ja nie dalem wam umrzeć z głodu, załatwiłem „Jowę” stajadę w studenckiej stołówce...

Ale jak i dlaczego znalazłem się wkrótce potem, jesienią 1957 r., w Lublinie? Przez kobietę, oczywiście. A było to tak: dwa lata wcześniej kiedy byłem jeszcze w połowie studiów, w Warszawie zorganizowano słynny Międzynarodowy Festiwal Młodzi, Były wakacje, pracowałem w biurze festiwalowym. W ostatnim dniu Festiwalu odbywał się wielki bal na Starym Mieście, pod gołym niebem. Czę-

myślałem o kontynuowaniu „tradycji rodzinnej”. W naszych zainteresowaniach sztuką, a nie prawem, różnił nas tylko o tyle, że ja wybrałem teatr, zaś on — film.

— Miałeś już „od najmłodszych lat” — jak się zwykło pisać w podaniach o przyjęciu na studia — zainteresowania teatralne?

— A skąd! Nawet nigdy nie byłem w żadnym kółku recytatorskim



Włodzimierz Wiszniewski jako Falstaff w „Wesołych kumoszkiach z Windsoru” Szekspira.

Fot. Z. Zugał

ste ów właśnie bal pokazuje się w przeglądach starych kronik filmowych z okresu esterdyestolecia. I ja na tym balu poprosiłem do tańca dziewczynę. Tak poznałem swoją przyszłą żonę.

Dziewczyna była studentką stomatologii na Akademii Medycznej w Warszawie. Kończyła już studia i wybierała się do pierwszej pracy właśnie do Lublina. Aha, bo jeszcze zapomniałem ci powiedzieć, że ja byłem trochę „opóźniony” w studiach. Po maturze, jako dyplomowany technik ogrodnik, pracowałem „z nakazu pracy”. Jak to się wówczas określało, przez rok na stanowisku instruktora ogrodnictwa w Przędzium Powiatowej Rady Narodowej w Łodzi. Projektowałem sady. No więc przyjechałem do Lublina w ślad za żoną z myślą o roku naukowej pracy w lubelskim teatrze. A potem 13-koł z roku zrobiło się dwadzieścia siedem lat!

— Skąd u ciebie, u licha, pasja do teatru? Cała twoja rodzina to przecież prawnicy.

— No właśnie. Sam się zastanawiam. Ojciec, wuj, ciotka byli prawnikami. Ojciec, sędzia, sprawował jeszcze przed wojną funkcję przewodniczącego Oddziału Karnego w Sądzie Grodzkim w Łodzi... Wiesz, może „artystyczne ciągoty” odziedziczyłem po stryju, Ludwiku Wiszniewskim, znanym w okresie międzywojennym autorem książek dla młodzieży? Mój młodszy brat, zmarły niedawno, wybitnie utalentowany reżyser filmowy Wojciech Wiszniewski, także miał przez głowę nie

czy tak zwany zespół żywego słowa. Natomiast w czasach szkolnych przez kilka lat tańczyłem w Zespole Pieśń i Tańca przy Wojewódzkim Domu Kultury w Łodzi. Dlatego jeszcze dzisiaj, jak trzeba na scenie wyciąć mazurek, przychodzi mi to może łatwiej, mimo mojej tuszy, niż niektórym innym kolegom. Ale jak siedziem na egzaminie do szkoły teatralnej, postanowiłem na wszelki wypadek nie przynajmniej się nawet do zespołu tanecznego. A nuż zaszkodzi? Wtedy była moda na przyjmowanie do Szkoły Teatralnej ludzi całkiem „surowych”, takich Janków Muzykantów, „samorodnych talentów”. Bardzo się komisji egzaminacyjnej podobało, że jestem technikiem ogrodnikiem. „To może pan powie fragment z „Pana Tadeusza”, ten o Zosi, ogrodzie warzywnym i grządkach?” — zaproponował któryś z profesorów. Myślałem, że sobie ze mnie kpiny robią, a oni mówili poważnie. No i egzamin zdałem bez zastężeń.

— Twój debiut sceniczny to rola w „Weselu Feniksa” Lope de Veli.

Dokończenie na str. 16

— Tak. Reżyserował Jerzy Goliński, artysta o ustalonej już wtedy, wysokiej opinii, przed którym ja, najmłodszy w zespole aktor, (nawiasem mówiąc, jedyny młody aktor zaangażowany w sezonie 1957/58 do lubelskiego teatru) czulem niezwykle respekt. W „Wesółce Feniksany” dano mi rolę Don Feliksa. AMANTA!!! — wyobrażasz to sobie?! Reżyserowali mnie wszyscy koledzy, a Goliński rwał włosy z głowy i krzychał: „Co za szkolne, sztubackie akcenty w tej grze!!!” Więc byłem zrozpaczony, chodząc i bezustannie „gralem”, do wszystkich i wszystkiego: do kolegów, do ściany, do kotary na scenie...

— Pamiętam, pamiętam. Nie dawałeś nikomu chwili wytchnienia. To twoje ciagle: „Bardzo się cieszę, mój drogi hidalgo, że wreszcie do mnie przybyłeś...”

— Nie, nie! To z czego innego. Tamto szło tak: „Moje przyjazne uczucia, drogi Lucindo...” I tak dalej, i tak dalej. Ale co tam Goliński! Pani Zosia Modrzewska, ta potrafiła dawać młodym aktorom szkołę! „Synul — krzychała do mnie na próbach — KTO ci dał dyplom?! Nic nie umiesz NIC NIE UMIE!!!”. I rzuciła się na mnie, i miała mną po scenie jak... orzeszkiem. Mną, takim wysokim, potężnym chłopem, ona — taka drobna, szczupła, delikatna starsza pani!

— No, no, nie bądź taki skromny! Dość szybko zacząłeś dostawać duże, odpowiedzialne role. A co pisało o tobie Falstaffie w szekspirowskich „Wesołych kumoszkiach z Windsoru”? Maria Bechazy-Rudnicka w recenzji na łamach „Teatru”? Powoływała się na określenie tej postaci przez Alfreda Mezières: „Falstaff posiada same wady, lecz za to zawsze dołcipny, wywołuje ogólny śmiech bądź kosztowne upatrzonej ofiar, bądź kosztowne własnym. Jedyną jego zaletą jest naturalna wesołość, która go nigdy nie opuszcza, dodając jego mowia pikanterii. Dostępuje on w lot zabawną stronę każdej sytuacji, rozbraja komizm, nawet gdy płata ludziom psie figle”. I dodawała następnie, już od siebie: „Właśnie takiego Falstaffa potrafił odgrywać aktor Teatru im. Ostrowskiego, Włodzimierz Wiszniewski. Mimo okazałej, w sam raz dla Sir Johna, tuzi, lekkiej, fruującej niemal jak tancerz po podestach, po schodach, wesoły spontanicznie, żywiołowo. Sądzi, że pobity obecnie na głowę wszystkich potencjalnych Falstaffów w teatrach polskich. Warto pokazać go w TV. (W tym momencie przylapuje się na domyśle, że może właśnie niedobór Falstaffa stanowi o rzadkości inscenizacji „Wesołych kumoszek z Windsoru”).

— To było już szereg lat później, kiedy zdobyłem jakiegoś tam doświadczenie aktorów, jakiś „warsztat”. Ale masz rację, dość szybko zacząłem mnie dostrzegać. Na początku 1958 r. zagrałem rolę kamerdynera w „Jutrzydzie i miłości” Schillera w reżyserii Marii Wiercińskiej, i chyba właściwie od tej roli zaczyna się moja kariera sceniczna. Starsi koledzy oczekili wtedy: „Chłopak wprawdzie jeszcze nie umie, ale ma wewnątrz”.

— Twoja pierwsza „duża” rola?

— Mistrz Blazjusz w „Nie igra się z miłością” Musseta, w reżyserii Zofii Modrzewskiej. I potem już poszło... A w ogóle to, choć początkowo była wobec mnie bezwzględna, z czasem stałem się ulubieńcem pani Zosi.

— Dwadzieścia siedem lat, prawie bez „pauzowania”. Ile ról zagrałeś w tym okresie?

— Czekał... Łączny, że przez 27 lat po jakichś 5 ról w sezonie, no, może nie zawsze pięć. To byłoby grubo ponad 100 ról. Popatrz! Już powyżej setki! Dopiero w tej chwili sobie uświadomiłem.

— Zaczynałeś jako amant. Ale potem ustaliłeś swoje emploi jako aktor charakterystyczny, grając w dramacie, w komedii i w farsie. Występujesz także w przedstawieniach kabaretowych. Przyznaj się, jakie role najbardziej ci „leżą”?

— Te, które — he, he! — dobrze gram...

— Falstaff w „Wesołych kumoszkiach z Windsoru”, Tobiasz Czekawka w „Wieczorze Trzech Króli”, Cześćnik w „Zemście”, Wojewoda w „Horsztyńskim”, Edek w „Tangu”, Czepiec w „Weselu”... Jesteś bardzo często obsadzany w rolach komediowych, lecz równie chętnie sięgasz do ról par excellence dramatycznych. Jesteś aktorem nie tylko utalentowanym, ale też aktorem wszechstronnym. I bardzo pracowitym. Grasz duże role, wymagające ogromnego wysiłku, nie tylko artystycznego, także — fizycznego. No i opanowywanie olbrzymich partii tekstu.

— Tego najbardziej nie lubię: ucze-

nia się roli. Chociaż tekst zapamiętuje szybko.

— Grając Jana Chryzostoma Paska w „Pamiętnikach Pana Paska”, musiałeś się nauczyć na pamięć 110 stron tekstu, a przez cały czas przedstawienia prawie nie schodziłeś ze sceny. Taka praca to ciężka harówka.

— Wiesz, tego wszystkiego, o czym mówisz, na scenie właściwie się nie czuje. Dopiero potem, w domu. Na scenie czas płynie zupełnie inaczej, bardzo szybko. Więcej się męczą ci, którzy siedzą w garderobie, czekając na swoje kolejne „wejścia”. No, ale istotnie, organizm — na scenie czy poza sceną — musi w końcu, przy takiej pracy, przypomnieć o swoim istnieniu. I ja też miałem trochę zawodowego „przeostaju” w związku z dolegliwościami sercowymi. Ale kto nosi na sobie 115 kilogramów wagi, ten musi cierpieć. Za tak zwane „warunki sceniczne” niestety się płaci: często — zdrowiem.

— Zaczynałeś, jak już mówiliśmy, na planie filmowym, poświęciłeś się teatrowi. Ale z filmem przecież nie zerwałeś.

— A nie! Ciagle mam jakieś propozycje. Ostatnio grałem Churchilla w „Katastrofie w Gibraltarze” Bohdana Poręby; występowałem i występuję w wielu telewizyjnych serialach, niedawno widzowie oglądali mnie w „Popielcu” Bera, w odcinku zatytułowanym „Herody”; u Konica gram jedną z postaci w serialu „Rok 1941”. Nie można narzekać.

— Od lat działasz społecznie...

— Już po raz trzeci wybrano mnie na radnego miejskiego. W tej kadencji pełnię funkcję wiceprzewodniczącego Komisji Kultury.

— Stan rodzinny?

— Zona Elżbieta, dwóch synów: Tomasz — urodzony w 1958 r. i Marek — w 1961. Tomasz kończy w tym roku studia reżyserskie w szkole filmowej w Łodzi. Marek będzie próbował dostać się na stomatologię.

— Czyli synowie podzielili zainteresowania zawodowe obojga rodziców... Twoje hobby?

— Wędkarstwo, motoryzacja, turystyka. Jak bym miał czas i pieniądze, zwiedzałbym świat.

— Najzabawniejszy incydent, jaki ci się przydarzył w czasie pracy w teatrze?

— Ten, który miał miejsce podczas wyjazdowego przedstawienia „Króla i aktora” Brandstaettera w Parzewie, już zresztą szereg lat temu. Była zima, mroź, drogi zawiało śniegiem. Autokar teatralny w końcu przebił się przez zasy, ale dotarliśmy na miejsce z czterogodzinnym opóźnieniem. Mimo to publiczność czekała. Zaczęliśmy przedstawienie. Atmosfera na widowni była bardzo ciepła, coraz bardziej gorąca. Także bez przenośni: kaloryfery grały coraz mocniej. Miałem bardzo długą scenę z Andrzejem Chmielarczykiem. Tylko my dwaj. Ale nagle pojawił się ktoś trzeci: nieznamy osobnik w całkiem współczesnym „kostiumie”, w ubraniu roboczym. Dszedł do połowy sceny, uklonił się nam z szacunkiem, po czym zniknął za kulisami. Po kilku minutach pojawił się po raz drugi, potem po raz trzeci i czwarty. Publiczność nie reagowała, my z Chmielarczykiem — też udawaliśmy, że go nie dostrzegamy. Po przedstawieniu, zdenerwowani, pytamy miejscowych organizatorów: „Panowie, kto to był, ten w kufajce?”. „Aaa, to nasz człowiek, palacz z kotłowni. Koks dośpiał do pieca, żeby było ciepło”. „Ale dlaczego przez scenę przechodził?” „A bo tamtędy było mu najbliżej”.

— Nadchodzi Boże Narodzenie. Czego życzyś widzom na święta i na Nowy Rok 1985?

— Widzom, teatralnym życzę ciepła. Płynącego nie tylko ze sceny, ale i z kaloryferów. Ludziom młodym życzę spokoju i cierpliwości.

— A sobie czego życzyś?

— Przede wszystkim — zdrowia. Bo od tego się wszystko zaczyna i na tym się kończy.

Rozmawiał:  
Miroslaw Derecki

**Z**ABIEG, którego dokonano w połowie sierpnia br., polegał na wszczęciu elektrod po to, żeby u zupełnie głuchej kobiety wywołać wrażenia słuchowe. Był pierwszą, jak wskazywano, tego rodzaju operacją na świecie. Stanowi wyśmienitą ilustrację chirurgii implantacyjnej. 21-letniej absolwentce Oksfordu, Jessie Rees, wszczepiono pięć platynowych elektrod do ucha wewnętrznego. Elektrody podłączone do skrzynki połączeniowej umieszczonej w karku. A z kolei ją — do maleńkich odbiorników układowych pod skórą. Źródło zasilania znajduje się na zewnątrz. Są nim baterie. Lekarze londyńskiego szpitala Whitechapel, gdzie dokonano zabiegu, zamierzają prowadzić doświadczenia z wywoływaniem dźwięków, korzystając z częstotliwości radiowych, które Rees będzie mogła w ostatecznym rachunku „przełożyć” — po tym, gdy je „usłyszy” — na słowa. Elektrody w uchu Rees to najświeższe z przeróżnych implantacji, które noszą pomoc wielu tysiącom pacjentów na całym świecie — pomoc wykraczającą poza sferę chirurgii konwencjonalnej. Implantacje ratują i przedłużają życie. Czynią je lepszym i pełniejszym.

Prawdopodobnie najbardziej znane są implantacje rozruszników serca, które regulują jego bicie. Rozruszniki wymyślono w latach pięćdziesiątych w celu przeciwdziałania bradykardii, tj. zwolnieniu czynności serca. Pierwsze modele były tak duże, że aparat, do której podłączony był pacjent, trzeba było przesuwać na kółkach wokół stołu, gdzie leżał. Ale w latach sześćdziesiątych nowe, rtęciowo-cynkowe baterie i miniaturyzacja obwodów elektrycznych umożliwiły ogromne udoskonalenie rozruszników. Później przyszyły baterie litowo-jodowe, o okresie trwałości od 3 do 19 lat; baterie izotopowe o okresie trwałości do 30 lat; rozruszniki, które dają się wielokrotnie zaprogramować, co oznacza, że przestrojenie nie wymaga już ich operacyjnego wyjęcia.

Rozrusznik składa się z generatora impulsów i jednego lub więcej przewodów elektrodowych. Generator mieści się w szczelnym metalowym pojemniku. Wszystko razem waży od 65 do 130 gramów i jest wielkości pudełka zapalek. Każdy impuls elektryczny wysyłany z generatora pobudza serce do skurczu i bicia. Na całym świecie dokonano już implantacji setek tysięcy rozruszników.

W opublikowanym w lipcu br. sprawozdaniu pt. „Najnowszy sprzęt medyczny” firma Euromonitor, która zajmuje się badaniami rynku, podała, że w Wielkiej Brytanii popyt na rozruszniki serca jest stosunkowo nieduży. W sprawozdaniu czytamy: „Są oznaki, że lekarze w szpitalach w Wielkiej Brytanii z mniejszą niż w innych krajach, skwapliwością zalecają implantację rozrusznika”. Być może, głównymi przyczynami są: ponoszony przez ubezpieczalnie koszt — 2000 funtów szterlingów za rozrusznik i tendencja do stosowania raczej leków bądź zabiegów innych niż implantacja. Rocznie na rynek brytyjski trafia 7000 rozruszników z 300 000, które sprzedaje się w skali światowej.

Przed 20 laty technika medyczna stanęła wobec gigantycznego wyzwania i podołała mu. Owym wyzwaniem było: jak wykonać i wszczepić zastawkę serca, która bezbłędnie otwierałaby się i zamykała 40 mln razy w ciągu roku? Dzieląc tego rodzaju zabieg chirurgiczny jest niemal czymś zwykłym. Jednak istnieje ryzyko. Była garstka takich wypadków, kiedy zastawki okazały się niesprawne.

Dwie zastawki, które najczęściej zastępuje się sztucznymi, to dwudzielna (przy wejściu), i aortalna (przy wyjściu), znajdujące się po obu stronach głównej komory. Dwudzielną można czasem naprawić, ale aortalna prawie zawsze wymaga zastąpienia. Chirurgi mają do wyboru różne sztuczne zastawki — z tkanki ludzkiej lub zwierzęcej. Te ze zwierzęcej działają cicho i nie są odrzucane przez organizm ludzki, jednak szybciej się zużywają i wymagają wymiany. Zastawki mechaniczne, które często zawierają węgiel, mają tendencję do tykania jak zegarek i do tego, że tworzą się wokół nich skrzepy krwi. Dla pacjenta oznacza to, że musi stale brać środki zmniejszające krzepnięcie krwi.

Co roku dokonuje się na świecie 120 000 implantacji sztucznych zastawek z tego 3500 w Wielkiej Brytanii. Wiadomo, że niedawno zmarło pięciu Anglików, ponieważ w zastawkach pewnej konkretnej marki wystąpiło tzw. zmęczenie metalu. Z tego samego powodu zmarło w innych krajach 55 osób. Firma wycofała ów typ zastawek i zastąpiła go innym, zmodyfikowanym.

Chirurgia oka zrobiła wielkie postępy podczas drugiej wojny światowej. Wielu lotników RAF-u doznało wtedy poważnych uszkodzeń oka na skutek zderzenia osłony miejsca pilota wykonanej z pleksiglasu. Chirurgi odkryli, że odłamki tworzywa sztucznego nie są instynktownie odrzucane przez organizm ludzki. Temu odkryciu należy zawdzięczać soczewki śródoczne, które implantuje się po usunięciu zaćmy. Dziś takie implantacje to chleb powszedni. Dokonuje się ich w Wielkiej Brytanii tysiącom pacjentów ubezpieczalni.

Wszyscy mamy komplety zębów. Gdy po mlecznych te drugie wykruśną się, wypadną lub zostaną usunięte, jedynym wyjściem są sztuczne. Ale pojawiła się nowa wersja — implantowanych. Zabieg polega na implantacji klinów w kość szczęki. Kliny pełnią dla sztucznego uzębienia funkcję nośną. Implantacja pojedynczych zębów i implantacja całych konstrukcji wokół zdrowego zęba są coraz częstsze, szczególnie w Stanach Zjednoczonych i RFN. Dentyści brytyjscy też idą tą drogą.

Kto pamięta jeszcze Barneya Clarka? Co prawda wciąż trwa polemika, czy był etycznie słuszny przeszczep serca dokonany u Hollie Roffey, która zmarła w połowie sierpnia, mając za sobą tylko 28 dni życia, jednak największe wątpliwości budzi z moralnego punktu widzenia operacja, jakiej poddano Barneya Clarka, eks-dentystę, emeryta, zmarłego w marcu 1983 r. w Salt Lake City w wieku 62 lat. Serce z tworzywa sztucznego, umieszczone w klatce piersiowej, trzymało Clarka przez 16 tygodni przy życiu. Ale co to było za życie? Serce wprawiał w ruch kompresor powietrza, podłączony dwoma dwumetrowej długości węzami do maszyny przesuwanej na specjalnym wózku. Cała aparatura zewnętrzna ważyła 150 kg — dwa razy tyle, ile sam Clark. Wszystko to wydało się wielu ludziom jakimś groteskowym eksperymentem. Nie powtórzono go. Ale czy chirurgia implantacji długo jeszcze oprze się takiej pokusie — zwłaszcza, gdy technika będzie radykalnie udoskonalona?

Chirurgia implantacji już poszła niebawem do przodu. Pozwoliła sercu bić, oczom widzieć, głosowi brzmieć, uszom słyszeć — właśnie wtedy, gdy natura zawiodła. Dziś można ciało ludzkie „odnowić” — od stóp do głowy — stosując „części zapasowe”. Tworzywo sztuczne można kształtować tak, żeby replikować cząstki uszkodzone w jakimś wypadku czy eksplozji. Wynaleziono namiastki kości ludzkiej — chemicznie i fizycznie do niej podobne — uzupełniające zdegenerowane fragmenty szczęki.

Dobrze wyposażony oddział ortopedyczny w jakimś szpitalu to dziś oddział, który będzie miał zapas sztucznych stawów: nie tylko biodrowych, lecz również kolanowych, a także stawów palców (nóg i rąk). Ludzie chorzy na cukrzycę i na choroby nowotworowe mogą teraz pobierać swoje regularne dawki leków z implantowanego zbiorniczka i urządzenia pompującego — lub jak to się nazywa w Stanach Zjednoczonych... z „systemu dostawy leków”. Aby chorzy na porażenie poprzeczne obu kończyn mogli znów chodzić, a nie byli skazani dożywotnio na wózek inwalidzki, naukowcy pracują nad poprzeczskimi stymulatorami nerwów. Buduje się sztuczne ramiona, które dzięki wykorzystaniu mikroelektroniki mogą przyjmować 20 różnych pozycji i podnosić stosunkowo duże ciężary. Według firmy Intermedics z Freeport w Teksasie — jednej z największych wytwórni urządzeń, jakie implantuje się w ciele ludzkim — „postęp dokonuje się tak szybko, że to, co dziś wydaje się jakimś przełomem, staje się już jedynie kolejnym stopniem schodów wspinających się ku jutrzejszym cudom”.

Zdaniem wielu ludzi — w zawodzie lekarskim i poza nim — należy po oświeczonych posuwać się ostrożnie. Ciało ludzkie instynktownie broni się przed inwazją, jakkolwiek można je zniewolić lekami osłabiającymi odporność i przekonać, żeby przyjęło coś, co zgodnie ze swą naturą pragnie odrzucić. Ale nie powinno cierpieć owej inwazji, owego zniewolenia, owej parwersji i na odwrót: w jakim stopniu wolno pozwolić na panowanie śmiertelnych chorób, kalcetwa i cięplonia?

Barney Clark nie żyje. Aparaturę, która przy nim była, zdemontowano — przynajmniej na razie. Ale czy wcześniej lub później nie zacznie na nowo bić... sztuczne serce?



# Jak to jest z bliźniakami?

„Le Nouvel Observateur” zamieścił wywiad Gerarda Petitjeana z emerytowanym profesorem uniwersytecie w Nanterre, René Zazzo, który swego czasu kierował oddziałem szpitala Henri-Rousselle i wykładał w Instytucie Psychologii w Paryżu. Profesor Zazzo następuje do zagadnienia bliźniat — zarówno tych „prawdziwych” czyli pochodzących z jednego jaja, jak i „fałszywych” — dwujajowych. W swej interesującej książce pt. „Le Paradoxe des jumeaux” — „Paradoxa bliźniat” — wydana przez Stocka, prof. Zazzo wyjaśnia, że nawet „prawdziwe” bliźniata nierzadko nie są do siebie podobne.

— Panie profesorze, nie jest pan pierwszym uczonym interesującym się bliźniakami...

— Oczywiście, że nie. Temu zagadnieniu poświęcono setki prac, dziesiątki książek, od czasu gdy Darwin wyjaśnił, że gatunki nie są niezmiennie, jak to uważano dawniej, lecz ewoluują pod naciskiem indywidualnych odmienności. Na tym polega główna myśl Darwina. Jeden z jego kuzynów, matematyk Francis Galton, pragnął wyjaśnić, jaki jest względny udział dziedziczności i środowiska w tej ewolucji. I to on właśnie rozpoczął już w 1875 roku badania nad zagadnieniem bliźniat. Galton tłumaczył, że prawdziwe bliźniata mają ex definitione ten sam kapitał genetyczny, tę samą „naturę”. A ponieważ wychowują się razem, są wytworami tej samej edukacji. Galton porównywał więc grupy prawdziwych bliźniat (jednojąjowych) z grupami fałszywych bliźniat (dwujajowych) i doszedł do wniosku, że różnice wykryte między fałszywymi bliźniakami — również podległymi tej samej metodzie wychowawczej — były właśnie spowodowane dziedzicznością. Wszystko to wydaje się dzisiaj bardzo uproszczone. W owej epoce niewiele jeszcze wiadano o mechanizmach genetyki; Mendel zainteresował się swym zielonym groszkiem dopiero w 1865 roku... Później ten rodzaj prac cieszył się fantastycznym powodzeniem. Wszystkie kraje rozwinięte, które wprowadzały obowiązkowe nauczanie, konstataowały, że niektóre dzieci były opóźnione w rozwoju umysłowym. Zaczęto więc zastanawiać się nad problemem bliźniat, aby sprawdzić, czy inteligencja jest kwestią dziedziczności czy kultury. Wciąż jeszcze się tym interesujemy. Gemeliologia, czyli nauka o bliźniatach, bardzo rozwinięta w Stanach Zjednoczonych i we Włoszech, nadal postępuje śladami Francisza Galtona...

— Czy jest to obecnie droga bez wyjścia?

— Nie. Bardzo wybitne prace powstały dzięki metodzie Galtona — np. prace Anglika Petera Mittlerera, który na przykładzie swych własnych dzieci, bliźniat, opracował wspaniałe studium nad mową, w którym wykazał, że dziedziczność nie ma wpływu na pewne aspekty rozwoju mowy, natomiast na inne wywiera wpływ bardzo silny. Mittlerer podważył zbyt globalne pojęcie mowy. I to jest ważne, zarówno z punktu widzenia teorii, jak i praktyki: jeśli dziecko zaczyna mówić późno, należy specyficznie oddziaływać na aspekty wrażliwe na edukację. Idea interakcji między środowiskiem a dziedzicznością zachowuje swą wartość, ale trzeba dzisiaj umieć ją przekroczyć, stworzyć nowy wzorzec. To zaś robi na razie tylko pięć lub sześć osób w świecie.

— Właśnie po to, aby zaproponować ten wzorzec, napisał pan „Paradoxa bliźniat”?

— Tak. Zawarłem tam bardzo prostą koncepcję: bliźniata nie są parą jednostek lecz związkiem — gangiem, jak to nazwała psychoanalityczka Dorothy Burlingham. Ważny np. bliźniata jednojąjowe wychowane w tej samej rodzinie. Mają one ten sam kapitał genetyczny, to samo środowisko, tak samo się o nie troszczono. Rodzice mogą ich nie odróżniać pod względem fizycznym. Np. jedno z bliźniat niemal zawsze dominuje, a drugie podlega dominacji, jedno zajmuje się łącznością ze światem zewnętrznym, a drugie zarządza wewnętrznymi sprawami obojga. Te własne różnice mnie pasjonują, gdyż pozwalają nam poznać sposób, w jaki kształtuje się oso-

bowość u jednostek absolutnie do siebie podobnych na początku.

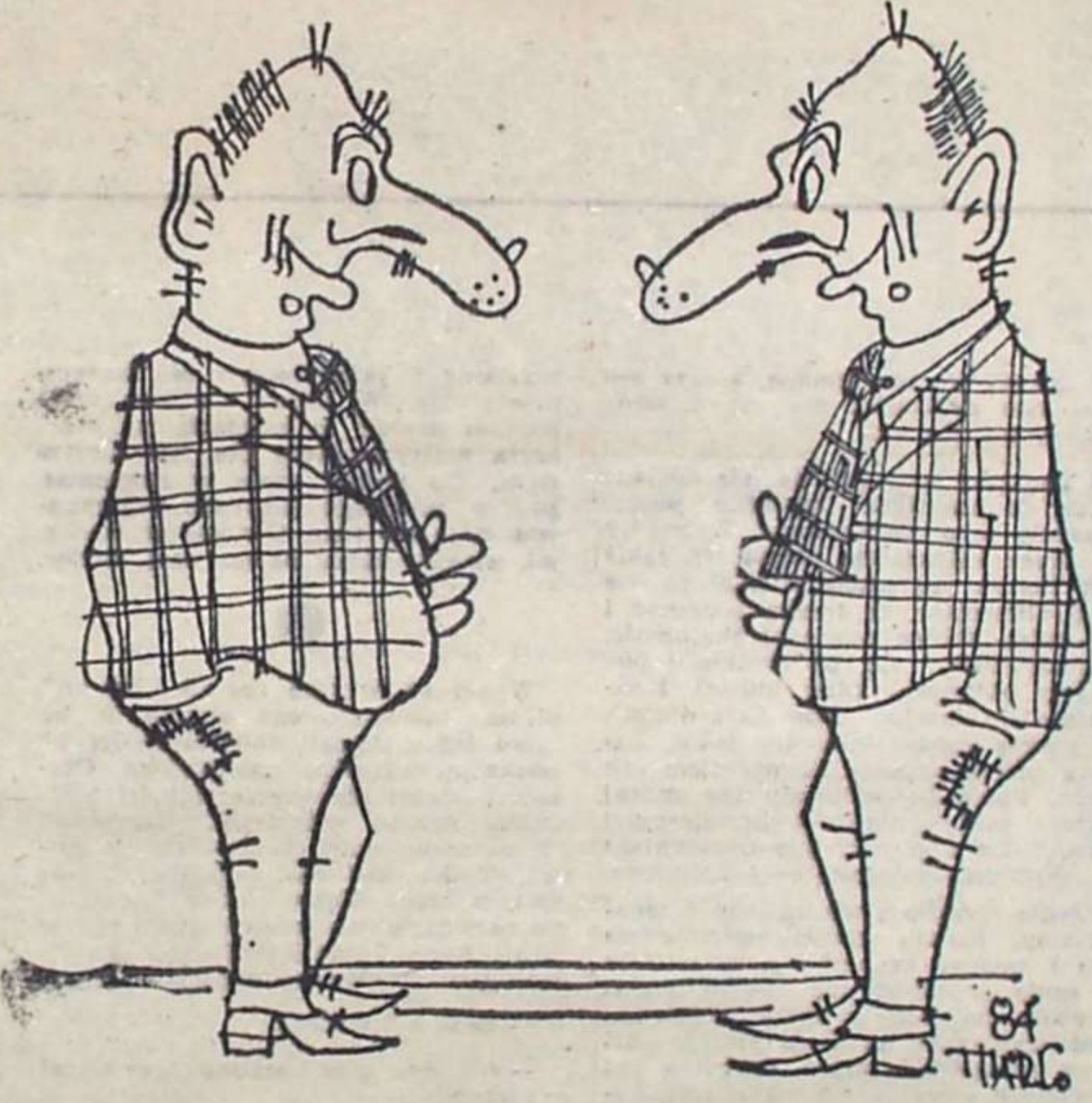
— Pomówimy o tych różnicach, które pana pasjonują. Jak one powstają? Czy występują bardzo wczesnie?

— Niektóre z tych różnic występują, jak się wydaje, przed urodzeniem. A więc najpierw istnieją różnice wagi — przeciętnie 200 gramów różnicy w chwili urodzenia, w wypadku prawdziwych bliźniat. To jest ważne, gdyż często od tego momentu zaczyna się podział ról. To z bliźniat, które więcej waży, często będzie później dominować, ponieważ drugie będzie dla rodziców zawsze „małym”, „wątłym dzieckiem”. Nawet jeśli w 15 lat później ten „mały” przerośnie brata, dla rodziców zawsze pozostanie „małym”. A przecież to właściwie nie 200 gramów więcej lub mniej w momencie przyjścia na świat... Amerykanin Arnold Gesell, który przed 50 laty wtajemniczył mnie w studia nad bliźniatami, mówił o „różnicach proroczych”. Niektóre różnice są zastawiające. Wiadomo np., że fakt, iż się jest praworęcznym lub leworęcznym, zależy — z wyjątkiem przypadków deformacji przy urodzeniu — w znacznej mierze od dziedziczności. Tymczasem zaś w co piątej parze bliźniat

— Nie tylko. Również na podstawie tego, co znajduje się w giowach rodziców. Przepytalem 200 ojców i matek bliźniat. Pytanie było proste: kto jest starszy? Tylko 15 par rodziców odpowiedziało mi, że nie ma starszego, ponieważ dzieci są bliźniatami. Wszyscy pozostali wymieniali jedno z dzieci. Co ciekawsze, połowa wskazywała na tego, który pierwszy wyszedł z łona matki, a druga połowa twierdziła, że starszym jest drugi w kolejności, w myśl ludowego porzekadła, które mówi, że „ten, który wszedł pierwszy, ten wychodzi ostatni”. Fakt przyznania starszeństwa ma duże znaczenie później, gdy ustala się stosunek sił między bliźniatami i jedno zyskuje przewagę. Ta dominacja jest zapewne rezultatem mnożenia czynników — ustaliłem siedem lub osiem takich czynników, z których żaden nie jest wystarczający sam przez się, ale które — razem wzięte — określają rolę każdego z bliźniat. A potem matka będzie kochać bardziej jednego, a ojciec drugiego...

— Skoro już o tym mowa, zauważył pan, że w przypadku bliźniat odmiennej płci często dominuje dziewczynka?

— Tak się dzieje w dwóch przypadkach na trzy. Dlatego, że dziewcz-



Rys. Józef Tarłowski

jest jedno praworęczne i jedno leworęczne. Czym to wytłumaczyć? Może swytkimi przyczynami mechanicznymi, gdyż bliźniata ściśnięte w tym samym łożysku rozwijają się bardziej jednostronnie? Pragnąłbym, aby przeprowadzono badania w tej sprawie.

Skrajny przypadek to casus bliźniaka „papierusowego”. W niektórych mianowicie przypadkach „prawdziwe” bliźniata in utero komunikują się z matką nie tylko za pośrednictwem pępowiny i łożyska, ale także ustalają łączność między sobą. I zdarza się niekiedy, że jedno z bliźniat dosłownie wypompuje całe pożywienie z drugiego. Przy urodzeniu jedno z dzieci jest ruchliwe i aktywne, a drugie przypomina małą skurczoną mumię, wysuszoną jak papierus, stąd nazwa...

Na ogół biorąc — uświadomiono to sobie podczas badań nad przypadkiem słynnych pięcioraczek kanadyjskich, sióstr Dionne — prawdziwe bliźniata rozwijające się w dwóch różnych stronach są znacznie bardziej do siebie podobne niż te, które kształtują się w tym samym łożysku. Jest to już efekt związku, pary... Ale zasadnicze elementy kształtują się oczywiście po urodzeniu.

— Na podstawie owych „proroczych różnic”, w których mówił Gesell

zryłka szybciej dojrzewa. Wcześniej wazy się załatwiać do nocniczka, jest odporniejsza na choroby, w pierwszej klasie osiąga lepsze wyniki. Rodzice dają jej odczuć, że jest „większa”, że lepiej sobie radzi. Wówczas zaczyna sprawować kuratelę nad bratem bliźniakiem. Mówi, że to jej dziadziś i zachowuje się wobec niego jak matka.

— Dziwni są ci rodzice, którzy dostrzegają różnice tam, gdzie początkowo nie ma ich wcale, a ubierają swe bliźniaki jednakowo!

— Wśród rodziców istnieje pewna polaryzacja postaw. Np. matka mówi — ten to jest mój bliźniak, a ten ten ojca. Bywają też rodzice — być może ci sami — którzy w linii zasad twierdzą, że bliźniata trzeba jednakowo wychowywać, jednakowo ubierać, dawać im te same zabawki. Prowadząc badania w latach 60-ych, mogłem się przekonać, że 96 proc. bliźniat aż do czwartego roku życia było „tak samo ubranych”. Wśród bliźniat dorosłych, z których wiele zawarło już związki małżeńskie, jednakowo ubierało się aż 34 procent! Zresztą bliźniata potrafią się doskonale odnajdywać. Jeśli noszą te same ubrania, każde z nich potrafi rozpoznać swoje, po prostu po zapachu...

W wieku sześciu lat bliźniata są

sto się buntują przeciw temu orientacyjnemu upodobaniu. Na czołg, żeby ich myślało, żeby jedno brano za drugie. Pamiętam zupełnie identycznych braci bliźniaków, których oseserwowałem od 17 lat. Pewnego dnia poprosiłem jednego z nich o zdjęcie do jakichś akt. Nie miał on nowego zdjęcia. Aby sprawdzić, jaka będzie reakcja, powiedziałem — daj mi fotografię brata, nie będzie widać różnicy. Obydwaj podnieśli wielki krzyk; za kogo pan nas ma! Jesteśmy odrębnymi osobnikami. Nie pozwalamy panu na takie rzeczy! I ten, który nie miał zdjęcia, poszedł się sfotografować...

— Mówi pan o parach bliźniat. Czytając niektóre relacje przytoczone w pańskiej książce, odnosi się wrażenie, że te pary często same sobie wystarczają. Odnosi pan, że liczba ludzi stanu wolnego jest tutaj wysoka.

— Tak. W swojej książce zająłem wspomnieniem o sprawie seksu w wypadku bliźniat. Wydaje się, że sprawą tą nie przejmują się nawet najbardziej purytański rodzice, skoro często się zdarza, że bliźniata spijają w tym samym łożku już po osiągnięciu wieku dojrzałości. Kazirodzstwo i homoseksualizm są zjawiskiem rzadkim. Bliźniata, podobnie jak inni ludzie, bardzo szanują tabu. Mają zupełnie normalne stosunki seksualne z innymi osobnikami. Ale związki miłosne, zadzierzgnięte na zewnątrz, mogą być źle tolerowane przez drugiego bliźniaka i źle wpływać na wzajemne stosunki.

— Ale czy nie istnieje ryzyko, że ta para bliźniat może zamknąć się w sobie? Ze swym istnieniem utrudni otworzyć się na innych?

— Dwie trzecie dzieci bliźniaczych mają swoją tajemną mowę, którą dostrzegają w kontaktach między sobą, co niekiedy im wystarcza. Zaobserwowano, że bliźniata zaczynają mówić przeciętnie w sześć miesięcy później niż inne dzieci. A jeśli się prowadzi badania statystyczne w zakresie testów inteligencji, można odnaleźć ślady tego powielania, które niczego nie oznacza w wypadku jednostki traktowanej oddzielnie. Zacytowałem w swej książce przykład rosyjskich bliźniaczek, które miały już 10 lat i uchodziły za głęboko upośledzone, ponieważ nie mówiły. Wystarczyło rozłączyć je na kilka tygodni, a każda z nich zaczęła mówić zupełnie normalnie.

— Oczywiście wszystkie te badania, rozpoczęte przed blisko 50 laty, nie miały jedynie na celu uzyskania wyczerpującej wiedzy na temat tej interesującej mniejszości, jaką reprezentują bliźniata?

— We Francji na każde 80 urodzeń przypada jedno urodzenie bliźniat, co daje w sumie milion 500 tysięcy bliźniat. Ale dla psychologa, jakim ja jestem, bliźniata są interesujące głównie dlatego, że stanowią, moim zdaniem, jedyny materiał, który pozwala ocenić cechy umysłowe i fizyczne zależne od efektu pary. Ten zaś efekt pary jest tak ważny, że we wszystkim, co się wiąże z życiem społecznym i uczuciowym, eliminuje praktycznie wszystko, co jest dziedziczne. Ważny np. fakt, że jest ktoś intro- lub ekstrawertykiem. Wiadomo, że jest to cecha w znacznym stopniu określona przez dziedziczność. Jeśli przeprowadzamy badania na bliźniatych żyjących oddzielnie, uświadomimy sobie, że w skali, która wiodłaby od intrawersji patologicznej do ekstrawersji skrajnej, sytuują się one mniej więcej na tym samym poziomie. Ale jeśli te bliźniata żyją razem, są pod tym względem bardzo różne. Efekty pary powodują całkowity zanik predyspozycji dziedzicznych.

— A czy my wszyscy odczuwamy te efekty pary, których bliźniata są idealnymi miernikami?

— Tak. Jesteśmy wszyscy na swój sposób bliźniatami w stosunku do naszych dzieci, naszych żon, naszych braci. Jesteśmy ukształtowani przez te efekty pary tak, jak jesteśmy ukształtowani przez naszą dziedziczność i nasze środowisko. Niech pan przypomni sobie ten francuski nurt filozoficzny — personalizm — którego wcieleniem był Emmanuel Mounier, założyciel czasopisma „Esprit”. Mounier mówił: „my” ma pierwszeństwo nad „ja”. W przeciwieństwie do zbyt wielu psychologów, którzy wciąż jeszcze uprawiają wiedzę o jednostce wyodrębnionej, wierzę głęboko, że Mounier miał rację. Zresztą to właśnie dzięki „nasz” powożnego dnia afirmuje się „ja”.

**SEKS...?** — osuptytała — eho-  
dzi pani wylądować o seksa?  
— Nie chcę kupować kota  
w worku — zaśmiała się we-  
soto — więc jeśli pana to nie dziwi,  
zapraszam do siebie...

Dziwka! Byłem poirytowany. Pisze  
taka ofertę do „Kuriera”, wynosi swo-  
je zalety, podkreśla niezależność, po-  
zycję, a za tym wszystkim idzie po-  
prostu wyro. Nażyła się przez te czter-  
dzieści lat i jeszcze jej mało.

— No jak — zapytała — odpowia-  
dam panu? Jeśli tak, radzę spróbo-  
wać. Uważam, że łatwo przede wszy-  
stkim cementuje parę w naszym  
wieku. Nie musimy od razu iść do ka-  
płicy, prawda?

Zraził mnie ten cynizm, dlatego od-  
powiedziałem po prostu, że nie czuję  
się zobowiązany do niczego więcej.  
Wstałem i wyszedłem.

Prawda jest taka, że szukam żony.  
Mężczyzna w żadnym wieku nie po-  
winiem i nie może być sam. Sądzę, że  
szedłem. Doraźne kontakty, nazwij-  
my je: towarzyskie, niczego nie roz-  
wiązują. Dawna żona wzięła naszą  
piętnastoletnią córkę i wyjechała do  
krewnych na Zachód. Przyszła stan  
wojenny i napisała, że już nie wróci.  
Rozwód dostaliśmy bez problemów.  
Mam więc mieszkanie, wszystko do  
życia, nieco sfatygowanego malucha,  
jestem dobrze sytuowany, no i samot-  
ny. Takich, co chciałyby się za mnie  
wydać, nie brakuje. Tyle tylko, że  
one są „uniwersalne”. Jedna panien-  
ka z biura, konkretnie z księgowości,  
była przez dłuższy czas z nagazynie-  
rem, więc ona odpada, nie lubię to-  
pluczyn. Sąsiadka z mojego bloku ma  
dwoje małych dzieci i male mieszka-  
nie. Po co mi aż tyle kłopotu? Swój  
wychowałem i wystarczy. Piszę więc  
odpowiedzi na oferty i sam je skła-  
dam. Mam katalogi, ale jak przycho-  
dzi wybierać, to rozpacz człowieka o-  
garnia. Ta pani, o której mówiłem na  
początku, ma około czterdziestki, jest  
rozwiądką z jednym dzieckiem, po stu-  
diach, nieźle zarabia, ma samochód,  
ale... No właśnie, ja miałbym być dla  
niej królikiem doświadczalnym? Mnie  
musiał sprawdzać? Mnie proponować to  
i owo? Ja nadal noszę spodnie i nie  
chciałbym, żeby moja pani była męż-  
czyzną w moim domu. Każdy ma ja-  
kieś nawyki.

— U nas płaci się wpisowe. Pięćset  
złotych i proszę wypełnić ankietę.  
Wszystko o sobie i życzenia, jeśli cho-  
dzi o dany. Prosimy o zdjęcie — po-  
informowała mnie miła pani z reno-  
mowanego biura matrymonialnego w  
stolicy. Uśmiechała się przy tym cza-  
rująco i zapowiadała wieczór zapo-  
nawczy w jakiejś restauracji. Podob-  
no na tych wieczorach naprawdę jest  
na czym oko zawiesić. Pochwaliła mój  
wygląd, podkreśliła stanowczość w ry-  
sach i — według niej — męskość rzu-  
cającą się w oczy.

Czytam katalog, przeglądam zdję-  
cia. Jest coś dla mnie. Atrakcyjna  
trzydziestopięcioletnia (zdecydowanie  
wolę starszel), rozwiedziona nie z wlas-  
nej winy, bezdzietna, gospodarna, z  
prawem jazdy, daczka, lubiąca tury-  
stykę. Ze zdjęcia patrzę na mnie la-  
godne, ogromne oczy przy drobnej  
twarzyczce. Decyduję się na kontakt.

Spotykam tę panią po pewnym cza-  
sie i od razu przypadamy sobie do  
gustu. Oboje jesteśmy z branży tech-  
nicznej, ja — inżynier budowlany, ona  
— inżynier elektronik. Spotkanie w  
„Gongu”, herbata, koniak, lody. Od-  
prowadzam ją pod dom i... zostaje za-  
proszony na górę, do mieszkania. Wra-  
żenie miłe. Pożegnaliśmy się nad ra-  
nem, umówiony na najbliższą sobotę.  
Zamierzaliśmy bowiem wyjechać na  
wieś, do tej daczki. Rozmyślałem jednak  
cały dzień i całą noc. — W co ja się pa-  
kuję? — zastanawiam się. — Pani,  
owszem, ale te jej sztuczki... Widać  
nie z jednego pieca chleb jadła. Wy-  
gadana za dwoje. Pali papierosy, jed-  
nego za drugim i — co tu kryć —  
pocłaga ostro. Zaraz jak tylko przyszy-  
liśmy na górę, postawiła butelkę i  
prawie sama ją opróżniła. Ja unikam  
alkoholu. Dla kurazu wystarcza mi  
dwa małe kieliszki. Po namyśle skreś-  
liłem panią z listy ewentualnych kan-  
dydatek. Wolę być jednak zdobywany  
i samemu zdobywać. Tu nie musiałem

się trudzić, a to nie jest obiecujący  
prognostyk na przyszłość.

Któregoś dnia spotkałem kolegę z  
politechniki. Nie widzieliśmy się kopę  
lat, trzeba to było uczcić. Tym bar-  
dziej że on znalazł się w podobnej  
sytuacji co ja. Odszedł od żony, płaci  
alimenty na dorastające dzieci, wynaj-  
muje pokój na mieście i zastanawia  
się nad ożenkiem. Ma dziewczynę,  
młodszą od siebie o dziesięć lat, pan-  
nę z własnym mieszkaniem, podobno  
nieźle sytuowaną. Jej tatuś namawia  
go do spółki w prywatnej firmie. Nie-  
zła perspektywa. Panią jest przy-  
wiązana do kolegi, wierna. Same plu-  
sy. A nam w głowach huczy. Posta-  
nawiamy dla draki iść pod „Kuram-

dzo trudno. Nie wierzę żadnym ogło-  
szeniom. Chyba powinienem się prze-  
rzucić na nastolatki bo wówczas miał-  
bym szansę wychować kobietę odpo-  
wiadającą mojemu pojęciu o żonie, to-  
warzysze życia i pani domu. Nie,  
nie szukam baby rozwydrzonej, bieg-  
łej w sztuce miłości i chętniej w part-  
nerstwie. Zależy mi na kobiecie usta-  
kowanej, niezbyt pewnej siebie, po-  
kornej i delikatnej. Tymczasem więk-  
szość kobiet ogłaszających się w pra-  
sie w celu złapania męża gotowa jest  
na wszystko. To prawda, mają dość  
samotności. Rozumiem, że nawet prze-  
lotny kontakt seksualny z mężczyzną  
daje kobiecie wiarę w swoje możli-  
wości. Wydaje jej się, że nadal jest  
powabna i pocłagająca. A ponieważ  
nie ma u nas domów publicznych, w  
których mężczyzna bez obawy mógłby  
przespać noc raz na jakiś czas, ko-

— pokaż, że potrafisz sam utrzymać  
dom;  
— nie oglądaj się na jej pracę, za-  
robki i awanse;  
— nie pij;  
— nie lajdacz się;  
— okaż czułość, troskę, bądź podpo-  
rą;  
— zdobywaj — przynos kwiaty, pre-  
zenty i dowody pamięci;  
— uwielbiaj.  
I tak dalej.

Nie ja jeden uważam małżeństwo za  
dzieło życia, w którym liczy się do-  
bytek, także dzieci trwanie obok siebie  
i z sobą bez względu na modę mini,  
toplesy i tym podobne. W tym dziele  
łóżko z pewnością znaczy bardzo dużo  
ale zajmuje najmniej czasu, w nad-  
zwyczajnych przypadkach kilkanaście  
godzin miesięcznie. Reszta jest otoczka  
ciepła, troską i staraniem.

## Dziewice w cenie!

Jan Przyłuski

ty”. Kawiarnia ma renomę, kiedyś by-  
wała tam dyskoteka dla czterdziesto-  
latków, coś dla nas.

Z początku było dretwo, ale dosiad-  
ły się do nas dwie poważne panie,  
strasznie sobą zaangażowane. Zwierzały  
się przez kilkanaście minut, że jakis  
tam Heniek to rzadka świnią bo nie  
płaci alimentów że trzeba poczekać i  
tak dalej. Kolega nawiązał znajomość,  
przedstawiliśmy się, po drinku, i po-  
szliśmy potańczyć gdzieś Indziej. Kon-  
kretnie do knajpy „Pod skrzydłami”.  
Ja zresztą bardzo lubię ten lokal. Za-  
bawa pierwszorzędna, wypocząłem jak  
nigdy. Panie prezentowały ten rodzaj  
kultury jaki wynika z wykształcenia i  
towarzyskiego obycia; nie narzucające  
się, pięknie inteligentne i dowcipne.

Szydło wylazło z worka, gdy wycho-  
dziłmy. Kolega chciał zaprosić na  
dalszą zabawę brunetkę, a ja miałem  
to samo zaproponować malej, która  
wywarła na mnie wielkie wrażenie,  
choć wyglądała na dużo starszą niż  
się w rozmowie okazało. Brunetka bez  
wstępnych ceregieli ubiegając nas po-  
wiedziała po prostu że możemy się za-  
bawić we czwórkę u niej w domu. Ma  
jeden duży pokój, a heca może być  
wielka.

Zbaranieliśmy obaj. Po tylu rozmow-  
wach na tematy zawodowe naukowe,  
o kulturze wreszcie — obie były zna-  
komie oblatane w teatrze — taka pro-  
pozycja?

Brunetka zapytała, jakby wyjaśnia-  
jąc: — Czy to was dziwi? Nic, co ludz-  
kie, mawiał w renesansie nie powin-  
no być nam obce. W końcu mamy po  
te „dzieści” lat, prawda? Dopasujemy  
się, zobaczymy.

— Skąd taki pomysł? — zaczął się  
kolega.

— O, jesteś do tyłu — wróciła  
mała. — Teraz w modzie są pary!  
Seks partnerski, seks na wiele rak, że  
tak powiem...

— Cholera! — pomyślałem. — Rze-  
czywiście, jestem do tyłu. Panie czekały.  
Poszliśmy. Na szczęście nie doszło do  
wymiany telefonów a adresu nie za-  
pamiętałem. Nie mam się zresztą czym  
epatować, występ jednorazowy.

Zdziczałem. Dochodzę do wniosku, że  
znaleźć żonę, kobietę holdującą tra-  
dycji i obyczajom sódziannym, jest bar-

rzystamy z każdej oferty nie tracąc  
prostytucja. W końcu szukanie męża  
poprzez anonsy w gazetach czy przez  
biura matrymonialne nie jest niczym  
złym. Zło wylazi samo w momencie,  
gdy w przetargu jedynym argumen-  
tem staje się seks. Ów kot w worku,  
jak uczenia pisała pewna pani doktor.

Wpadł mi w ręce rocznik „Razem”,  
pisma młodzieżowego, w którym od  
kilku lat systematycznie prowadzi się  
edukację seksualną nastolatków. Czy-  
tam i oczom nie wierzę; młodzi męż-  
czyźni pragną „czystych” dziewcząt!  
Dziewice w cenie! Świat staje na gło-  
wie. Tylko skąd brać te dziewice? Na-  
wet wtórne? Takie które „poszczą”  
po rozwodzie we wdowieństwie czy w  
panieństwie. Takie które stawiają męż-  
czyznom wysokie wymagania:

- bądź kulturalny;
- idź do celu szybko i zwalczaj  
przeszkody;
- pokaż, na co cię stać;

Spotkałem szczęśliwe pary z ogło-  
szenia. Jedną na sto, no, może kilka  
na sto. Nie będę wymieniał biur, któ-  
re mają te sukcesy, bo byłaby to re-  
klama, osobno płatna. Uświadomiłem  
sobie, że w czasach, gdy kobiety mó-  
wią, co myślą, i czynią, co chcą, tym  
ważniejsze jest, co myślimy my, męż-  
czyźni.

Nie znalazłem partnerki w żadnym  
z biur. Mam wymagania. Partnerka  
trafiła się sama. W sklepie wręczyła  
mi przypadkiem siatkę z zakupami i  
pozwoliła ją odtransportować aż pod  
swoją dom. Ukłony przyjęła po króle-  
wsku i odwróciła się na pięcie. Waro-  
wałem, żeby dociec, kto zasz. Samotna  
pani z dzieckiem, Nieprzystępna, wy-  
niosła. Zobaczyłem swoją... „górną”. Trzy  
miesiące zabiegów o uśmiech, ukłon  
i spotkanie. Okazała się skromna i  
ulożona. Jestem zdobywcą i to jest  
najważniejsze.



Rys. Józef Tarłowski

# Miłość staropolska in flagranti.

Adam Andrzej Witusik

**N**A początek może zacytujmy siedemnastowieczną paszkwił „Na Janc Pannę Elżbietę z Dąbrowicy Firlejównę, która czterech mężów miała, pierwszego Sapiechę, drugiego Rysińskiego, trzeciego Ossolińskiego i czwartego Opalińskiego”:

Przeznacna Pan! żal mi twej urody,  
Ze bez korzyści odprawiasz swe gody.  
Bo pierwszy tylko pod ciebie sapał,  
Drugi zaś po nim jak ryś ciebie drapał,  
Trzeci osolił, co miał ocukrować,  
Czwarty opalił, co miał pomilować.  
Wierz mi, iż z krzywdą Wenus cię obraca,  
Piąty się w tobie smaku nie domaca.  
Boś osapana, nazbyt osolona,  
Podrapana nawet i opalona.

Orax „Replikę” na ów paszkwił:

Nie żaluj, proszę, tej mojej urody,  
Bo z elementów tych mieszałam swe gody.  
Powietrzem żyję i lubię, gdy sapać,  
I gdzie mie ścierbi, miło mi, że drapię...  
Zem opalona, czemu się naśmiewasz,  
Gdzieś opal widział, by bez ognia był.  
Cztery wymiatasz kółka szczęścia mego,  
Ale te nie są bez dyszla piątego.

A także wiersz „Na biskupa poznańskiego, który wziął żonę Zaleskiemu”:

Już to nazbyt biskupie i stanu świeckiego  
Większa krzywdą, niż kiedy snopa dziesiątego,  
Z taką się nam przykrością upominacie,  
Bo dziesiąty wytknąwszy, dziewięć

zostawicie.

Ale jedną tylko Zaleski miał żonę,  
Przecie mu ją ty wytknął na kościelną stronę.  
Albo z Rzymu przyniesiecie takowe kanony,  
Żeby nam i dziesiątkiem wolno mieszać żony.  
Ale póki po jednej mieć rozkazujecie,  
Zie o nas, jeśli przecie wytykać będziecie.

W XVII—XVIII wieku w magnackim świątku życie erotyczne dalekie było od wzorowości. Nie przestrzegano zarówno szóstego przykazania bożego, mówiącego — „nie pożądaj żony bliźniego swego”, to ostatnie zaś, jeśli starano się wypełniać, to w brzmieniu — „nie pożądaj żony bliźniego swego nadaremnie”.

Oto pierwszy z brzegu przykład: w głośnej kronice skandalicznej szlachty i magnaterii małopolskiej „Liber generacionis plebeanorum” Waleriana Trepiki dość często autor wspominał o nielegalnym potomstwie poszczególnych możnych, jak: wojewody krakowskiego Mikołaja Zebrzydowskiego, kasztelana sudeckiego Mikołaja Korycińskiego i innych, czy też o nalożnicach wielmożów, które wydawano później za dworzan.

W siedemnastowiecznej Polsce jednym z bardziej rozwiązanych magnatów był pan na Zamościu, trzeci ordynat, Jan „Sobiepan” Zamoyski, który w okresie kawalerskim miał na swym dworze swego rodzajny harem. Pisali o tym fakcie bez ogródek jego przyjaciele. Zachował się też między innymi list niejakiej Konstancji Zakrzewskiej, trudniącej się stręczycielstwem dla ordynata. Stwierdziła w nim Zakrzewska: „Mnie Wielece Miłościwy Paniel Ja uniżona sługa WMci mego MPana oznajmuje, że namówiła dla WMci mego MPana tę pannę, która była u pani Kinastowej, kiedy WMc mój MPan był; tylko to, że nie chce jechać tak daleko, boi się niesław, alić obiecuje, gdy WMci mego MPana Pan Bóg przyprowadzi do Zamościa, powoła na będzie WMci do usług. Tylko proszę o wiadomość, a co by pani Kinastowa nie wiedziała. Raczej WMc mój MPan oznajmić wolę swoją, tylko żeby mnie samej w ręce oddano wiadomość od WMci mego MPana”. A książę Bogusław Radziwiłł, przyjaciel Jana „Sobiepana” Zamoyskiego, hołdujący podobnie jak pan na Zamościu rozwiązłości z „cią, tartował w jednym z listów do niego: „Wielmożny Miłościwy Panie Podczaszy Koronny, a mnie Wielece Miłościwy Panie i Bracie! Dopiero widzę, że koło Zamościa benignum clima [żyzna okolica]... i WMci memu MPanu to ganie, żeś tak daleko po świecie jeździł, mając tak piękną w okręgu swoim rodzinę. Kiedym w domu przyjaciela mego a sługi WMci mego MPana, JMci Pana Brzozowskiego, widział jego nadobniusiańską consortem [małżonkę], jeśli kiedy na świecie, tedy tu w tej gościnie życzylibym sobie milej z WMc mym MPanem zażyć komitowy, bo wiem, Bracie kochany, że byś nie tylko wzdychał amorose, ale też ryczał jako wół... Podobno nieprędko z pewnych przyczyn nam się z sobą widzieć dostanie, radzę jako życzyliwy i miłujący brat, żebyś kolo domu gruchał, a bocianom na złne cudzoziemskie zostawił kraje, gdyż Zamość tibi dabit quod totus denegat orbis [Zamość ci da, czego cały świat odmówi]. Piszę to z eksperiencją do WMci mego MPana, bo chciaam tu tylko przeocować, tędym się przecie tak w rzeczach przejrzał, że bym nie podwił, gdyby mi przyszło zapisywać gospodę WMci memu MPanu, który nimie peccas popularitate [zbyttnio grzeszysz gminnymi skłonnościami], a o wynioślejsze nie ocierasz się figury. Dalby to Pan Bóg, żebyś mnie WMc rektorem w swej uczynił Akademii; czytałbym WMci memu Kochanemu Bratu takie lekcje, że byś wkrótce świętobliwego sługę in meditationibus futuris [w praktykach wszetecznych] przeszedł, byle przyrodzenie w piernatkach WMci służyło lebiej niż na strychu paryskim. W tym myśl mych zozerwaniu tym się cieszyć tylko, że WMc mego

WPana nie zastał w Zamościu, bo wiem, że był WMc mój WPan męską moją niewinność do skazy i makuli [grzechu] jakiej był przyprowadził. Za czym zostając in virginitatis flore [w kwiecie niewinności] daleki od zamojskich syren pokus, samego siebie lasce i miłości WMci mego MPana braterskiej pilno oddając, WMci mego MPana u-przejmie iyczyliwy brat i sługa powolny”. „Sobiepan” Zamoyski, żegnając się z kawalerstwem, musiał pożegnać się i z haremem. Dobrze znający ordynata i stosunki na jego dworze poeta Jan Andrzej Morsztyn wysmażył z tej okazji wiersz pod wymownym tytułem — „Paszport kurwom z Zamościa”:

Zoska z Zamościa, Baśka z Turbina,  
Jewka z Zwierzynca, z Krzeszowa Maryna,  
Te cztery kurwy z piątą panną starą  
Pod dobrą idą na wędrowną wiarę.  
Służyły wiernie, póki pański długi  
Kuś potrzebował ich pilnej usługi;  
Teraz, że z ślubną związki zawarte żonę,  
Precz ich od dżoru zapełone wyżonę.

Wybranką serca pana na Zamościu była pełna uroku i wdzięku, młodzianka, nie mająca jeszcze ukończonych 17 lat życia panna z fraucymeru królowej Ludwiki Marii — Francuzka Maria Kazimiera d'Arquien de la Grange. Wesele, które odbyło się w Warszawie w marcu 1658 r., było huczne i pijane. Pan młody na przykład z powodu przeholowania w szklanicach spędził noc posłubną nie



Adam i Ewa. Drzeworyt z drupiej połowy XVI wieku.

w małżeńskim łóżu, ale obok łoża. Świadek uroczystości weselnych, sekretarz królowej Ludwiki Marii, Francuz Pierre des Noyers, pisał: „Zgadłeś WMc Pan, że pan młody, który na swoje wesele trzysta beczek wina zakupuje, zapewne niewielkim afektem przystąpi do pani młodej. Pierwszą noc spał na ziemi na kobiercu przy żonie, i nie położył się w łóżko; tak tedy nie zaszło”.

Jan „Sobiepan” Zamoyski, zdaje się, niezbyt długo wytrwał w wierności małżeńskiej. Świadczą o tym listy pisane do niego przez Marysienkę, w których już w dziesięć miesięcy po ślubie żaliła się, „że musiał ktoś zająć” jej dawne miejsce i że wszystkie obietnice, które jej składał, „były zwodnicze”. Wkrótce też sprawa przybrała obrót jak w owym przysłowiu — „Nosil wilk razy kilka, ponieśli i wilka”. Maria Kazimiera zrezygnowała z dotrzymywania wierności małżeńskiej, swe wdzięki i serce oddała Janowi Sobieskiemu, podówczas chorążemu wielkiemu koronnemu, sąsiadowi z nieśbity odległych od Zamościa Pilaszkowic.

Kochankowie, aby nie być zdemaskowani, pisali do siebie specjalnego rodzaju szyfrem. I tak na przykład mąż Marii Kazimierzy, Jan „Sobiepan” Zamoyski, nazywany był Fajarią, Koniem, Makrelą, Fontanną. Listy określał jako „konfityry” lub „owoce”. Pseudonimami Marysienki były: Róża, Astrea, Eseneje, Jutrzenka, Kleopatra, zaś Sobieskiego: Celadon, Jesień, Proch, Orondat, Sylwander. W liście z 25 października 1661 r. pisała Maria Kazimiera do Sobieskiego: „Dziwię się, że już od dwóch dni nie mam od WMci żadnego owocu. Przysparza to biednej Róży niemalo zmartwienia i budzi w niej lęk, że Jesieni mogła przeskoczyć jakaś choroba, a to byłaby rzecz, od której Róża jeszcze bardziej by zwiedla”. Natomiast w liście ze stycznia 1662 r. stwierdziła: „Nie składałam WMci iyczeń noworocznych w poprzednim liście, bo zła jestem na WMc, powiadają bowiem, że kto się nie spotka w Nowy Rok, nie spotka się potem przez cały rok, a gdyby tak miało być naprawdę, to bardzo byłabym zmartwiona. Zyczę więc WMci z Nowym Rokiem Esencji — najpiękniej z nich pachnie Róża, dając ją więc WMci, prosząc, żebyś ją sobie WMc zatrzymał... Współczuję WMci udrękom, ale i mnie jest bardzo niemilo, że un, chłop grupy, śpi na jednej z mną poduszce. Wyjadę stąd jutro rano; zamierzalam wysłać kogoś z moich ludzi do Pilaszkowic, sądząc, że WMc tam będzie, tymczasem przyszedł list od WMci, żeś

WMc wyjechał... Przysięgam WMci, że rozłąka z WMcią między mną tak samo jak WMc. Nie ma chwili, żebym o WMci nie myślała. Od czasu, jakżeśmy się rozstali, chodzę zaniedbana, nie uczesana, bez wstążek; nie dbam o to, żeby się podobać komukolwiek”.

Gdy w kwietniu 1665 r. zmarł „Sobiepan” Zamoyski i zaledwie w pięć tygodni po jego śmierci kochankowie poszli do ołtarza, wspomniany już Jan Andrzej Morsztyn w wierszu pt „Serenada północna na ślub niezwyčajny wielkiego stadła intonowana w Warszawie przy skończonj sprawie”, wkładając w usta Marysienki słowa, słałwie pisał:

Porzućmy przeszle pokątne załoty,  
Przybierajmy się do jawnej piezszcoty!  
Jest to, mądrych zdaniem,  
Kiep, co całowaniem  
Kontent, a dalszego  
Nie uzna dobrego.  
Wszak wieasz, że i ja serdecznie czekało  
Tej okazyj, która już potkała;  
A że nam niebo długo przeszkadzało,  
Będzie sownie teraz nadgradała.

Mężem Sobieski był idealnym. „Kiedy Bukiet [tj. Maria Kazimiera] rozbił się, on albo na takim miejscu siedział, z którego pan patrzeć mógł, albo sobie zasłonę odsłonić rozkazał”. Myślał też ciągle o niej. „Zoneczko moja najśliczniejsza — pisał w jednym z listów z obozu — największa duszy mej i serca pociecho! Tak mi się twoja śliczność, moja złota panno, wbiła w głowę, że zaważać oczu całej nie mogiem noc”. A w innym donosił: „Będąc wczora na Wysokim Zamku [we Lwowie], uważałem długo na zachodzące nad Jarosławiem słońce i w tamą obłoki biejące stronę. O, jakież mi się życie obróciło się w jaką kropelkę deszczu albo rosy, a spaść na najśliczniejszą busienkę serca mego albo którąkolwiek partię najwzdzięczniejszego ciała, wiedząc, że moje kochanie na deszcz rado wychodzi”. I wiecznie ją pragnął miłością namiętną i lakomą.

W liście z 1666 r. pisał do niej: „Rad bym, żeby te dni w jedną obrócił się minutę, ażebym mógł jako najprędzej ucałować wszystkie śliczności mamusienki mojej, która choć z połowę niechaj teje ma impacjencji, uniżenie proszę, tak do widzenia swego Celadona [tj. Sobieskiego], jako i do ucz nienia tej rzeczy”. Zaś w liście z 1675 r. donosił: „(Wzięty do niewoli Kalmuk Astrakan) na wszystkich les plus fines [najsubtelniejszych] niecnotach się zna... Jest to takie nie do dobre, że tego wypisać niepodobna. Przeszedł hultaj wszystkich w amorych sztukach, i Francuzów, i Włochów, i Hiszpanów, i Turków... Powiada, że uczynić tej rzecz umie dwunastu postur różnych, czego się u Kalmuków nauczył... Pokazował kilka i widzę, że są całe pratiques [praktyczne, wygodne]... Il sait encore 1000 secrets [zna jeszcze 1000 sekretów]. Powiada, że kiedy cousine zimna, to trzeba przynieść węgla, pokropić to i trawą przykrę, aby na tym usiadła ta, która ma zimną, et l'homme son borgne [a mężczyzna swego jednookiego] aby rozgrzał tak nad ogniem i nasmarował go sypkiem z bóg baranich; tedy ma być niesłychanie dobrze. En fin il a dit [w końcu powiedział], że z tej jednej potrawy uczynić może mille assaisonnement [tysiąc smaków]... Otóż tobie, moja panno, na dobranoc, abys miała o czym myśleć, czego się uczyć, na co się gotować i ze swojej też wynysić to nowego strony, kiedy mnie Pan Bóg zdrowe do serca twego przywiezie”. A jeszcze w innym liście z rozkoszą wspominał upojną noc spod znaku bogini Wenus: „Jakos mi Wc moje serce puścił ale chciała, jakoś prosila, żebym nie oledhodził, jakoś mię na swoją pościel ciągnęła, doś łozko waskie... a przecie to tam było miło”.

Wiek XVIII przyniósł jeszcze rozluźnienie obyczajów. Odnosi się to zwłaszcza do dworu i ólewskiego i środowisk magnackich. Dla ilustracji trzy zmysłowe erotyki ówczesnych mistrzów: Stanisław Trembecki, poeta nadworny króla Stanisława Augusta Poniatowskiego:

Z róży kolanka, z alabastru uda,  
Przy ślicznych uścich swe usta polożył,  
Sześć razy konał i sześć razy ożył.  
Klimena, grotem Kupidyna pchnięta,  
Podnosi w niebo zemdlone częsta.  
Krzyk z zapalonej miłuchnej twarzyczki  
Świadczy, że szczuple do rozkoszy drwiczki.  
Franciszek Dionizy Kniatyn, eks-jezuita, dworzanin Czartoryskich:  
Raz jezuita po macku idący,  
Namacał dobra w dziewicy spięcej  
Ta odeckniona zawołała nań, ho! ho!  
Takiej misji nie kazał Loyola.

Adam Naruszewicz, biskup łucki, uczestnik obiadów czwartkowych króla Stanisława Augusta Poniatowskiego:

Bądź pewny, gdy twój palec będzie w tym  
najwzniejszą tuą żoną będę na tym świecie,  
to mówiąc, rękę jego do siebie prowadzi,  
i w klejnot palec średni głęboko osadzi.  
Tej trójce sekundowali swoimi tekścikami inni.  
Nie dziw. Popularna wówczas maksyma G. L. Buffona, francuskiego przyrodnika i filozofa, głosiła: „jedną rzeczą co wartą w miłości jest jej stro-na fizyczna”.

# Cyrk na świecie

Bogdan Danowicz

**A**RTHUR Evans, badacz Knossos na Krecie, zauważył, że jeśli za cyrk uznamy zamkniętą przestrzeń, w której manifestuje się zrzęczość i śmiałość, to wówczas stanie się oczywiste, iż jest on stary jak sama ludzkość. Evans udowodnił również, że sztuki podobne do cyrkowych były pokazywane przed tłumami już około 2400 r. p.n.e. Twierdzenie Evansa wspiera malowidło ściennie znalezione przezeń w jednym z domów z Knossos. Przedstawia ono uprawiane na Krecie skoki przez byka, które były wstępem do ceremonii religijnych i jakby uprzedzały już jazdę na grzbiecie konia, jaką w ostatniej ćwierci XVIII w. zachwycał Londyn Philipp Astley, twórca cyrku nowożytnego.

Skok przez byka wymagał niezwyklej odwagi i sporych umiejętności akrobatycznych. Było to przedstawienie nie tylko efektowne, ale również bardzo dla jego aktorów niebezpieczne. Stanowiło jakby surogat widowiska cyrkowego na arenie, zwłaszcza że demonstrowane było licznym widzom, którzy sadowili się dookoła na wznoszących się ku górze miejscach. Tymczasem na arenie oczekiwali na atak byka skoczki, skąpo odziani i nie uzbrojeni. Gdy wreszcie byk, prawdopodobnie sprowokowany, szarżował z głową nisko pochyloną, stojący najbliżej skoczek chwycił jego rogi obiema rękami i ze zdumiewającą zrzęczością przeskakiwał nad grzbietem zwierzęcia. Wylądowawszy na ziemi, szybko się obracał i by nie upaść, chwycił się najbliższej stojącego skoczka. Tę serię: unik, skok i chwyt, powtarzano wiele razy. Choć od czasu tych wyczynów upłynęło już przeszło cztery tysiące lat, mało jest cyrków na świecie, które pokazywałyby coś lepszego od tych skoków nad bykiem — piszą w swej „Pictorial History of the American Circus” John i Alice Durantowie.

W tym też czasie pojawiły się w Chinach, Egipcie i Grecji zastępy akrobatów, żonglerów, muzykantów, różnych wesolków, komików, pokazywaczy zwierząt (np. oswojonych panter, słoni, ptaków, a nawet zajęcy). Unaooczniają nam to zachowane freski z Górnego Egiptu, jak również stare medale greckie, w których znalazły wyraz pierwotne formy sztuki cyrkowej.

Egipcjanie byli pierwszym narodem cyrkowców. Już bowiem około roku 4600 p.n.e. nad Nilem popisali się kuglarze. W grobowcach w Memfis oglądać można malowidła ściennie, ukazujące różne rodzaje wyczynów akrobatycznych z tamtych czasów, jak np. piramidy lub inne modele akrobatyki parterowej. Na tychże malowidłach są też widoczni ekwilibryści, atleci, a nawet bokserzy. W Tebach na murze filaru figuruje jeździec, który zgodnie ze sztuką wołyżu wisi z boku końskiego zadu. Natomiast domeną kobiet było żonglowanie piłkami.

W starożytnym Egipcie — o czym informują hieroglify — odbywały się walki z dzikimi zwierzętami, a także walki byków. Historia mówi też o lwie — ulubieńcu Ramzesa II, pilnującym jego namiotu. W świątyni Abu Simbel natomiast znajduje się rzeźba przedstawiająca lwa, który siedzi w wozie i trzyma w paszczy cugle zaprzężonych koni.

## Cyrki w Rzymie

Widowiska cyrkowe na masową skalę i w sposób zorganizowany wprowadzili dopiero Rzymianie. Stamtąd pochodzi również sama nazwa „circus”. Miała ona oznaczać obwód lub okrąg, wzdłuż którego rozgrywane były wyścigi rydwanów, a potem — miejsce walk gladiatorów lub innych pokazów zrzęczości.

Rzym starożytny miał całą kolekcję cyrków, a do najświetniejszych należało Koloseum, nazywane też Amfiteatrem Flawiuszów, jako że za panowania ich dynastii (w drugiej połowie I w.) rozpoczęło i zakończyło jego budowę. Ukształtowane w formie misy, opierało się na osiemdziesięciu potężnych łukach, czwarte jego piętro zaś dochodziło do wysokości aż 50 m. Koloseum mogło pomieścić osiemdziesiąt pięć tysięcy widzów.

Większy był tylko Circus Maximus, zbudowany w 328 r. p.n.e. przez Tarkwiniusza. Cyrk ów, z miejscami dla stu pięćdziesięciu tysięcy widzów, położony był malowniczo między wzgórzami Awentynskim i Palatyńskim. Miał kształt elipsy, której wielka oś liczyła 625 m, mała zaś 125 m. Był to więc cyrk zbudowany podług klasycznego potem już wzoru rzymskiego, a przeznaczony głównie do nie ustających od wschodu do zachodu słońca wyścigów rydwanów. Konie okrążyły w pełnym biegu kołce, czyli tzw. spinę, dzielącą arenę na dwie części. W spinie mieściły się też loże dla patrycjuszów. Natomiast na przeciwnych krańcach areny znajdowały się drewniane lub kamienne kręgle, które były prawdziwym postrachem woźniców. Niejeden, zawadzwszy o nie podczas wirazu, wyleciał z wozu jak z procy, a bywało, że i tracił życie.

Wzdłuż koleców ułożone były: potężnych rozmiarów obelisk posągi bogów, skrzydlata bogini zwycięstwa Wiktorii, Fortuna — świątynia słońca, piramidy, ołtarze, trofea, święte wazy, jak również fontanny z delfinami poświęconymi Neptunowi i portyki z siedmioma bryłami w kształcie jaj. Kiedy rydwan wykonał jedno okrążenie, spadało jedno takie jajo, powozy bowiem musiały okrążyć arenę siedem razy. Zaprzężone były w dwa lub cztery konie, a każdy woźnica miał swój własny kolor: biały, czerwony, zielony lub błękitny; oznaczały one cztery konkurujące ze sobą stronnictwa, były więc jakby barwami klubów sportowych. Na arenie odbywały się również wyścigi rydwanów zaprzężonych w słońce, lwy, tygrysy i jelenie. Sądano też na koniach nagie a piękne kobiety; czy-

nić to z lubością zwłaszcza Hellogabal, kiedy pozwolił koniami wyprowadzonymi ze swego pałacu. Woźnica kwadrygi rzymskiej cieszył się uznaniem równym popularności wybitnych współczesnych toreadorów, jego zarobki zaś przewyższały wielokrotnie dochody najlepszych adwokatów.

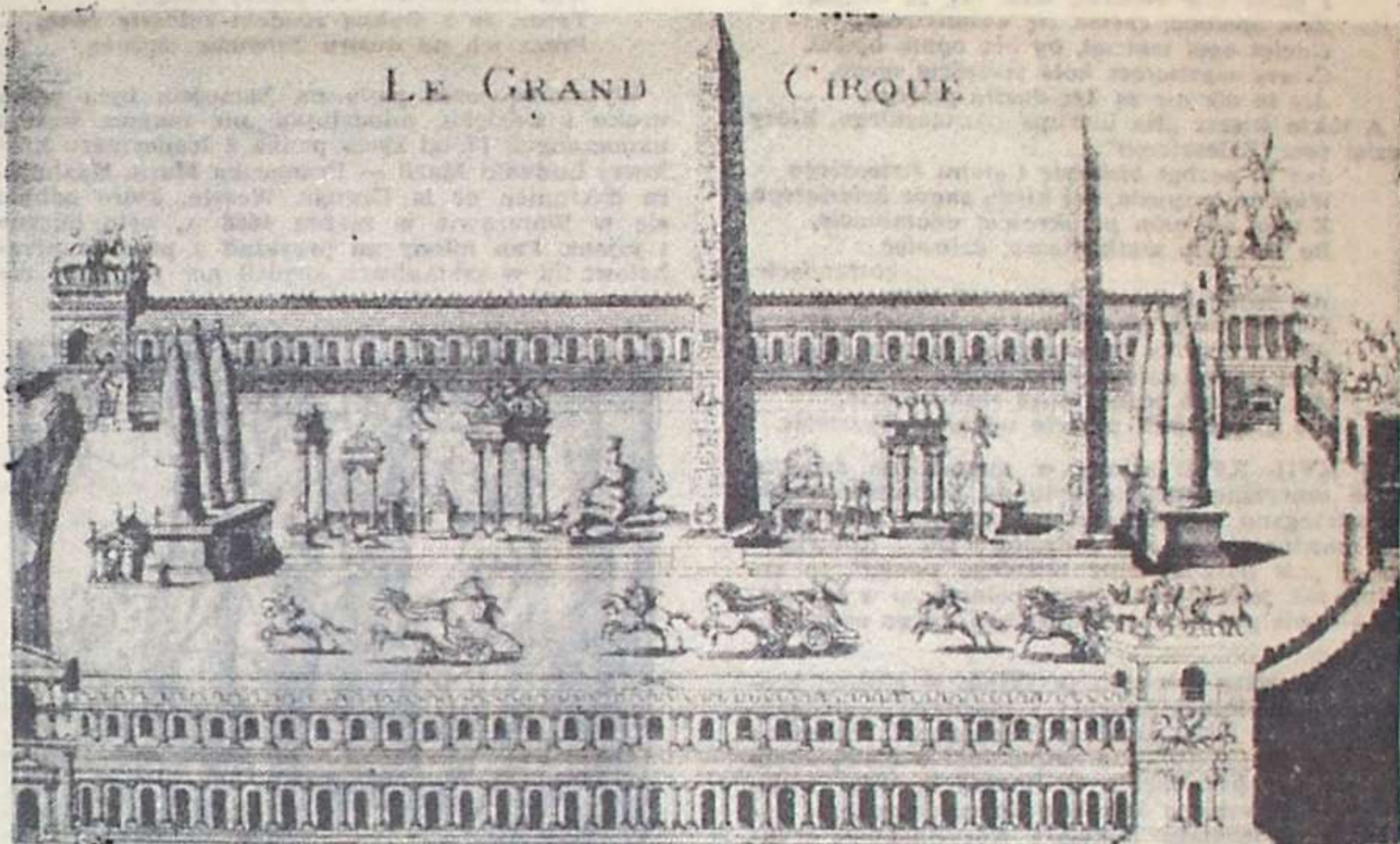
Wkrótce jednak Circus Maximus zmienił swoje programy. Pojawiły się w nim dzikie zwierzęta, nad którymi opiekę sprawował bóg cyrku Konsus, jedno z najstarszych i najbardziej tajemniczych bóstw Rzymu. Poświęcony mu ołtarz zakopany był tuż przy arenie i raz do roku odkopywano go, by złożyć na nim ofiary, po czym ponownie go zakopywano w piasku areny, i to jak najgłębiej.

Igrzyska cyrkowe poprzedzała zwykle parada ludzi i zwierząt, tzw. pompa circensis. Z Kapitolu wyruszał przez miasto pochód, który otwierały obrazy bogów wieszane na okazale ozdobionych wozach. Za nimi posuwały się kwadrygi z woźnicami, potem jechały osobistości urzędowe, wresz-

zwierzęta, aby nawet najmniejsze paury nie pozostały nie wykorzystane. W roku 89, podczas studniowych uroczystości z okazji poświęcenia Koloseum, tylko w jednym dniu demonstrowano około pięciu tysięcy różnych zwierząt, a w całym tym okresie zabito ich ponad dziewięć tysięcy. Zwierzęta walczyły ze sobą, np. słoń z bykiem lub niedźwiedziem, jelenie z dzikami, lwy z panterami, tygrysy z wilkami itd. Na jednej ze starych mozaik rzymskich utrwalaona została scena straszliwej walki gladiatorów z lwami, bawołami i lampartami.

Ten krwawy i tragiczny okres w dziejach cyrku zbiegł się z początkiem rozkładu starożytnego Rzymu. A wraz z jego upadkiem zniknął też cyrk jako publiczna instytucja rozrywkowa. Cyrki rozsypały się wówczas po prowincji i przez tysiąc lat nie było już takiego, który by zawierał klasyczne, a więc humanitarne elementy cyrku rzymskiego.

Kiedy Rzym opanowali barbarzyńcy, cyrk przeniósł się do Bizancjum, gdzie przetrwał aż do upad-



Circus Maximus

cie zwierzęta-ofiary i w końcu różnoraki sprzęt.

Cyrk rzymski z płótnami rozciągniętymi ponad głowami widzów — stwierdził Serge — mógłby uchodzić za przodka wędrownego cyrku współczesnego. A na wspaniałe widowisko składały się popisy selki tancerzy, linoskoczków, polykaczy młeczy. Odbywały się tam również pokazy gimnastyczne, biegi, walki na pięści, markowane walki na koniu, a więc popisy zawierające pewne elementy ewolucji wojskowych i walk gladiatorów, no i „hece” ze zwierzętami. Stare obrazy ściennie ukazują też gry jeździeckie i tresurę koni, jazdę przez przeszkody w wykonaniu kilku konkurujących ze sobą grup, a także popisy jeźdźca stojącego na nie osiodlanym koniu, trzymającego go na długich cuglach. Konkurencje te do dziś nazywa się „rzymskimi gramami”. Oryginalnością wyróżniał się pokaz nosorożca ciągnącego wóz z klatką pełną ptaków.

Widowisko uzupełniały pantomimy z życia bogów (raz nawet przeniesiono cyrk w góry trackie ze skalami, z których były źródła), taniec syryjskich dziewczyn pomiędzy mieczami ustawionymi ostrzami do góry, a także — jak na to wskazują obrazy na wazach — popisy kontorsjonistyczne oraz występ atlety balansującego ustawioną na czole sztangą, na której gimnastykowało się dwoje dzieci. Występowali też tzw. ventilatores podrzucający do góry noże, które chwycali zawsze za rękojeść, linoskoczkowie zwani funambull, jak również pilarii — zrzęcznie chwytający piłki na kolana albo też palcami u nogi.

W cyrku rzymskim odbywały się też naturalnie walki silaczy, występujących niekiedy z zawiązanymi oczami. Zwycięskich gladiatorów fetowano niczym dziś matadorów w Hiszpanii. Na arenie urządzano również walki karłów.

Krwawe „hece” z dzikimi zwierzętami przyszedł do Rzymu z Kartaginy. A spośród walczących przeciwko nim rekrutowali się pierwsi poskromiciele; nazywano ich bestiarii.

Tendencja do brutalności i rozlewu krwi wzięła jednak górę w cyrkach rzymskich, zwłaszcza zaś w Koloseum. Piasek areny nasiąkał krwią dezertów tratowanych przez pędzące stonie, walczących gladiatorów i skazanych na śmierć chrześcijan. Dlatego, być może, instalowano na arenie fontanny rozpylające strugi pachnącej wody. Przy tym ci skazani na śmierć musieli uprzednio ćwiczyć, by umierać naprawdę teatralnie.

Niekiedy arenę Koloseum zmieniano w jeden olbrzymi basen, w którym pływały różne zwierzęta morskie.

Program cyrkowy toczył się prawie bez przerw. Seneka napisał, że szlachetowało się tam ludzi i

ku wschodniego cesarstwa. Zwycięzcy Turcy zachowali w Bizancjum stary hipodrom, jak również wyścigi rydwanów. Michel de Montaigne wspomina, że za jego czasów w Konstantynopolu jeźdźcy stawali na głowie na koniu; uprawiano więc już w drugiej połowie XVI w. wołyżkę i dzygitówkę.

## Kuglarze

W okresie wędrowki ludów rozbite grupy starych gladiatorów i kuglarzy przedostawały się do południowej Francji albo ciągnęły dalej jeszcze na północny zachód, na wschodzie zaś trzymały się wędrujących szczepów germańskich.

Za Karola Wielkiego i jego następców pełno było atletów, mimików, zapaśników, trefniśców, potem też linoskoczków, lalkarzy, różnych wróżbitów i szarlatanów, a także treserów niedźwiedzi, małp, psów i wężów. Ojezyczna ich była ulica; pogardzano nimi już we wczesnym średniowieczu, bo nie mieli rzekomo poczucia honoru. Występowali przeważnie podczas dworskich i kościelnych świąt, na odpustach, targach, zabawach cechowych.

Barwne, niespokojne życie wagantów stanowiło zbyt duży kontrast dla surowej arbitralności średniowiecza, dla jego ciemnoty, mistycyzmu, jego krwawych wojen, narodowych zwad i religijnej nienawiści. Owczesnych wagantów, którzy kontynuowali już indywidualnie dawne tradycje cyrkowe, nazywano pogardliwie „kuglarzami” albo też „ludkiem wędrownym” (niem. fahrend Volk) lub „dziećmi drogi” (franc. enfants de la route). Wędług praw miejskich, np. Brunner Stadrecht, byli oni wyjęci spod prawa, tak jak żebracy, włóczędzy, prostytutki, kacl i hycle, dlatego żaden czyn wymierzony przeciwko nim nie mógł być sądzony i karany przez sędziego. W rzeczywistości kryło się wśród nich wielu pospolitych przestępców. Średniowieczne instytucje kościelne również nie uznawały kuglarzy i dlatego przylgnęła do nich nazwa „kościelni” albo „zakrystianie diabła”.

Każda wędrująca grupa kuglarzy miała swego sprzedawcę leku-panaceum, np. cudotwórczego ponoć oleju z węża. Ow właśnie, albo też inny szarlatan czy czarownik, rozpoczynał występy od zachwalania swego lekarstwa lub umiejętności. Dopiero potem przychodziła kolej na popisy akrobatów, żonglerów, ludzi związających się w kłębek lub skaczących przez obręcze pokazujących sztuczki magiczne itp. Później dołączył do nich minstrel, a także Cyganie z tańczącymi niedźwiedziami. Ci ostatni stali się z czasem nieodłącznymi członkami wędrownych trup, zajmowali się kotlarstwem bądź plećli kosze z wikliny, ale bywali też wśród nich złodzieje kur i koni.

Cyrkowcy tamtego czasu nie cieszyli się dobrą reputacją; popularny był wtedy okrzyk: „Bieliznę zdjąć ze sznura, bo idą komedianci!” W stosunku do cyrkowców używano też najobrazliwszego epitetu, jakim był „chłop” albo „cham”. Bo też chłop był ich zawziętym wrogiem. Chował przed nimi swój dobytek, bo byli wiecznie głodni, i babę, aby mu jej nie uwiedli.

Ale przebywali wśród kuglarzy także zrujnowani szlachcice, o czym powiada Théophile Gautier w „Kapitanie Fracasse”.

Z dokumentów, jakie się dochowały, niewiele można się o waganach dowiedzieć. Są to przeważnie zarządzenia magistratów, zezwalające lub zakazujące występów tej czy innej grupie linoskoczków albo też aprobujące wypłatę kilku guldenów, jeśli występ był udany. Wspomina się o ich obecności na wielkich uroczystościach dworskich, jak choćby na ślubie Roberta, brata Ludwika IX, z księżniczką brabancką Matyldą w roku 1237 w Compiègne. Theodor Hampe w X tomie „Monographie zur deutschen Kulturgeschichte” pisał o kuglarzu, który podczas uroczystości z okazji tych zaślubin miał jechać na koniu stąpającym po przeciągniętych w powietrzu linach. A wiedeńskie „Fugger Zeintungen” z 1922 r. opisywały pięćdziesięciodniowe święto na cześć Mahomeda, syna sultana Murada (w Konstantynopolu w roku 1582). Wówczas to pewien siłacz dźwigał na gołym brzuchu ciężki, cetnarowy blok kamienny, a sześć osób biło weń masywnymi młotami z całej mocy. Inny znowu sam uderzał się po głowie dużymi płaskimi kamieniami, a jeszcze inny kazał sobie do głowy przybić podkowę! Pewien zaś linoskoczek niósł na ramionach dwoje dzieci, a trzecie, przywiązane do jego nogi, zwisało w powietrzu.

Sredniowieczni waganicy przekazywali z pokolenia na pokolenie swe umiejętności, zwłaszcza sztukę marionetek i prestidigitatorstwo. Pod koniec zaś wieków średnich wykształciła się akrobatyka parterowa; niektóre jej elementy, jak np. arabesque, weszły potem do baletu renesansowego i oświeceniowego.

Waganicy z tamtych stuleci nie spisywali kronik rodzinnych, dlatego żaden historyk nie mógł dokończyć do niedawna bardzo dramatycznych i awanturnych dzieł znanych cyrkowych rodów. Jedno tylko może uchodzić za pewne: przodków wielu współczesnych prominentów cyrku poszukiwać należy wśród ówczesnych kuglarzy, zmieszanych z różnej maści szariatami, Cyganami lub usunętych ze szkół zakami, czyli późniejszymi rybaltami — jak to było np. w Polsce — oraz z innymi poszukiwaczami przygód, którzy po wojnach krzyżowych przemierzali wiejskie dukty i produkowali się na różnych jarmarkach i targach, zastępując nawet, naturalnie za odpowiednio wysokim honorarium, chętnych szlachciców wyzwanym na pojedynki.

Gardzono waganami jednak nie tylko dlatego, że byli oni bezdomni. Sama ich profesja i sposób zarabkowania pozostawały w rażącej sprzeczności np. z niemieckim poczuciem honoru, nie akceptującym ludzi nie obciążonych nigdy obowiązkiem walki zbrojnej, który uważano wówczas za najszlachetniejszy. Dlatego np. zgodnie ze szwabskim prawem krajowym wolno było zabić bezkarnie zawiadanie wynajmującego się za pieniądze. Dopiero na przełomie XVII i XVIII w. zdjęto z wędrownych cyrkowców to piętno, jakim obarczono jeszcze katów. Ale w opinii publicznej nadal uchodzili za napiętnowanych, a tworzył ją w dużym stopniu Kościół, dla którego uprawianie kuglarstwa równoznaczne było z rozwiązłością, a więc uznawane za grzech śmiertelny. Byli więc waganicy grzebani w nie poświęconej ziemi.

Wiele mamy przekazów z tamtych czasów, świadczących o praktycznej realizacji rygorystycznych założeń Kościoła. Np. Anglik Banks popisywał się w Lugate Hill z „mądrym koniem”, zwanym Maroco, a chwalił go nawet sam Shakespeare. Ale kiedy Banks pokazał się w roku 1610 we Francji, został na mocy wyroku inkwizycji spalony razem z koniem!

Fanatyzm religijny dosięgał również kuglarzy pokazujących marionetki, które od XVI do XVIII w. święciły triumfy. Pokazy ich miały posmak konspiracji. Nic zresztą dziwnego, że żonglerzy oraz kłoni kuglarze nosili marionetki ukryte pod płaszczem, skoro wielu z nich sponęło na stosie, jako krewni szatana, razem z marionetkami. Uprawiali poza tym czarną magię, za którą Kościół również ich prześladował. Jeszcze w roku 1794, a więc podczas rewolucji francuskiej, dyrektor teatru marionetek w Paryżu, występujący na Polach Elizejskich, został zgilotynowany... za zbyt ostry język!

Kuglarze występowali też na pańskich dworach; aż do XVII w. miały one zinstytucjonalizowane prawo do rozrywki i uciechy, których dostarczali nadworni błazni. Ci ostatni często też brali udział w nadwornych występach kuglarzy.

Scenerię kuglarskich występów stanowiły przede wszystkim jarmarki, zwłaszcza na przedmieściach Paryża — w Saint-Laurent i Saint-Germain. Przeżywały one swój rozkwit w XVII i XVIII w. Przez ostatnie trzy miesiące roku tłumnie odwiedzali je paryżanie i wtedy przemieniały się w ludowe przybytki najpopularniejszej rozrywki. W roku 1742 wystąpił tam po raz pierwszy słynny skoczek Grimaldi, którego nazywano „Nogą z żelaza”, tak potężna bowiem była siła jego skoku.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Fragment książki pt. „Był cyrk olimpijski”, która ukaże się nakładem „Iskier”.

# Fioletek Noworoczny LUBELSKI

PRZYSTAWIONY SPECYJALNIE DLA UKAZANIA SCEN ŻYCIA MIASTA LUBLINA NA PRZEKŁADZIE STAREGO - 1884 I NOWEGO 1885 ROKU

WZIĘTE Z ÓWCZESNYCH GAZET I WYDAWNICTW PERYODYCZNYCH LUBELSKICH

## Z MIASTA I OKOLICY

Sobotni, 9 Stycznia 1885 r., wieczorek tańczący w Resursie Kupieckiej zgromadził niewielką ilość tancerek, a jeszcze mniej



tańczy, gdyż do mazura stanęło par tylko 14. Pomimo to ożywiona zabawa trwała do 7-jej rano.

Znowu cyrk przybył do naszego miasta i zamierza przepędzić tu zimę. Właścicielem jego jest Francuz, niejaki p. Godefroi. Wątpimy jednak, czy podróż do



Lublina opłaci się właścicielowi cyrku, bo biorąc miarę powodzenia, jakie miał poprzedni — interesu stanowczo wróżyć nie możemy.

Pierwszy transport ryb z Donu ukazał się na targu lubelskim. Są to przeważnie sandace mroźne, które tu u nas sprzedaje się po kop. 15 za funt.

Bójka. Do jakich nieraz krwawych zająć pomiędzy właścicielami prowadzą spory o grunta, dowodem tak często notowane fakta zabójstw i skaleczeń.

Znowu parę dni temu we wsi Płouszowicach o miłe od Lublina położonej, kilku właścicieli pokaleczyło drągiem kobietę, zadając ciężkie obrażenia w twarz i



szyję. Przecięta głowa przedstawia ranę niebezpieczną. I to wszystko o grunta, o miły grunt, którego każdy chłop w marszeniach swoich pragnie mieć tyle, żeby go od wschodu do zachodu słonka koniami nie objechał. A przecież mamy tak wspaniałe książki dla ludu jak „Rozmowa Macieja”. Gdyby w tych książeczkach mniej prawoiono moralistów i zbawiennych podawano rad i objaśnień o przeszłości, a więcej zwracano uwagi na to, żeby chłop mniej pił wódki, pracował i cudzą własność szanował, może by mniej było rozciętych łbów i połamanych kości.

Przedstawienie na dochód szcze-

ży ogniowej ochotniczej dane przez trupę panów Sarnowskich w Zamościu nie przyniosło, pomimo szlachetnego celu, odpowiedniego dochodu z powodu, że mieszkańcy prowincji przybyli w nader małej liczbie. Przedstawienie to wypełniła wyborna komedia K. Zalewskiego pt. „Artykuł 264”.

W sobotę wieczorem, w domu nr 77 przy ulicy Rybnej, służąca Sura Gutmoher, lat 20, podając samowar z gotującą się wodą, upadła tak nieszczęśliwie, że poparzyła sobie twarz i ramię.

Onegdaj Zofia Zbrońska, lat 44, niosąc wodę około pompy przy gimnazjum żeńskim, pomimo że led o kółko studni był posypany trocinami, poślizgnęła się i upadając wybiła sobie ze stawu prawe biodro. Zbrońska odstawiono na kurację do szpitala S-go Wincenego à Paulo.

## PRZYPOMNIENIE ROBÓT I OBOWIĄZKÓW GOSPODARSKICH W STYCZNIU:

Młócić zboże, opatrzyć inwentarz, kończyć tuczenie świń. Przeszoły strzec od zimna, zaglądać do kopców.

Na Nowy Rok mieć woły gotowe na sprzedaż. Kupując wołu — uszczypląć go po żebrze, jeżeli skóra odstaje, to choć chudy, to ma dobre zęby — dobry jest do kupienia.

W ogrodzie owocowym — podczas pogody zdejmować mech i pleśń z drzew, a korę ocierać grubym płótnem.

W ogrodzie warzywnym — rozwozić gnoj na miejsca chude, inspekta najrańsze zakładać.

Oplacić podatek główny gruntowy dworski i propinacyjny, składkę drogową i dworów za cały rok 1885 i pożyczkę Bankowa.

## KĄCIK LITERACKI

### ROZUMNA CÓRKA

Isz za matę za starego nie miała ochoty.

— „Czyś ty głupia, dziecioczymo — to właśnie matę złoty.”

Są dobra, pałac w mieście, herbiera i cugi —

Mówi mama — nie przedko przyjdzie taki drugi...

Ze ma lat siedemdziesiąt? Ech! to bagatela...

Będiesz mieć za to z niego ojca, przyjaciele...

Na to córka: — „Wszak ojca mam już z łaski niebda.”

Na cóż drugi? Mnie męża, męża mam trzeba!” Że!

## KĄCIK TEATRALNY

TEATR ZIMOWY. Towarzystwo artystów dramatycznych, pod dyktando Juliusza Grabińskiego, prezentuje:

W czwartek — 25 grudnia 1884 r. Staroświeczyzna i postęp czasu. Krotkowiła ze śpiewami i tańcami w 4-ach aktach.

W piątek — 26 grudnia: Margrabianka, komedia w 3-ach aktach. (Pierwszy raz).

W sobotę i niedzielę — 27 i 28 grudnia:

Chata za torią — obraz ludowy w 5-ciu aktach ze śpiewami i tańcami.

We wtorek — 30 grudnia:

Wesoły Kalabryjczyk, opera komiczna w 2-ach aktach, libretto i muzyka Alfonsa Czarneckiego. „Kalabrez” — taniec. „A to się złapał” — obrazek sceniczny w 1-ym akcie Kazimierza Roman-

## KRONIKA BIEŻĄCA

W wagonie II klasy jechało kilka osób z Lublina do Warzaw-

wy. W ich liczbie dwie nadobne Warszawianki. Rozmowa co raz się ożywiła, adania się krzyżowały. Dostał się nareszcie przeciwemu Lublinowi, a głównie Warszawianki poddawały ostrej krytyce teatr i artystów. Nasz odnowiony teatr, według nich, robi wrażenie dużego składu mebli, gdzie wszystko rozstawione bezładu i symetrii, gdzie jedno drugiemu zawadza, a gościom przejść nie daje. Warszawianki trafiły na „Nowego dziedzica” i na obrazek „A to się złapał”. Sztuki jak sztuki, ale na artystach suchej nitki nie zostawiły. „Po co to gołonie się na scenie — kiedy tę operację mógł p. Grabiński wykonać między aktami i wyjść na scenę już przeobrażonym. W obrazku: „A to się złapał” — mało prawdopodobieństwa. Jedno słowo służącego, co mogło być tylko plotką, wystarcza konkurującemu spekulantowi do zerwania całego układu o małżeństwie. Prawdziwa szopka!”

Kiedy tak Warszawianki coraz bardziej się zapędzają, wstaje z miejsca mężczyzna i kłaniając się mówi: „Wdzięczny jestem za sąd o mnie, postaram się poprawić”. Naraz krytykujące panie zamilkły, poznając artystę grającego rolę owego konkurenta, p. Now. Ale jedna z nich, nie tracąc humoru, rzecze: „A tośmy się złapały!”

## OGŁOSZENIA HANDLOWE

Skład win, towarów kolonialnych i delikatesów  
E. SIWINSKI A. ZAREBSKI  
Krakowskie Przedmieście Nr 133 (gdzie dawniej sklep p. Wl. Galeckiego).  
Skład win:  
Węgierskich, Bardowskich, Reńskich, Burgundzkich, Hiszpańskich Szampańskich.  
Wina kuracyjne:  
St. Raphael, Vermuth, stare Maślaczki i Tokaje.  
Wódki i likiery — królowe i zagraniczne.  
Towary kolonialne i delikatesy, Herbata br. K. i S. Popowych oraz B. Klimuszyna z Moskwy. Wina krymskie i kaukaskie, sprowadzone wprost bezpośrednio od hodowców.

## HANDEL G. Werczyńskiego

W Lublinie, przy ul. Rynek pod Nr. 5 — gdzie był dawniej sklep mydlarski so. Voigta i Schalta. —  
Poleca:

Cukier. Kawę surową. Kawę paloną Warszawską aromatyczną wyborną, na fusty i buty. Herbata. Czekolada. Buliony. Makarony włoskie. Pierwki Warszawskie Wróblewskiego. Cukierki. Bakalie. Mydło Warszawskie do prania najwyborniejsze. Farbki do bielizny. Krocymale różno-gatunkowe. Nafta amerykańska i kaukaska. Papiery. Tytuł. Cygara. Kosmetyki. Vaseline. Wode Nixoo. Oliwe Nixoo. Barri najprzedniejsza do jedzenia. Octy najprzedniejsza Treublerowska z Pulaw. deszerowe, stołowe i kuchenne mające powszechnie uznanie jako najzdrowsze i najlepsze. Musztardy różno-gatunkowe. Śledzie Holenderskie i inne towary.

Każdy towar mieści się w najosobnieszym opakowaniu. Wskazujemy firmę K. S. braci Popowych pomieszczonej w oddzielnym, najoddalniejszym pokoju, w szafkach szczególnie zamkniętych. Ceny stale najniższe. Towar w najdobroczynnych warunkach nabywanych wprost z pierwowiel rekt.

# Jackson - nowy idol pop - muzyki

**A**MBRYKA stała się królestwem wielkich idoli show-biznesu. Jednym z nich jest Michael Jackson. Zaden jednak nie był ciemnoskóry, jak ten aktualny. Zaden też nie osiągnął szczytów sławy i podobnej fortuny w równie młodym wieku. 26-letni Michael Jackson potrafił zdobyć wszystkie poprzedników — Elvise Presleya, Boba Dylana, Beatleów, braci Gibb i Julio Iglesiasa.

Nazywają go ciemnoskórym geniuszem i nie ma w tym stwierdzeniu cienia przesady. Michael uchodzi za potentata światowego przemysłu rozrywkowego. Sam tworzy szlagierowe piosenki, sam je wykonuje i sam (z niewielką pomocą rodzinnej kicery) własnymi interesami. Robi to zresztą w niezwykłym stylu, skoro z propozycjami współpracy swatają się do gwiazdy tej wielkości, co Paul McCartney, Mick Jagger, Freddie Mercury, Diana Ross, Barbra Streisand i Eddie Van Hallen. Jackson natomiast nie odmawia, tylko konsultuje terminy nagrań z zaufanym producentem (składającym wyjątkowo z muzykiem i kompozytorem) Quincy Jonesem.

To właśnie Jones przyczynił się znacząco do sukcesu albumu „Off the Wall”, który, zdaniem fachowców, wprowadził Michaela na listy fonograficznych bestsellerów. Zanim jednak doszło do jego realizacji, a później osiągnięcia aż 21 milionów nakładu, wiele pomogła Jacksonowi Diana Ross. Dzięki niej możliwa była opieka artystyczna konserat Motown, Diana pilotowała wszystkie poczynania Michaela jako solisty. Wraz z nią wystąpił w głośnym filmie muzycznym dla dzieci — „The Wiz”. W roku 1978 dzieło Sidneya Lumeta było przebojem kasowym nie tylko w Ameryce, a Michael grał w nim rolę Niedźwiadka Szerecrowa. Jesienią tegoż roku pojawił się wielki szlagier: „Easy on Down the Road”, nagrany wspólnie z Ross. To on rozpoczął karierę estradową „pięknego Michaela”.

W następnych latach kilkakrotnie zaskakiwał słuchaczy wystrzałowymi numerami. Coraz częściej więc mówiono o nim w superlatywach, zaś znajomość z Dianą Ross, Lizą Minelli, Katherine Hepburn i Jane Fonda wprowadziła go w wielki świat Hollywoodu. Stawał się sławny. Jednak prawdziwy rozkwit popularności miał przynieść dopiero rok 1983, kiedy pojawił się kolejny album — „Thriller”. Takiego powodzenia nie przewidywał zapewne nawet jego twórca. 31 milionów nakładu wzbudza podziw największych sceptyków.

„Thriller” przysporzył młodemu artyście kilkunastu znaczących nagród i wyróżnień, wywołując przy okazji nieprawdopodobne zainteresowanie jego osobą (jacksoniana). W samych tylko Stanach Zjednoczonych Michael zwyciężył w 12 kategoriach najbardziej liczącego się plebiscytu pisma „Billboard” za 1983 rok. Filmowa wersja „Thrillera” (reż. John Landis), pokazująca przemianę idola w króla wilkołaków, nagrodzona została „Grand Prix” Tangów Płytyowych MIDEM w Cannes. Tym samym przyczyniła się ona do zwiększenia popytu na nagrania gwiazdora. Istotnie, ma on wszystkie atuty potrzebne markowemu artyście. Świetnie ustawiony głos popiera perfekcyjnym wyczuciem

rytmu i łacie muzyką ekspresją. W ten sposób on zaśpiewa jeden biały artysta.

Michael jest przystojny, a dla podkreślenia sławoty swej urody potrafił generalnie przekształcić powierzchowność, łącząc ze zmianą rysów twarzy, fryzury i rozjaśnieniem skóry. Ciesząc się szalonym powodzeniem nastolatków, może do woli tańczyć przed kamerami telewizyjnymi, lub fotografować się w towarzystwie uroczej gwiazdki kina — Brooke Shields. Ameryka zapłaci za jego popis każdą sumę. Jest on dziś najczęstszym nagabywanym przez prasę piosenkarzem Ameryki, choć niezbyt chętnie udziela wywiadów. Woli w tym czasie oglądać przygodowe filmy rysunkowe, lub zajmować się domowym zwierzyńcem zgromadzonym na pięknej farmie w Encino. Ma tam, obok zwierząt domowych, lamę, tygrysa i węża boa.

Aura gwiazdorstwa nie zmieniła jednak zasadniczo jego poprzednich upodobań i stylu bycia. Mimo fortuny, która nagle stała się jego własnością, zachował skromność. Nie jada potraw mięsnych, co tydzień pości, wystrzega się papierosów i alkoholu. Będąc Świadkiem Jehowy, nie rozstaje się w podróży z Biblią, stanowiącą, jak powiada, najchętniej i najczęściej zgłębianą przez siebie książką. A propos książek. W wielkich nakładach rozeszły się biografie Michaela, napisane przez Marka Bego i Geoffa Browna. Jakby tego było mało, sławna wdowa po prezydencie Kennedym, Jacqueline Onassis, zredagowała książkę, będącą wyborem wierszy, tekstów i fotografii sławnego Michaela.

Przy ogromnej rozległości zajęć młody idol nie zapomina o komponowaniu nowych piosenek, będących, jak wiadomo, motorem napędowym kariery i majątku. Latem br. ukazała się nowa płyta: „Farewell My Summer Love”, stanowiąca zestaw dziewięciu piosenek wybranych spośród czterdziestu niegdys odrzuconych, a zrealizowanych przed 10 laty. I znowu na listy bestsellerów trafiły przeboje. Podobny charakter ma album „Victory” promowany przez braci Jacksonów.

Kim jest chłopak, wzbudzający tyle emocji wśród nastolatków po obu stronach Atlantyku i uznanie przytomnych menadżerów przemysłu rozrywkowego? Urodził się 29 sierpnia 1958 roku w Gary (stan Indiana). Michael jest jednym z dziewięciorga dzieci utalentowanej muzycznie, czarnej rodziny Jacksonów. Matka śpiewała niegdys bluesa, zaś ojciec próbował sił jako gitarzysta w rhythm and bluesowej grupie Falcons. Odkrycie muzycznych inklinacji u dzieci skłoniło Josepha Jacksona do sformowania rodzinnej grupy Jackson Family, której był kierownikiem, producentem i siłą napędową. Pod jego okiem pracowały kolejno wszystkie pociechy, wielce uzdolnione głosowo i tanecznie. Grupa kilkakrotnie zmieniała skład i nazwę. Ostatnie jej wcielenie zwiase Jacksons. Familia zrobiła światową karierę (koncertowała nawet przed królową brytyjską Elżbietą), ale mało kto przypuszczał, że największy rozgłos osiągnie siódme dziecko Joe Jacksona — Michael. Zapewne zdecydował o tym talent, liryka i ciepły głos młodzieńczego kandydata na „super star” (w chwili debiutu płytowego Jackson Five miał dziewięć lat).



Michael Jackson.  
Repr. Maciej Kaczanowski

Michael posiada, zdaniem krytyków, szczególny dar tworzenia melodyjnych, bardzo komunikatywnych piosenek, które gustownie doprawia niepowtarzalną rytmiką, harmonią i sobie tylko znaną modulacją głosu. Pozwala mu to podejmować współpracę w fantastycznie brzmiących duetach z najróżniejszymi wykonawcami, bez obawy o powielenie wzoru. Dotychczasowe nagrania Jacksona, osydlające w kierunku muzyki soul z elementami rocka, potwierdzają jego intuicję, smak artystyczny i zdolność absolutnego wyczucia potrzebowań odbiorcy. Zespół tych cech sprawia, że o Michaelu długo jeszcze będzie się mówiło w kategoriach znaczącej postaci pop music. Jackson, jak zapewniła jego przyjaciół i producent Quincy Jones, jest wszechstronnym wokalistą i nie grozi mu spadek zainteresowania, wywołany zmierzchem mody na określony rodzaj piosenki. No cóż, tacy geniusze zdają się nieśmiertelnymi rzadko.

Po sukcesach estradowych marzy mu się kino. Dobrze przyjęta rola narratora w bestsellerze „E.T.” upoważniła Stevena Spielberga do powierzenia mu głównej roli w filmie „Piotruś Pan”. Co z tego widać, przekonamy się niebawem.

Istvan Grabowski

## Ekran i widz

### KINO JAKO BAŚŃ

**J**EDNA z najmniejszych adaptacji filmowych poczytnych powieści, jaką oglądaliśmy w ostatnich czasach, są angielskie „Psy wojny”, w reżyserii Johna Irvina. Książkowy bestseller Frederica Forsytha — poza tym autora „Dnia Szakala” i nie tłumaczonej na język polski „Odessa File”, specjalisty od pseudodokumentalnych powieści sensacyjnych — zyskał niestety tym razem, inaczej niż „Dzień Szakala”, interpretatora nad wyraz miernego. Film jest w sumie nudnawy, bez rozmachu i polotu, tak niezbędnego w sensacyjnych filmach wojennych, a najistotniejsza strona książki (opis precyzyjnych i drobiazgowych przygotowań w skompletowaniu grupy białych najemników-komandosów, a następnie realizacji opanowania afrykańskiego marionetkowego państewka Zangaro na zamówienie potężnego kapitalistycznego koncernu) została w filmowych „Psach wojny” zupełnie „puszczona”. Reżyser skoncentrował się przede wszystkim na rozbudowaniu sekwencji ataku na stolicę Zangaro, nasycając akcję do granic możliwości efektami pirotechnicznymi, zresztą nie wnosząc nawet w tym względzie szczególnie nowych i odkrywczych pomysłów.

Nic dziwnego, że „Psy wojny” nie cieszyły się wśród naszej publiczności

aż taką frekwencją, jakiej należałoby oczekiwać. Rzecz ciekawa: doskonale, nakreślony z ogromnymi umiejętnościami technicznymi i przyprawiony potężnym ładunkiem suspense — mieszczący się w podobnej kategorii filmów co „Psy wojny” — amerykański „Błękitny Grom” Johna Badhama, ze znakomitym, pamiętnym ze „Szczęk”, Royem Scheiderem w głównej roli, aczkolwiek o wiele lepiej przyjmowany — również nie okazał się jakąś wyjątkową kasową „bombą”. Na przykład w lubelskim kinie „Kosmos” prawdziwą „kasę”, która pozwoliła wypełnić finansowe plany tej placówki już na długo przed końcem roku, zrobiły: „Poszukiwacze zaginionej Arki” niezawodnego Stevena Spielberga, a poza tym... dwa filmy polskie — „Akademia Pana Kleksa” — filmowa „baśń” dla dzieci, oraz „Seksmissja” — „przyszłościowa” filmowa „baśń” dla dorosłych. „Poszukiwacze zaginionej Arki” też są zresztą swoistą ekranową baśnią. Pełną cudownych i nieprawdopodobnych, niewiarygodnych, a jednak jakby całkiem realnych historii, opowieści rodem z tych snutych dawnymi czasy przy kominku, lub — w zależności od społeczno-ekonomicznego statusu — przy piecu kuchennym, przez rodzinnych bajarzy. Tyle, że Spielberg, ciągnąc swoje filmowe opowieści, ma możliwość przywołania dodatkowo na pomoc prawie nieograniczonych cudów techniki filmowej. Która dysponuje i na którą go stać finansowo.

Baśniowość i oczarowanie techniką: ależ TO właśnie stało u podstaw sukcesu nowej sztuki — kina, w pierwszym okresie po jego narodzinach! Kino stało się sztuką dla mas, bo przemawiało do masowej wyobraźni, bo spełniało zapotrzebowanie ówczesnych mas ludowych na baśń. Na baśni wychowanych, ale zarazem wciąganych już coraz bardziej — ze względu na warunki pracy — w sferę techniki; techniką tą zafascynowanych.

Kino było rozrywką masową, prymitywną. Dopiero z czasem nabrało ambicji wejścia w orbitę Sztuki. Nabrało ciągłości intelektualnych. Przyszli czas na historiozofię, psychologię, publicystykę ekranową. Kino zaczęło tracić swą ludyczność, „zabawowość”; domagało się, aby w jego odbiorze „intelekt” wysunął się na pierwsze miejsce przed charakterystyczną dla początków kina „uczuciowością”. W jednym z wrześniejących numerów tygodnika „Film” Jerzy Górzalski tak pisze o odczuciach podczas projekcji spielbergowskich „Poszukiwacze zaginionej Arki”, których oglądał razem ze swoim dzieckiem: „Patrzę na syna, jak on patrzy na Indianę Jonesa. Mam za sobą przeszłość komiksową, wychowany na „Świecie przygód” czy „Sierżancie Kingu z Królewskiej Konnej”, czuję się jak u siebie w domu. Syn, wychowany na „Relaxie”, na zeszytach z serii „Podziemny front”, czy też serial o kapitanie Zbiku, nie zwraca szczególnej uwagi na Arkę Przymierza, mitologiczne odniesienia, gadanie o tym, że arka to nadejście do rozmowy z Bogiem, jego interesuje wyłącznie montaż atrakcji. Mnie z trudem muszę przyznać, udaje się przemóc przeklepy nawiązań racjonalizacji tego, co z założenia jest irracjonalne, naiwne na usługach konwencji. Reżyser Spielberg [...] i producent Lucas stworzyli rzecz niebywałą — kino atrakcji, odwołujące się bezpośrednio do chłopcęcych marzeń”.

Ależ tak: chłopiec odbiera Spielberga w sposób czysty i nieskażony, „z dzieciną prostotą”. Jako baśniową opowieść, którą należy czuć, a nie rozumieć. Przede wszystkim czuć. Oraz — przeżywać. Bez głębszego zastanawiania się.

To właśnie jest istota filmów Spielberga. Wyznacznik jego nieprawdopodobnych sukcesów na całym świecie. Kino zatoczyło jakby ogromne koło: publiczność jest już zmęczona ciągłym analizowaniem, wgłębianiem się w „istotę problemów”, poddawaniem faktów „krytycznym ocenom” i wyciąganiem z tego „właściwych wniosków”. Publiczność chce ucieczki od problemów dnia codziennego. Chce odprężenia w ciemności kinowej sali. Pożąda samooczyszczenia poprzez powrót do źródeł. Do świata baśni, gdzie wszystko jest możliwe, czyste i piękne, choć tak bardzo nieprawdopodobne. Właśnie ten moment zdołał uchwycić i wyjść mu naprzeciw Steven Spielberg. Może przyszło mu to tym łatwiej, że — jak twierdzi — sam jest wciąż dużym dzieckiem, które sobie i innym opowiada niezwykłe historie; tyle że na sposób współczesny, przy pomocy kamery i sięgając do „współczesnej” lub „przyszłościowej” tematyki.

Właśnie taką „przyszłościową” ekranową baśnią jest jeden z ostatnich filmów Spielberga: słynny, bijący rekordy kasowości „E.T.” (ostatnio pojawił się także na polskich ekranach). Opowieść o małym stworze z Kosmosu, który dzięki splotowi różnych okoliczności trafiwszy na Ziemię, znalazł przyjaciół i opiekunów w gronie dzieci. Baśń o przyjaźni, wrażliwości, miłości do innych istot, o serdeczności i wzajemnej życzliwości. Baśń — której widzacy tak bardzo potrzebujemy...

Szerzej o „E.T.” — w jednym z najbliższych felietonów.

M.D.

Kazimierz Andrzej Jaworski

## TRUDNA SYTUACJA

**T**ej nocy miałem koszmarny sen. Może w związku z majowymi dniami książki, może pod wpływem tego „najszlachetniejszego hobby”, o którym pisałem.

Należę do tych szczęśliwców, którym po ostatniej wojnie ocalała prawie całkowita spora już przed nią biblioteka, którą zdołałem w ciągu ostatnich kilkunastu lat podwoić. I oto sni mi się, że hitlerowcy mają mnie wyeksmitować z mieszkania. Błagam ich, aby mi pozwolili wywozić wszystkie książki. W drodze wyjątkowej łaski wspaniałomyślnie podają się, abym wziął ze sobą tylko dwadzieścia i na wybór ich zostawiają mi kwadrans do namysłu. I zaczyna się potworna męka: na które z nich zdecydować się w tak krótkim czasie? Jako pierwszą chwyciłem z półki „Pana Tadeusza”... i tu się obudziłem.

Sen snem, ale gdyby powstała podobna sytuacja, jak bym z niej wybrnął? Klade zegarek na stole. Spróbujemy. „Pana Tadeusza” zabrałbym z pewnością. I „Dziady”. Oczywiście Norwida, bo jakże bez tej „kruszyny chleba”, tego pióra, „którym oszę z krwią zmieszano młodą” i tych

„ręk złożonych na pancerz”! Ale ze Słowackim już trudniej. Bo i liryki nęcą, i ulubiona „Godzina myśli”, i listy do matki. A tu trzeba cesarskim cięciem: awi, awi. Liryków znam trochę na pamięć, szkoda mi tych dwójga dzieł „wśród ciemnej szkolnej sali” ale chyba zabiorę listy. Jest w nich najprawdziwszy Słowacki, choć pisane pro domo sua. Już mam cztery książki i to sami poeci. Ale przecież trzeba i kogoś ze współczesnych. Lechoń? Tuwim? Gałczyński? Tylko jednego z nich, bo przecież jeszcze proza. A pisarze obcy? Mimo wszystko chyba jednak Lechoń. Książeczka lekka mimo tej ciężaru gatunkowego. Ach, pytasz, co w życiu moim z wszystkich rzeczy „główną”? Już wiesz: zabrała cię ta, której „oczu czarnych” się bałeś. A mnie książką jeszcze — „modre”.

A teraz proza. Z Sienkiewiczem zrezygnuję, choć „Ogniem i mieczem” tak mocno mi się kojarzy z dzieciństwem. Z Prusa tylko „Lalkę”. Zeromski. Och, tutaj będzie trudno. A tu już pięć minut upłynęło. Rafała i Heleny nie opuszczę. Ale jak pozostawić Rozłuckiego i ten grób powstanczy, jak odrzucić dytyramb o odzyskany morzu? I Sa-

łomeg w nurkach rzeki i Radka, i doktora Piotra? Tych wszystkich, tak bliskich mi ludzi, te stronice, do których tylekroć wracałem ze zwilżonymi oczyma? Zeromskiego zabrałbym wszystko. A tu czas nagli. Więc chyba tylko „Popioły”, Heymont. Daruję resztę, ale „Chłopów” nie poniecham, tylko to cztery tomy... Co by było, gdyby ci intruzi policzyli mi każdy tom za jedną książkę? Może bym ich jednak przekonał, że to całość.

To już osiem książek i siedem minut. Za długo mija: w tym tempie nie zdążę. Trzeba się pośpieszyć. Góry? „Na przełęczy” — koniecznie i „Legendę Tatr” — z tym poszło szybko. A teraz obcy. Klasyka. Szekspira chyba „Hamlet”. Z Niemców tylko „Buch der Lieder”, a ze współczesnych „Czarodziejska góra”. Jestem okrutny. Ale czas, czas....

Mam już trzydzieści książek. Ale minut tylko pięć. Miotam się gorączkowo od regału do regału. Conrad. Bez namysłu chwytam „Ocalenie”. Za tę najsubtelniejszą z miłości, za to uczucie Lingarda do pani Traven, nigdy nie wyjawione, a tak wielkie! Za jego poświęcenie i wierność wobec obywatelstwa, przypiętowane kląską. A jeśli Conrad, to i Saint Exupery, i „Ziemia obiecana ludzi”.

Mam jeszcze trzy minuty. Porywam już bez zastanowienia „Klub Pickwicka”, oczywiście „Wojnę i pokój” i wybór noveli Czechowa Odruchowo i trafnie.

Pozostaje minuta. Zamykam oczy i na los szczęścia wywołuję z półki jakieś dwie książki. Pierwsza to „Zbrodnia i kara”. Dobrze. A druga? Skąd się ona tam zapisała! Co za groteska! „Zbrodnia” pociągnęła za sobą „Zbrodnia”. Agatha Christie. Mój grzech intymny... Kryminał.

Jak to jednak dobrze, że ten sen nie był rzeczywistością.

„Kamena” 1985, nr 5

## 12 książek

Przypominając felieton K. A. Jaworskiego sprzed 23 lat proponujemy naszym Czytelnikom wspólną zabawę. Prosimy o dokonanie indywidualnego wyboru nie dwudziestu, ale dwunastu książek (z literatury światowej i polskiej do 1984 r.), które chciałoby się zachować przy sobie. Oczywiście nie należy kierować się gustem autora felietonu: każdy dokonuje wyboru samodzielnie, zgodnie ze swymi zainteresowaniami.

Tytuły książek (ich kolejność dowolna) i nazwiska autorów (uwaga: powieści kilkutomową traktujemy jako jedną książkę) należy wypisać na oddzielnej kartce, dołączyć do niej zamieszczony niżej kupon i wysłać pod adresem re-

dakcji w terminie do 5 stycznia 1985 r. (decyduje data na stemplu pocztowym). Wśród WSZYSTKICH uczestników konkursu rozlosujemy bony książkowe po 500 zł. Cieszyć nas będzie również ewentualna argumentacja, dlaczego dokonano właśnie takiego wyboru...

### 12 KSIĄZEK — KUPON „KAMENY”

Imię i nazwisko .....

Ulica i numer domu .....

Kod i miejscowość .....

## ROZBITEK NA TRATWIE

Wybrał sobie taką sytuację: jesteś rozbitkiem na jachcie dryfującym po Oceanie Indyjskim. Duża część jachtu i jego zawartości została już zniszczona przez ogień. Jacht powoli postrzała się w wodzie.

Do dyspozycji pozostaje nadmuchiwana tratwa ratunkowa, na której możesz zmieścić się ty sam, pozostała przy życiu załoga jachtu oraz przedmioty, o których niżej.

Całkowita zawartość kieszeni wszystkich uratowanych stanowi paczka papierosów, zapalki i trochę papierowych pieniędzy.

Nikt nie zna dokładnej pozycji na morzu, gdyż przyrządy nawigacyjne uległy zniszczeniu. Przypuszczasz, że leścieście około 1500 km od najbliższego lądu.

Z ognia na jachcie udało się uratować 15 przedmiotów. Twoim zadaniem jest ułożyć je w kolejności ich znaczenia dla załogi: chodzi o stworzenie jak najlepszych możliwości przeżycia na tratwie ratunkowej do czasu nadejścia pomocy. Oczywiście s te pomoc trzeba zabezpieczyć.

Numer 1 to przedmiot twoim zdaniem, najważniejszy, natomiast numer 15 — to przedmiot najmniej ważny. A więc skala od 1 do 15.

A oto lista:

- Bekstans (przyrząd do wyznaczania współrzędnych geograficznych)
- Listerko do golenia
- 15-litrowy pojemnik z wodą
- Siatka przeciwko komarom
- Jedna skrzynka z porcjowanymi jedzeniem
- Mapy okolic

6-litrowy pojemnik z mieszaną olejowo-gazową

Małe radio tranzystorowe

Srodek odstraszający rekiny

5 metrów kw. nieprzeczołystego plastyka (plandeka)

Jednolitrowa butelka rumu

4,5 m nylonowego sznurka

2 pudełka batonów czekoladowych

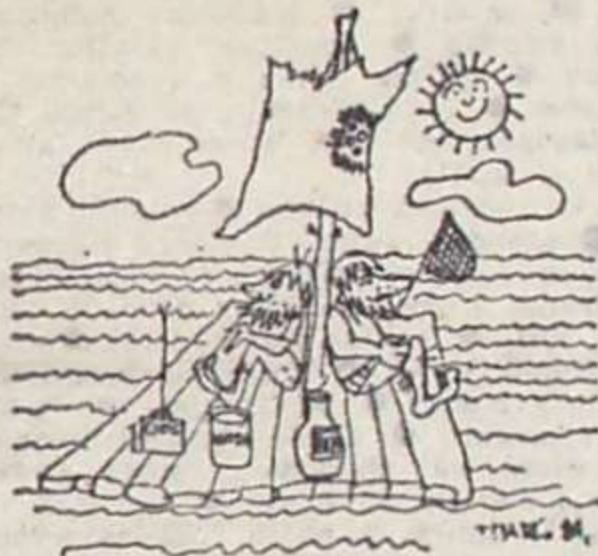
Wedka

Pędzla ratunkowa

Jeśli chcesz wziąć udział w tym konkursie, musisz na osobnej kartce papieru uszeregować przedmioty. Uznajesz np., że siatka przeciwko komarom jest najważniejsza, więc stawiasz ją na pierwszym, miejscu, pisząc cyfrę 1. Małe radio tranzystorowe, twoim zdaniem, powinno znaleźć się za siatką, wówczas wpisujesz owo radio pod numerem 2 itd. Umówmy się jednak: ta zabawa nie powinna trwać dłużej niż 20 minut!

Aby ten termin został dotrzymany, wegnij do zabawy swoje koleżanki i kolegów i później poszczególne wyniki możesz w tej samej kopercie wysłać do redakcji (do 5 stycznia 1985 r.)

pod jednym tylko warunkiem: na każdej kartce musi znaleźć się wycięty



z „Kamena” kupon, który zamieszczamy na końcu tej zagadki.

A co my później z tym wszystkim zrobimy? Porównamy z listą sporządzoną przez NASA. I jeśli np. ty uznasz, że mapy okolic powinny być na pozycji trzeciej, zaś NASA ustaliła, iż na szóstej, wówczas od liczby 6 odejmujemy liczbę 3 i zapisujemy od trzy punkty karne. I tak zrobimy ze wszystkimi przedmiotami, potem podsumujemy punkty karne i ten, kto będzie ich miał najmniej, otrzyma na rękę żywą gotówką złotych dwa tysiące. Jeśli się zdarzy, iż takich osób będzie więcej, wówczas o nagrodzie rozstrzygnie losowanie.

A oto kupon, który należy wyciąć i dołączyć do kartki z odpowiedziami

### ROZBITEK NA TRATWIE — KUPON „KAMENY”

Imię i nazwisko .....

Ulica i numer domu .....

Kod i miejscowość .....

## Fruwający interesant

— Panie noczelniku...

Burczak spojrzął ze złością na sekretarkę. Już miał dzisiaj po dziurki w nosie interesentów. Trzy godziny wysłuchiwał różnych skarg i zażaleń, a najwięcej pod adresem prezesa Gminnej Spółdzielni. Kumatertwo, sprzedaż spod łady, magazynowanie towarów na zapleczu, a także różne sprawy i sprawy męskodamskie, które właściwie nikogo nie powinny obchodzić...

Fraudra, że przez jest cioteczny bratem jego żony, że skończył tylko pięć klas szkoły podstawowej, że chce wódkę od rana do wieczora, że buduje sobie willę o trzech kondygnacjach, ale bo to tylko on jeden? Ma go wyrzucić? Dopiero by miał się z pyszną! Wyobraź sobie, jakie piekło urządzą mu żona, dla której cioteczny brat był prawdziwym oczkiem w głowie. Wybaczyła mu wszystko. Żeby wybaczyła! Spogłądala na niego z bezgranicznym podziwem, uważała, że jest niezwykle rzutki, energiczny, dba o rodzinę, potrafi jej wszystko zapewnić. Często stawała go za wzór postępowania mgłowej-naczelnikowi. Doprowadziło go to do szewskiej pasji, ale ponieważ ciągle siedział pod pantoflem, i so jakim pantoflem, znał potulnie wszystkie przyczynki, a jeśli się odgryzał, to na personelu...

— Czego tam znów? — burknął na widok sekretarki.

— Jest jeszcze jeden interesant do pana noczelnika.

— Dosyć, dosyć, nikogo już nie przyjmę!



— Ale co jakiś bardzo dronony facet. Moluthi. Sięga mi do pleców i ma skrzydła u ramion.

— Zwirowcała pani. Jakie skrzydła?

— Normalne. Takie, jak mają anioły na obrazach.

— Wariat! Normalny wariat! Skrzydła sobie przyczepił i będzie się wypłupiał. Proszę go przepędzić, albo zwołać milicję.

— On powiedział, że musi się z panem naczelnikiem zobaczyć i że on nie wisi.

— Nie ma mojej! Naprawdę nie ma mojej!

W tym momencie stało się coś niezwykłego. Drzwi od sekretariatu same się otworzyły i do gabinetu wdarł się dwójka tajemniczy ludzki.

Naczelnik szeroko otworzył usta. Ludzki nie wiedział, nie fruwał! Najnormalniej w świecie trzepotał skrzydłami.

— Panie naczelniku — powiedział z dziwną intonacją głosu — pan musi ze mną chwilę porozmawiać. We własnym interesie. Pan nie będzie tego żałował!

— Proszę, pro-pro-proszę... Niech pan siada... — Naczelnik uszczyplił się w ramię.

Uwaga Czytelnicy! Ten tekst może być początkiem humoreski, opowiadania. Powieści również, ale z uwagi na szczupły zespół redakcyjny do tego już nie machujemy... Waszym zadaniem jest napisanie dalszego ciągu. Ten ciąg dalszy nie może jednak zająć więcej niż dwie strony maszynopisu (ew. rękopiśm). Jak najmniej — to bardzo dobrze!

Najciekawsze prace wydrukujemy i poza normalnym honorarium (postaramy się, by było ono w miarę wysokie) przyznamy dwie ekstranagrody w wysokości 2000 zł i 1000 zł.

Termin nadsyłania prac: 5 stycznia 1985. Decyduje data na stemplu pocztowym. Prace należy nadsyłać pod adresem redakcji (20-020 Lublin, skrytka pocztowa 231).

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Eryk Małkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Durski, Tadeusz Janicki (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Chaban.

Redakcja nie wraza materiałów ale zamówionych zastrzeżeń sobie skróty w sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-18.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Janina 6, tel. 500-00.

Druk: Lubelskie Państwowe Zakłady Wydawnicze im. PKWN w Lublinie, ul. Gwiazdy 1.

Adres redakcji: 20-020 Lublin ul. Gwiazdy 1/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 500-00, sekretarz redakcji 500-00, dział publicystyki i literacki 500-00.

Korespondencje wysyłać prosimy kierować pod adresem 20-020 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecony i ubezpieczony — pod adresem redakcji.

# Archiwum mistrzów anegdoty

Pewien młody poeta angielski przyjechał do Paryża, aby zobaczyć Verlaina'a. Na wstępie kupił wietki bukiet kwiatów. Ale Verlaina'a trudno było odnaleźć. Anglik szukał go przez kilka dni, nie pozostając się z bukietem. Nareszcie znalazł go w jakiejś kafejce. Bukiet, niestety, był już zwiędnięty do szczytu.

— Nic nie szkodzi — powiedział z uśmiechem Verlaina. — Taki lepiej do mnie pasuje!

Ktoś przedstawia się Wolterowi jako członek akademii w Châlons.

— Akademia to jest, jak pan zapewne wie, córka Akademii Francuskiej.

— Tak, tak, — odpowiada Wolter — i to doskonałą córka; nigdy nie o niej nie stychać.

Gdy zapytano André Mauroisa, pisarza francuskiego, kto najbardziej zmienił bieg historii, odparł: — Jak długo istnieje cywilizacja, nikt tak nie zmienił biegu dziejów, jak historycy.

Francuski dramaturg, powieściopisarz i eseista. Albert Camus. stru-

wał pewnego dnia przesyłkę zawierającą maszynopis powieści oraz korespondencję, w której autor prosił go o zapiniowanie jego dzieła.

W odpowiedzi dramaturg napisał: — Jest to powieść zarówno dobra, jak i oryginalna, szkoda tylko, że jej dobre fragmenty nie są oryginalne, a oryginalne nie są dobre.

Wyszperal: Ryszard Dunin

Świąteczna krzyżówka nr 26

**POZIOMO:** 1. centralne miejsce Lublina, 3. wybitny aktor, pamiętny z roli Wiarusa, 4. dawne granice miasta, 5. reżyser filmów „Ameryka, Ameryka” i „Układ”, 6. rocznik, 6. rewizja sądowa, 7. stwierdził, 14 Polacy nie gości, 8. rzeka, pierwiastek, zwierzę, 8. halucynacja, 8. wisi pod kranem w kuchni, 9. córka Tantala, zmieniona w skałę, 9. sprzymierzenie państw, 10. głośna powieść Ryszarda Kapuścińskiego, 11. z Zamkiem Królewskim, 12. fałda na spódnicy, 12. przepływa przez Goleńców, 13. składnik pokarmu, 14. rodzaj samochodu osobowego, 15. największa wyspa Archipelagu Riukiu, 15. krzewinka z czerwonymi jagodami, 15. niskowęglowa stal stopowa, 15. przydatna była przy rysowaniu diagramu tej krzyżówki, 16. kurator, 16. człowieka — na laurach, budynku — w gruncie, 16. warowna osada kozacka, 17. częsty przedmiot sporów na wsi, 17. straż tylna, 17. znakomitość, 18. zespół Lady Pank dla nastolatków, 18. zamek błyskawiczny, 18. pseudonim Adama Asnyka, 18. na pięciolotwce, 19. zwierzę z Białowięży, 19. drapieżna ryba, 19. Tognazzi, many włoski aktor filmowy, 19. Janusz, śpiewał o Beacie i złotym jesiennym liściu, 20. rodzaj szalu u tubylców na Malajach, 20. nazwa pustyni piaszczystej na Saharze, 20. koleśnik z bożonarodzeniową szopką, 20. pozycyjny lub z kontry, 21. ryba plus A, 21. długa wąska łódka z drewna używana przez Turków, 21. reżyser filmu „Danton”, 21. oko za oko, 22. dzienny zysk sklepu, 22. można na nim trzymać rękę, 22. biskup (1485—1548), doradca Zygmunta Starego, 22. brytyjski pistolet maszynowy, 23. wstręt, obrzydzenie, 23. sztuczny język międzynarodowy, 24. narząd, 24. ptak, doskonały śpiewak, 24. zakup Marka na jarmarku, 24. brat Czecha i Lecha, 24. wzywał lub o tycze, 25. coś tajemniczego, niesamowitego, 25. na głowie, ale nie czapka, 26. z lekami, czyli nie, 26. choroba zakaźna, 27. pierwiastek z prawie całą nazwą kontynentu, 27. Zbigniew Boniek, 28. dziecko czarta, 28. staroświeckie imię męskie, 28. imię kompozytora baletu „Spartakus”, 29. maść konia, 29. dawny dostojnik węgierski, 29. coś z kobiecej bielizny, 30. największe jezioro Europy, 30. miasto na Mazurach, 30. wielożeństwo, 30. na głowie motocyklisty, 31. instrument muzyczny, 31. film Andrzeja Wajdy, 32. lubi rozrywki umysłowe, 32. mieszanie smoly, kalafonii i tłuszczu, 33. Mazowiecka w Polsce, Ruska w obwodzie lwowskim, 33. rodzaj żaglowca, 33. do strugania drzewa, 34. pierwowzór, 35. obalony ostatecznie przez Rewolucję Październikową, 35. dawka, 35. imię męskie, 36. uchątka, 36. jednostka natężenia prądu elektrycznego, 37. polecha dziadka, 37. początek wyścigu, 38. utwory nie wydane za życia autora, 38. roślina zielna o leczniczym korzeniu, 39. symbol dobrych interesów, 39. imię słynnego gangstera Capone, 39. imię autora „Poematu Pedagogicznego”, 40. Włodzimierz, aktor teatru im. J. Osterwy, 40. człowiek — kukła.

**PIONOWO:** 1. obchodzi w tym roku 40 urodziny, 1. antonim góry, 1. majowy solenizant, 2. wezwanie, 2. legenda, 3. autor „Popiołu i dymu”, 3. słowiańska rusalka, 3. największa wyspa na Bałtyku, 4. rodzaj miękkiej tkaniny, 4. małe okienko w dachu, 5. Stefan, znany działacz ruchu ludowego, kilkuletni prezes NK ZSL, 5. roślina lub minerał, 5. zajmuje się chorobami kobiecymi, 6. gatunek kawy, 6. każdy wielogatunkowy zespół organizmów zamieszkujący biotop, 6. otrzymujesz w szatni, 7. budynec dla koni, 7. śpieszy z pomocą, 7. utwór literacki opiewający bohaterskie czyny, 7. wąski długi wał zbudowany przez wody płynące pod lodowcem, 8. wpuszczają światło do domu, 8. typ lasu liściastego, 8. mowa pochwalna, 8. zdjęcie butów, 9. nasza rodzima wyspa, 9. pas przepasujący kimono, 9. ptak nadwodny, 9. klasztor za pieniądze, 9. trudno go podzielić na czworo, 10. zna się na budowie i naprawie maszyn, 10. kryształki lodu, 10. niewielki szary ptak polny, 10. piec, w którym pali się trocinami, 11. podrzuca innym ptakom swe jaja, 11. roślina leopikalna, 11. przyprawa, 11. pek zżętego zboża, 11. kraj związkowy w RFN, 12. długość to metr, 12. z Zielonego Wzgórza, 12. osad lodowy, 12. szałbil swoją rodzinę, 13. region w Hiszpanii z Sewillą i Malagą, 13. figura płaska, 13. kamień ozdobny, 13. mieszkasz w nim, 14. prawdziwość autentyczność, np. w działaniu, 14. francuski reżyser filmowy („Kochankowie”, „Winda na szafot”), 14. dawna, oboczna nazwa kursywy, 15. pisarz i historyk tadżycki (1878—1954), 15. przełożony klasztoru, 15. dzielnica Gdańska, 15. droga z szyn, 16. dureń, 16. miasto, gdzie po raz pierwszy użyto gazów trujących, 16. ręka, 16. gatunek sardyni z Pacyfiku, 17. Bogdan, popularny aktor, 17. państwo azjatyckie, 17. proboszcz, 17. dopływ Leny, 18. członek oddziału ochotniczego, 18. 100 centymetrów, 18. żołnierz lekciej kawalerii, 19. biała lub czarna, 19. mieszkaniec Sztokholmu, 19. grzyb jadalny, 19. łuk rzeki, 20. sznurek przy gaciach, 20. zna się na prawach rządzących produkcją i rozdziałem dóbr, 20. szpalta, 21. kubet, 21. szczeniak, 22. miłano, 22. w rękach dziewczynki lub sportowca, 22. co najlepsze w mleku, 23. słynny Muhammad, bokser wszechczasów, 23. ciężkiej, 23. nauka o pięknie, 23. brat polski, 23. prezydent USA w latach 1869—1877, 24. termin matematyczny, 24. Marusia z serialu o Czelech pancernych, 24. imię męskie, 25. to pieniądź, 25. obrazoburstwo, 25. garstka materiału, 25. biegłość nabyta przez długą praktykę.

Rozwiązania (można przysłać dowolną liczbę rozwiązań, do każdego dołączając kupon!) należy nadsyłać pod adresem redakcji (skrytka pocztowa 231 — kod 20-950 Lublin, red. „Kamień”) do dnia 5 stycznia (decyduje data stempla pocztowego).

Tym razem nagrody przyznało PP Totalizator Sportowy, Oddział w Lublinie. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy dwa nagrody po 2000 złotych oraz 20 egzemplarzy „Vademecum Olimpijskiego”.

Uwaga: należy odczytać tylko hasło i wpisać je na poniszszym kuponie, kupon zaś przykleić na kartce pocztowej. Rozwiązania bez kuponu nie będą brane pod uwagę.

**ŚWIĄTECZNA KRZYŻÓWKA NR 26**  
Rozwiązanie:  
\_\_\_\_\_  
\_\_\_\_\_  
Imię i nazwisko \_\_\_\_\_  
Dokładny adres \_\_\_\_\_

ROZWIĄZANIĘ KRZYŻÓWKI NR 26 Z SZYFRAM  
Podziomo: syntera, składak, Agata, mutra, Ostap, Chara, trud, dziadek, tarcza, wabka, Ala, aut, Termopila, set, syk, trojak, swatki, nadawca, Juan, muna, To- kio, posag, skład, analiza, cyranek.  
Pionowo: szychta, Hum, zarza, aga, sto, kastel, agat, kwadrat, Maiza, próba, pantograf, dziekan, królowa, Alger, kucyk, stajnia, womat, Strug, kijanki, kaloss, schody, Noel, maka, Oka, Pac.  
Szyfr: Jak powiedział mój ojciec, chłop pachnie stęmią, a ziemia chłopem.  
Tadeusz Nowak „Półbańskie”  
Nagrodę otrzymuje Kazimierz Kozłowski, pl. Wolności 14 B, 01-404 Włocławek.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
1								53				
2	43											
3								32				
4					18						5	
5												
6												
7		2										
8												
9								1				
10						41						
11	52											45
12												
13									10			13
14												
15								30				
16					11							
17										9		
18												2
19	31					16					54	
20												
21									3		47	
22												
23												
24				7			34					17
25												
26			33							28		
27												
28				42				20				
29												
30									26			
31												8
32					6							
33												
34											13	
35												
36												
37												35
38												
39										29		
40	40											23



TOTALIZATOR SPORTOWY